JUŻ DOŚĆ HEREZJI
Jeśli ziemia jest kulą, to dzieci trzeba szczepić

NOWY KSZTAŁT PAŃSTWA
Nieodwracalne zmiany, możliwe kompromisy

KOŚCIÓŁ ZAPŁACI
Jak zadośćuczynić ofiarom przemocy seksualnej

KONIEC WAKACJI
Pocieszenie dla tych, którzy nie wyjeżdżali

Kraków 30 września 2018 nr 40 (3612) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pism wszechny.pl

Polska ma przyszłość

Nasza szansa: wspólnota z ukraińskim akcentem

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

REKLAMA

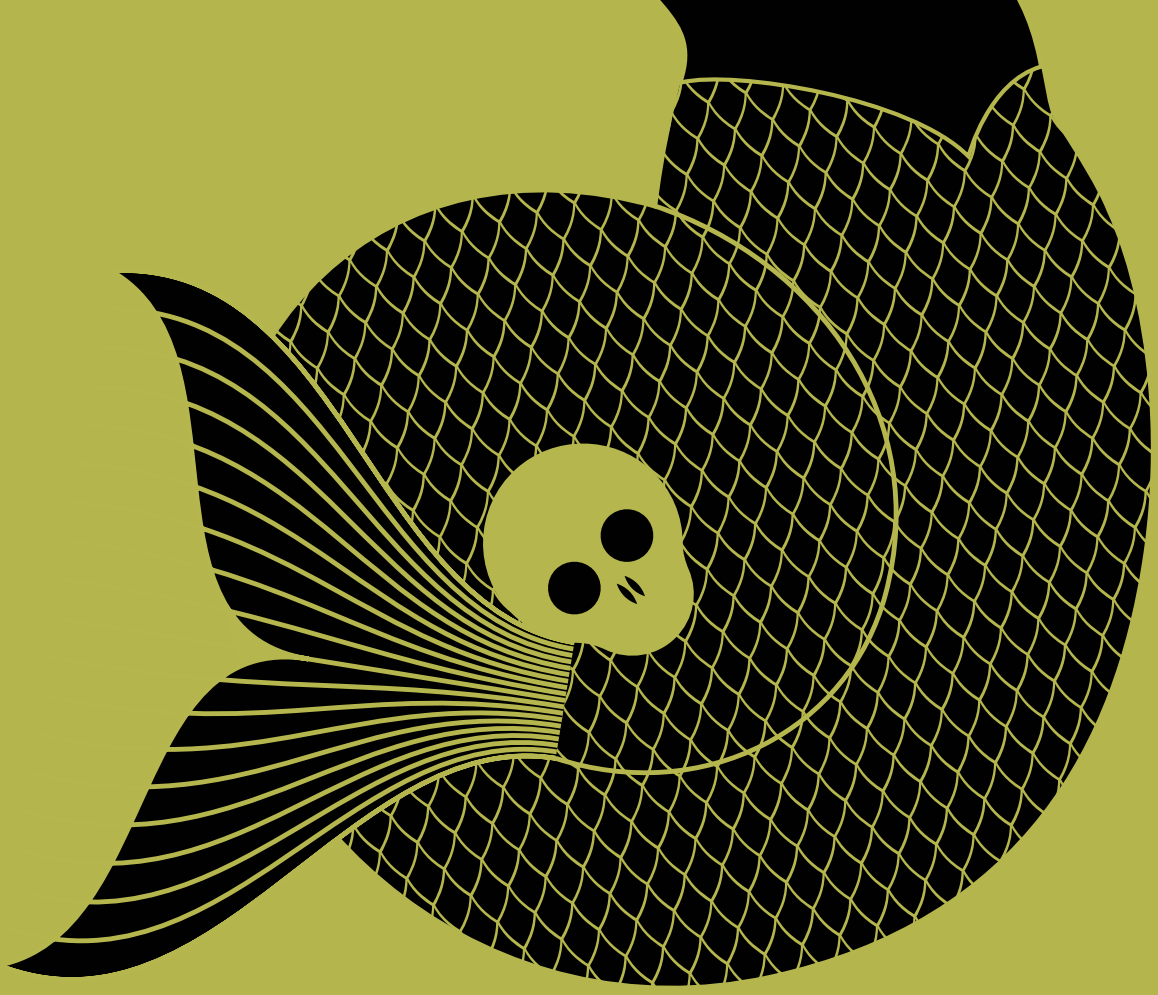

Jarosław Klejnocki
Hubert Klimko-Dobrzaniecki
Joanna Olech
Łukasz Orbitowski

Rzeczy warszawskie z dreszczem

Opowiadania dla młodych dorosłych

Czasem przerażające, a czasem po prostu zabawne. Historie zakorzenione w konkretnej, rozpoznawalnej rzeczywistości, lecz traktujące ją z ironicznym dystansem. Grające z konwencją literatury kryminalnej.

zakochaj się w Warszawie

MUZEUM WARSZAWY

muzeumwarszawy.pl

KS. ADAM

Boniecki: *Dość głupich rzeczy*

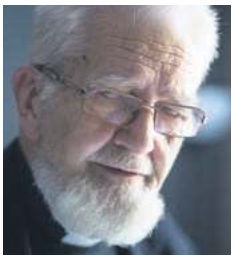

Niefortunne stwierdzenie pani premier Beaty Szydło, że w Polsce przebywa milion uchodźców z Ukrainy, już dawno zostało sprostowane (co prawda nie przez panią premier). Wtedy, gdy przemawiała na unijnym forum, status uchodźcy w Polsce otrzymało od Urzędu ds. Cudzoziemców nie milion Ukraińców, tylko dwóch, a kilkanaście osób tej narodowości zostało objętych innymi formami ochrony prawnej. Także stwierdzenie ministra spraw zagranicznych Waszczykowskiego, że pracujący u nas Ukraińcy wywożą od nas 20 mld zł rocznie, uściślił Radosław Omachel w „Newsweeku" – nie 20, tylko 8 mld. I nie wywożą, ale zarabiają, wydając większość tych pieniędzy w Polsce.

Pojawiło się wiele opracowań wskazujących na to, że obecność (prawdopodobnie) ok. pół miliona Ukraińców pracujących w Polsce i ok. 20 tys. młodych ludzi studiujących na naszych uczelniach to z punktu widzenia gospodarki dla Polski zjawisko bardzo pozytywne. Ułatwiające zatrudnienie, zwłaszcza sezonowe, zmiany w polskim prawie sprzyjają większemu bezpieczeństwu pracujących u nas Ukraińców, ułatwienia w legalnym zatrudnieniu cudzoziemców sprzyjają prawnej ochronie przed nadużyciami pracodawców. Instytucje i organizacje takie jak np. fundacja Nasz Wybór, finansowana w 90 proc. przez Unię Europejską i w 10 proc. przez Polskę, Ukraiński Dom w Warszawie (ul. Zamenhofa 1) i inne wspierają Ukraińców w procesie integracyjnym. Jest to owoc działalności zainicjonowanego przez Polskę w 2009 r. programu Partnerstwa Wschodniego, który ma przybliżyć do Unii takie kraje jak Ukraina, Gruzja czy Białoruś. Zakłada on siłą rzeczy poluzowanie polityki migracyjnej.

W przypadku Polski i Ukrainy ten wielki ruch migracyjny może mieć głębsze znaczenie. Cieszący się ogromnym autorytetem na Ukrainie kard. Lubomyr Huzar (zm. 2017), arcybiskup większy kijowsko-halicki, senior Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego, w 70-lecie Tragedii Wołyńskiej powiedział: „Obecna sytuacja przynagla nas, że musimy coś zrobić. Ukraińcy i Polacy muszą się zastanowić: co dalej? Czy dalej mamy wojować? W historii narobiliśmy już wystarczającą ilość głupich rzeczy. Czy nadal mamy tak żyć? Myślę, że nie ma to sensu". W 2005 r. biskupi greckokatoliccy Ukrainy i rzymskokatoliccy Polski ogłosili wspólny list „z okazji aktu wzajemnego przebaczenia". Czytamy w nim: „chcemy żyć w pokoju, gdyż na przestrzeni wieków nasze relacje były bardzo trudne i popełniliśmy wiele ciężkich grzechów".

Tak mówili we własnym imieniu polscy i ukraińscy biskupi, ale w przeszłości ciężkie grzechy po obu stronach popełniali nie tylko biskupi. By nie sięgać zbyt daleko w przeszłość, przypomnijmy słynne „Ja was przepraszam, panowie, ja was bardzo przepraszam, tak nie miało być", wypowiedziane po traktacie ryskim przez Józefa Piłsudskiego 15 maja 1921 r. przed internowanymi w Szczypiornie żołnierzami ukraińskiej armii. Listę dalszych grzechów, zwłaszcza drugiej strony, one obie dobrze pamiętają.

Czy mamy nadal wojować? Wiemy, jak bardzo się nie podobały Rosji ukraińskie tęsknoty unijne, jak bardzo nie w smak jej było polepszanie relacji ukraińsko-polskich.

Może to Opatrzność daje nam okazję do uzdrawiania tych trudnych relacji. Spotkanie człowiek – człowiek, pracodawca (Polak) – pracownik (Ukrainiec), sprzedawca, lekarz (Ukrainiec) – klient, pacjent (Polak), urzędnik (Polak) – interesant (Ukrainiec) może zmienić często funkcjonujący po obu stronach stereotyp: „Oni nas nienawidzą". Nie mniej ważne od ustaw, pozytywnych gestów państwa i urzędów jest nasze odnoszenie się do przychodzących stamtąd. Są tu, z nami, pracują, żyją, spotykacie ich na co dzień, nawet o tym nie wiedząc. ©℗

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

KATOWICE, czwartek, 4.10, godz. 16.00
Spotkanie „O sensie zdobywania wiedzy".
Miejsce: Uniwersytet Śląski, Wydział Nauk Społecznych (ul. Bankowa 11).

KRAKÓW, piątek, 5.10, godz. 11.00
Spotkanie autorskie w ramach II edycji Targów Seniora. Miejsce: Targi EXPO Kraków (ul. Galicyjska 9).

TP

Dzięki Wam rośniemy

19 i 20 września zaprezentowano najnowsze dane ZKDP dotyczące sprzedaży tygodników oraz liczby cytowań prasy w rankingu Newton Media – powyżej przedstawiamy te informacje. „Tygodnik Powszechny" od 5 lat jest najszybciej rosnącym tygodnikiem opinii w Polsce. Dziękujemy Państwu za zaufanie, jakim obdarzacie „Tygodnik". Utrzymanie tego zaufania jest najważniejszym zobowiązaniem redakcji. Nowe Czytelniczki i nowych Czytelników gorąco witamy: rozgośćcie się!

OGŁOSZENIA WŁASNE WYDAWCY

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

5 Sprawa księdza Stryczka
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

6–11 Wiadomości / Komentarze

18 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK
O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Dość tych herezji
ROZMOWA Z PAWŁEM KUKIZEM-
-SZCZUCIŃSKIM: *Jeśli ziemia jest kulą, to dzieci trzeba szczepić*

24 Innego państwa nie będzie
KLAUS BACHMANN: *Państwo PiS nie zniknie po przegranych wyborach*

27 Lechu z o.o.
JACEK GĄDEK: *Na 75. urodziny Lech Wałęsa wydaje pamiątkowe medale*

■ ■ Z ODDECHEM

30 Wisła, pyton i inne prezenty
ROZMOWA Z ARKADIUSZEM SZARAŃCEM, EDUKATOREM PRZYRODNICZYM I PISARZEM

■ ■ WIARA

36 Sprawiedliwość spodoba się Bogu DAWID GOSPODAREK: *Jak Kościół powinien zadośćuczynić ofiarom przemocy seksualnej*

39 Kolegialność pod papieżem
PIOTR SIKORA *o najnowszym dokumencie Franciszka*

40 Centrum świata przestaje istnieć
BARTOSZ HLEBOWICZ *o zamknięciu klasztoru św. Marka we Florencji*

42 Siedem razy łaska i kłopot
TOMASZ KYCIA: *Portret Kościoła w Niemczech*

■ ■ ŚWIAT

46 Nowy niepewny świat
OLAF OSICA: *Po spotkaniu Duda–Trump*

M. LASYK / REPORTER

■ TEMAT TYGODNIKA ■

10 Wspólnota z ukraińskim akcentem
MAREK RABIJ

Obecność blisko miliona mieszkających i pracujących nad Wisłą Ukraińców wyznacza początek końca Polski monoetnicznej.

15 O zdejmowaniu butów w gościach
ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM BURSZTĄ, ANTROPOLOGIEM KULTURY:

Po co się męczyć pytaniami o tożsamość, gdy wszyscy jesteśmy Polakami? A co znaczy być Polakiem, to każdy prawdziwy Polak wie.

■ FELIETONY ■

35 ANNA DZIEWIT-MELLER
45 SZYMON HOŁOWNIA
65 WOJCIECH BONOWICZ
76 JAN KLATA
77 PAWEŁ BRAVO
82 STANISŁAW MANCEWICZ
82 BARTOSZ MINKIEWICZ

Okładka: STOCK.ADOBE.COM / POMYSŁ JAKUB MORGIEL // MONTAŻ „TP”
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

48 Cisza przed nawałnicą
JAN SMOLEŃSKI: *Jakie tajemnice skrywa Paul Manafort*

50 Hindusi sięgają gwiazd
TOMASZ AUGUSTYNIAK: *Czy Indie wyślą ludzi na orbitę?*

53 Hinduskie wartości w kosmosie
ROZMOWA Z RAKESHEM SHARMĄ, INDYJSKIM KOSMONAUTĄ

54 Pożar jak kraj TOMASZ PINDEL: *Ogień w Muzeum Narodowym w Rio de Janeiro*

■ ■ HISTORIA

58 Śmierć w burzy
KAROL FRYTA: *Dlaczego i jak zginął Lermontow, wybitny rosyjski poeta*

■ ■ NAUKA

62 Wszystkie kolory piasku
ANNA ŁOSIAK: *Wydmy we Wszechświecie*

■ ■ KULTURA

66 Niech ślepy prowadzi kulawego MACIEJ JAKUBOWIAK: *Oto wydarzenie literackie roku: „Lincoln w Bardo” George’a Saundersa.*

70 Z drugiej strony widać lepiej
ANITA PIOTROWSKA: *Konkurs główny FPFF w Gdyni był nadzwyczajnie bogaty*

73 Dług założycielski
ROZMOWA Z ACHILLE’EM MBEMBE, PISARZEM

75 Warto zobaczyć w TV

76 Wyjście w góry
LEKTOR *o książce „Artur Hajzer. Droga Słonia” Bartka Dobrocha*

■ ■ WAKACJE

78 Wakacje w mieście
STANISŁAW MANCEWICZ: *Pocieszenie dla tych, którzy nie wyjeżdżali*

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner, Marek Zając
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

OBRAZ TYGODNIA

SPRAWA KSIĘDZA STRYCZKA

Zagrożeniem dla wizerunku organizacji pozarządowych nie są „źli dziennikarze", którzy ujawniają ich patologie, ale stereotypy dotyczące ich działalności.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Jeśli przyjąć, że zdarzenia opisane w artykule Onetu przez kilkanaścioro – w tym czworo pod nazwiskiem – byłych pracowników Stowarzyszenia Wiosna ks. Jacka Stryczka są zgodne z prawdą, w organizacji tej dochodziło do mobbingu na masową skalę. Mobbingu, a mówiąc wprost: psychicznego znęcania się nad pracownikami przez duchownego. Warto to zaznaczyć, pozostając do momentu wyjaśnienia sprawy w trybie warunkowym: jeśli te historie są zgodne z rzeczywistością, nie chodzi o epizody mobbingu – raczej o przemoc jako świadomą, przyjętą przez byłego już szefa Stowarzyszenia (kilka dni temu ks. Stryczek podał się do dymisji) metodę zarządzania ludźmi. Przeraża w tekście Janusza Schwertnera nie tylko skala zjawiska oraz jego konsekwencji (załamania nerwowe, depresje), ale też pojawiający się w nim refren: pogarda dla przejawów słabości, swoisty kult siły, będącej jedynym gwarantem utrzymania nie tylko pracy, ale i psychicznej równowagi.

Rację mają komentatorzy podkreślający prawo ks. Stryczka do obrony (choć idą o krok za daleko sugerując, że odbył się medialny lincz na duchownym; by zdać sobie sprawę z absurdalności tego zarzutu, wystarczy myślowy eksperyment: dziennikarz wysłuchuje opowieści o mobbingu w słynnym stowarzyszeniu, a następnie chowa to do szuflady...). Ks. Stryczek zresztą z tego prawa skorzystał, i to kilkukrotnie. Zarówno w jego wypowiedziach, jak i tekstach osób próbujących stanąć w jego obronie powtarza się kilka tez bądź sugestii, które warto zweryfikować: że mamy do czynienia ze „słowem przeciw słowu" (raczej słowem przeciw wielu słowom; a i to nie zawsze: dziennikarz Onetu cytuje też np. e-mail od przedstawiciela

Gala podsumowująca Szlachetną Paczkę. Kraków, styczeń 2016 r.

JAKUB PORZYCKI / AGENCJA GAZETA

↦

↦ Wiosny, w którym redakcja jest szantażowana); że zeznania byłych pracowników Stowarzyszenia to „tylko opowieści i opinie” (znajdziemy w tekście także konkretne sceny i zdarzenia, których prawdziwość ks. Stryczek zresztą podważa); że termin publikacji tekstu jest nieprzypadkowy, bo zbiega się z premierą filmu „Kler” (to ulubiony zarzut wobec każdego dziennikarza ujawniającego dowolną patologię w Polsce); że byli pracownicy zwierzyli się dziennikarzowi, zamiast wcześniej organom ścigania (zarzutu tego nie postawi nikt, kto cokolwiek wie o mechanizmach psychologicznych przemocy). Sprawę będą wyjaśniać tak kuria, jak i prokuratura. Ale afera wokół Wiosny ma znacznie szerszy wymiar.

Wiele już powiedziano o tym, iż niezależnie od rozstrzygnięć dotyczących ks. Stryczka nie wolno podważyć dorobku dowodzonej przez duchownego i organizowanej rękami entuzjastów Szlachetnej Paczki (ale też np. jej siostrzanego projektu, czyli pomagającej tysiącom dzieci z zagrożonych rodzin w odniesieniu edukacyjnego sukcesu Akademii Przyszłości). Jest też inne ryzyko: że afera umocni stereotyp organizacji pozarządowych zepsutych jakoby przez „zły świat biznesu”; że głównym źródłem patologii w NGO-sach jest ich profesjonalizacja na korporacyjną modłę (o tym, że filantropia łączy się z pieniędzmi, np. na pensje dla pracowników, pisze na kolejnych stronach Szymon Hołownia). Bywa odwrotnie: to organizacje pożytku publicznego czerpią z dobrych – również antymobbingowych – wzorców wypracowanych przez firmy. Z korzyścią dla siebie i dla tych, którym pomagają.

Byłoby fatalnie, gdyby – ujawniona jak najsłuszniej przez dziennikarzy Onetu – sprawa domniemanego mobbingu w Wiośnie zatopiła bądź podtopiła nie tylko ją samą, ale też wiele innych inicjatyw.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

JACEK GĄDEK, autor tekstu o Lechu Wałęsie (strona 27), będzie gościem Mikołaja Lizuta w programie „A teraz na poważnie” Radia TOK FM w środę 26 września po godzinie 12.00.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

W SKRÓCIE

SŁOWO TYGODNIA. „Ojkofobia, niechęć do własnego narodu, to jedna z chorób, która dotknęła część sędziów” – tak Jarosław Kaczyński mówił na konwencji regionalnej swojej partii w Olsztynie, a my do listy zasług prezesa dla ojczyzny dopisujemy konsekwentne wzbogacanie języka debaty publicznej.

ARTUR SZCZEPAŃSKI / REPORTER

ORTOGRAFIA TYGODNIA. À propos wzbogacania: „A może, Pani Redaktor, coś o merytorycznej stronie tej wizyty w USA? W mediach za oceanem o tym piszą i dyskutują. A u nas? Jesteście Państwo dziennikarzami? Really?!?” – napisał na Twitterze Andrzej Duda, reagując na komentarz Dominiki Wielowieyskiej i podając jako przykłady tematów do podjęcia m.in. „Ford Trump” (zamiast „Fort Trump”) oraz „North Stream 2” (zamiast „Nord Stream 2”). Wcześniej prezydent napisał, że „szyderstwa i napad lewackich mediów oraz niektórych polityków i komentatorów, o znanych poglądach, pokazują sukces wizyty w Waszyngtonie”.

MEBEL TYGODNIA. Jak zatem pracować powinni dziennikarze? Może tak jak załoga Polskich Zakładów Lotniczych w Świdniku, zmuszona do wykonywania swoich obowiązków na kolanach po tym, jak kierownictwo zabrało zakwestionowane przez nią krzesła, ale nie dostarczyło nowych (o sprawie poinformowała, powołując się na Związek Zawodowy Inżynierów i Techników PZL-Świdnik, Gazeta.pl)? Złośliwi twierdzą, że istnieją dziś w Polsce media, w których pracuje się na kolanach, nie są one jednak lewackie.

Coroczny apel minister Rafalskiej, coroczne rozczarowanie

„PODOBNIE, JAK W ROKU UBIEGŁYM, również teraz zwracam się do Państwa z apelem o podwyższenie wysokości wynagrodzeń pracowników socjalnych zatrudnionych w jednostkach Państwu podlegających (...)” – napisała do przedstawicieli samorządów minister rodziny, pracy i polityki społecznej Elżbieta Rafalska.

Protestujący pracownicy socjalni domagają się ustalenia minimalnego wynagrodzenia, przejrzystej ścieżki awansu czy niewliczania dodatku za pracę w terenie do kwoty najniższego wynagrodzenia.

Minister Rafalska podkreśla: „Naszym zadaniem jest nieustanna praca nad wzmacnianiem autorytetu i poważaniem zawodu pracownika socjalnego”. Słowa minister zaskakują, tym bardziej że zamiast rozmów o konkretnych zmianach w ustawie o pomocy społecznej odpowiada kolejnym apelem. Tymczasem Ogólnopolski Protest Pracowników Pomocy Społecznej trwa. Jego uczestnicy zapowiadają pikietę w Warszawie na 12 października. ©℗ GOA

Bolesne ekshumacje

EUROPEJSKI TRYBUNAŁ PRAW CZŁOWIEKA przyznał rację Ewie Solskiej i Małgorzacie Rybickiej, wdowom po ofiarach katastrofy smoleńskiej, które sprzeciwiały się trwającym od listopada 2016 r. ekshumacjom ich bliskich: uznał, że na skutek działań prowadzących śledztwo w sprawie wydarzeń 10 kwietnia 2010 r. prokuratorów doszło do naruszenia art. 8 Europejskiej Konwencji Praw Człowieka, dotyczącego prawa do poszanowania życia prywatnego i rodzinnego. Wdowy po Arkadiuszu Rybickim i Leszku Solskim mają otrzymać po 16 tys. euro odszkodowania.

Komentując wyrok minister Zbigniew Ziobro uznał go za porażkę prokuratury, ale w okresie, kiedy rządziła PO. Zdaniem podległych mu śledczych ekshumacje były konieczne ze względu na błędy w rosyjskiej dokumentacji medycznej, brak materiałów fotograficznych i to, że Moskwa nie zgodziła się na przesłuchanie swoich biegłych, którzy przeprowadzali sekcję zwłok na miejscu katastrofy. „Przymusowa ekshumacja to naruszenie tabu obowiązującego w naszej kulturze, dotyczącego szacunku dla ciał zmarłych. Świadczy też o beztroskim traktowaniu uczuć rodzin” – mówiła jednak Małgorzata Rybicka w wywiadzie dla „TP” w październiku 2016 r. (czytaj na powszech.net/rybicka), a Trybunał orzekł, że z powodu działań prokuratury faktycznie doznała cierpień psychicznych.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Ostatni bój o Sąd Najwyższy

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Premier złożył przewodniczącej Sądu Najwyższego propozycję: „dogadajmy się”. I pewnie by się dogadali, tyle że mają za plecami zwarte armie prące do konfrontacji. W SN jest dziś bałagan, do którego doprowadziły zmiany w prawie przeforsowane przez PiS. Sędziowie mający powyżej 65 lat nie akceptują zsyłki na przymusowe emerytury. Jest wśród nich także Gersdorf, która wedle oficjalnego stanowiska PiS stała się emerytką sędziowską i przestała kierować sądem. Szkopuł w tym, że w konstytucji jest zapis o trwającej sześć lat kadencji pierwszego prezesa, zgodnie z tym Gersdorf powinna skończyć misję w 2020 r. Politycy PiS nie chcieli o tym słyszeć – do czasu.

Kilka dni temu niespodziewanie odwiedził ją premier Mateusz Morawiecki. I złożył konkretną ofertę. PiS miałoby tak zmienić swe własne przepisy, aby Gersdorf pozostała na stanowisku. Inni sędziowie 65+ teoretycznie mogliby również pozostać, ale będą kuszeni do odejścia wyższymi emeryturami. Cel jest oczywisty – zatrzymać postępowanie Komisji Europejskiej, która w poniedziałek skierowała sprawę ustaw sądowych do unijnego Trybunału Sprawiedliwości. Morawiecki ma wsparcie Kaczyńskiego, który pierwotnie miał nawet uczestniczyć w spotkaniu z Gersdorf. Ale – wbrew pozorom – to nie gwarantuje premierowi sukcesu.

Po pierwsze, kompromis oznaczałby ograniczenie władzy prezydenta nad Sądem Najwyższym. Tymczasem Andrzej Duda wyraźnie prze do konfrontacji, podobnie zresztą jak minister Zbigniew Ziobro. Prezydent powołał na dniach dziesięciu nowych sędziów SN, w większości ludzi Ziobry. W obozie władzy mówi się o taktycznym sojuszu obu polityków, którzy jeszcze kilka miesięcy temu ostro ze sobą walczyli o władzę nad sądami.Także Gersdorf jest pod presją. Duża część sędziów SN nie chce słyszeć o układach z władzą, którą oskarżają o łamanie konstytucji. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP”.

MARCIN ŻYŁA

Fatuma idzie do Mogadiszu

TE KOBIETY ZGUBIŁY SWOJE DZIECI. Najpierw nawoływały je wzdłuż drogi przy wsi. Wszyscy wiedzą, że gdy się ucieka z domu, taka droga to pierwsze miejsce zbiórki. Pierwszego dnia marszu napotkani ludzie pożyczyli im telefony. Zadzwoniły do bliskich, ale z nimi dzieci też nie było.

Asz-Szabab przyszło do ich wsi w środku długiej równikowej nocy. 77-letnia Fatuma (na zdjęciu w jasnobrązowej tkaninie) pamięta, że najszybciej uciekali mężczyźni i chłopcy. Nie ma o to do nich żalu – to oni byli celem ataku. Po tym, gdy oddziały islamistycznej organizacji asz-Szabab wypędzono z Mogadiszu, nowych członków rekrutuje ona na wsi. Tylko w 2016 r. ONZ udokumentowała 1091 przypadków przymusowych wcieleń dzieci do asz-Szabab.

Kiedy kobiety zebrały całą grupę, poszły w stronę stolicy. Z okolicy, w której mieszkały, to sto kilometrów marszu.

Fatuma: – Najsilniejszym droga zajęła sześć dni. Słabsi szli dziesięć. O wodę i jedzenie prosiliśmy ludzi z wsi po drodze. Od tego jedzenia najmłodsze dzieci bardzo rozbolały żołądki i płakały jeszcze bardziej. Spaliśmy tam, gdzie zastała nas noc, bez mat, bez niczego. Baliśmy się wtedy ataku zwierząt, najbardziej lwic, oraz ludzi, którzy napadają i gwałcą. Cieszymy się, że ich nie spotkaliśmy. Naprawdę jednak nie mieliśmy wyboru. Musieliśmy iść dalej, bez żadnej ochrony. Chronił nas tylko Bóg.

Od kilku dni kobiety mieszkają w obozie dla uchodźców wewnętrznych pod Mogadiszu. Na kim teraz mogą polegać? Chyba nie zrozumiały pytania. Powiedziały tylko: kiedy zaczyna się dzień, idziemy prać ludziom ubrania za pieniądze. Nawet dzieci chodzą po okolicy, szukając jedzenia.

Takich przesiedleńców jak Fatuma jest w Somalii dwa i pół miliona.

©℗ MARCIN ŻYŁA Z MOGADISZU (SOMALIA)

Uchodźcom w Somalii można pomóc wpłacając na konto Polskiej Akcji Humanitarnej nr 02 2490 0005 0000 4600 8316 8772 (dopisek „Somalia”) oraz on-line: www.pah.org.pl

Korea: polityka gestów

TRZECI JUŻ RAZ świat wstrzymał oddech obserwując kolejne spotkanie przywódców obu Korei. Moon Jae-in i Kim Dzong-un rozmawiali w Pjongjangu nad przyszłością Półwyspu. I tym razem można było zobaczyć bizantyjskie gesty i symbole. Moon przemówił do ponad 150-tysięcznego tłumu mieszkańców Północy. Mówił o wspólnej historii narodu koreańskiego i zachęcił do odrzucenia obopólnej wrogości w celu przygotowań do zjednoczenia. Kim podarował delegacji Korei Południowej kilka ton gąski sosnowej (*songyi*). Grzyb ten jest wyjątkowo ceniony w kuchni azjatyckiej. Obaj przywódcy stanęli na szczycie najwyższej góry na Półwyspie, Pektu, na której według legendy w 2333 r. p.n.e. miał się narodzić protoplasta koreańskiej rasy, Tangun.

Kurtuazja nie powinna jednak przysłonić kwestii rozbrojenia nuklearnego Półwyspu. W tej sprawie – choć podpisano kolejne deklaracje – brak konkretów.

© ROMAN HUSARSKI

MAX ROSSI / REUTERS / FORUM

LUDZIE WIELU NARODOWOŚCI I WYZNAŃ „mieszkali tu razem, w pokoju, aż do nadejścia ideologii totalitarnych, które skruszyły zdolność gościnności i harmonizowania różnic, siejąc przemoc i nieufność” – powiedział Franciszek podczas pielgrzymki na Litwę (22 i 23 września). Wspominając czasy okupacji niemieckiej i radzieckiej, wezwał, do „uleczenia pamięci”, bez roztrząsania, „kto był czystszy w przeszłości, kto ma większe prawo do przywilejów”. Do młodych mówił: „Nie ulegajcie pokusie koncentrowania się na sobie, dążcie do świętości poprzez komunię z innymi”. 24 września pojechał na Łotwę, odwiedzić Rygę i maryjne sanktuarium narodowe w Agłonie. ©℗

„Nie” dla nienawiści

27-LETNI MĘŻCZYZNA 19 września wieczorem wybił kamieniem szybę w gdańskiej synagodze, w której trwały modlitwy z okazji święta Jom Kipur. Kamień przeleciał tuż obok twarzy jednej z kobiet. Dzień później na wspólnej modlitwie pod synagogą zebrało się ok. stu osób z gminy żydowskiej, Kościołów katolickiego, ewangelicko-metodystycznego i zielonoświątkowego. „Napad ten przywołuje najgorsze skojarzenia z antysemityzmem znanym z najbardziej mrocznych okresów naszej najnowszej historii – napisał w oświadczeniu bp Rafał Markowski, przewodniczący Komitetu ds. Dialogu z Judaizmem. – Nie godzimy się na nienawiść prowadzącą do aktów przemocy wobec jakiejkolwiek wspólnoty religijnej czy etnicznej żyjącej w naszej ojczyźnie”.

Sprawca jest w rękach policji. ©℗ MAM

Biskupi: ostra polityka wobec pedofilii

„PRZEPRASZAM ZA ŁZY I CIERPIENIA spowodowane przez księży, którzy sprzeniewierzyli się swemu powołaniu. Będę nadal z determinacją stawał po stronie ofiar tego rodzaju przestępstw” – powiedział biskup płocki Piotr Libera. Przypomniał, że przez ostatnie 11 lat w jego diecezji 9 duchownych oskarżono o nadużycia seksualne wobec nieletnich; żaden z nich nie pracuje z dziećmi, niektórzy zostali usunięci ze stanu duchownego. „Egzekwowanie zasady »zero tolerancji« było i jest moim priorytetem” – podkreślił.

„Nie ma w szeregach kapelańskich miejsca dla tych, którzy krzywdzą młodych” – napisał w liście do kapelanów Ordynariatu Polowego biskup polowy Józef Guzdek. „Pragnę przypomnieć zasadę »zero tolerancji« dla (...) przestępstw, których ofiarami byliby wierni powierzeni naszej pieczy”. Ks. Jan Dohnalik, delegat biskupa ds. ochrony dzieci i młodzieży, poinformował, że od grudnia 2010 r. prowadzono trzy procesy kanoniczne księży w sprawie nadużyć wobec małoletnich (jeden z nich odbywa karę 10 lat więzienia). „Każdy z oskarżonych został zawieszony w obowiązkach duszpasterskich. (...) Ordynariat współdziałał z organami ścigania, (...) udzielił wsparcia prawnego, psychologicznego i duszpasterskiego poszkodowanym” – zaznaczył. ©℗ MAM

Zjazd Gnieźnieński ewoluuje

ARTUR SPORNIAK

W historycznej stolicy Polski w dniach od 21 do 23 września odbył się XI Zjazd Gnieźnieński pod hasłem „Europa ludzi wolnych. Inspirująca moc chrześcijaństwa” (na zdjęciu poniżej prymas Wojciech Polak podczas mszy św. kończącej zjazd). Od początku zjazdy pomyślane były jako bezpieczne miejsce spotkania świata wielkiej polityki (w 1997 r. przyjechało siedmiu prezydentów państw i Jan Paweł II) z żywym Kościołem, z nadzieją, iż uda się tę pierwszą zainspirować myślą chrześcijańską. Z czasem wielka polityka stawała się coraz bardziej lokalna.

W tym roku oprócz kurtuazyjnej wizyty prezydenta RP minister Konrad Szymański przekonywał, że proces toczący się przeciwko Polsce oskarżanej o niepraworządność „jest jednym z kilku tysięcy badanych przez Trybunał Europejski spraw – zatem znajmy proporcje!”. „Proporcje są takie – odpowiadał Jerzy Buzek – że w historii Unii tylko kilka razy padł zarzut o odstępstwo od zasad”. Przełożenia na politykę zjazdy specjalnie

PAWEŁ JASKÓŁKA / PAP

jednak nie mają. Stają się coraz bardziej miejscem diagnozy społeczno-religijnej. W tym roku konkretów zabrakło. Choć kilka idei jest wartych zapamiętania: np. że wolność jest jak tango, do którego trzeba dobrej muzyki, czyli zasad (Rocco Buttiglione), oraz że prawdziwą wolność wymyśliło chrześcijaństwo, bo to ono odkryło „osobę” (Chantal Delsol). Duże wrażenie wywołał spór bp. Krzysztofa Zadarki z ks. Waldemarem Cisłą o zakres pomocy uchodźcom. Reprezentujący Watykan kard. Peter Turkson pytany był, czy Kościół wyjdzie z kryzysu pedofilskiego. Wyjdzie, odpowiedział, bo nie raz zdarzało mu się długo dojrzewać do świadomości, że popełnia błędy. ©℗

To znowu nie UFO

BYŁO JAK W „ARCHIWUM X”: 6 września agenci FBI ewakuują i zamykają obserwatorium astronomiczne Sunspot w Nowym Meksyku. Nad miejscem krąży śmigłowiec black hawk. Wszystko owiane jest tajemnicą, nic nie wie nawet lokalny szeryf. Oficjalne komunikaty mówią tylko o „względach bezpieczeństwa”. Wszystko dzieje się dwie godziny drogi od legendarnego Roswell, gdzie 2 lipca 1947 r. miało się rozbić UFO.

Przez jedenaście dni, przez które obserwatorium pozostaje zamknięte, narastają teorie spiskowe. Jak podliczył portal Vice.com: o nadchodzącej katastrofie słonecznej, kolejnym wypadku latającego talerza, wycieku rtęci używanej w teleskopie, chińskich szpiegach i portalu do innego wymiaru.

Zarządca teleskopu wydał 16 września oświadczenie, że przyczyną ewakuacji była „kryminalna działalność”, a podejrzany mógł zagrażać personelowi. Jak ujawnił 20 września Reuters, przyczyną zamieszania była akcja FBI, które podejrzewało tamtejszego sprzątacza, że po zalogowaniu się do sieci bezprzewodowej obserwatorium ściągał i rozpowszechniał dziecięcą pornografię. Gdy skonfiskowano mu komputer, zaczął sugerować, że materiały mu podrzucono, bo do kompleksu rzekomo „może wejść każdy, nawet seryjny morderca” – co sprowokowało decyzję o ewakuacji.

A przynajmniej w to nam każe wierzyć rząd. ©℗ MK

Mięczaki na haju

OŚMIORNICA pod wpływem narkotyków chciała się przytulać – to nie scenariusz skeczu, lecz obserwacja z badań opublikowanych w „Current Biology”. Cztery ośmiornice poddano działaniu ecstasy – imprezowego narkotyku wywołującego u ludzi m.in. pobudzenie, wzmożoną empatię i zwiększającego przyjemność z dotyku. Wiąże się on z białkiem wytwarzanym za sprawą genu, którego odpowiednik znaleziono też u ośmiornic – i wzmaga wydzielanie serotoniny. Ośmiornice pod wpływem ecstasy stawały się względem innych osobników przyjacielskie i przymilne.

Sugeruje to, że mimo ewolucyjnej przepaści sterująca zachowaniami społecznymi chemia mózgów ludzi i ośmiornic jest podobna. Dalsze badania – oprócz kontrowersyjnej rozrywki dla ośmiornic – mogą dostarczyć nam cennej wiedzy o naszych własnych mózgach. ©℗ MK / SCIENCE

Księgi horroru polskiego

MONIKA OCHĘDOWSKA

Organizatorzy Międzynarodowych Targów Książki w Krakowie informują corocznie: „Tłumy zwiedzających po raz kolejny udowodniły, że książka ma się dobrze”.

Krakowianie zwykli jednak żartować, że wyprawa na Targi wymaga nie tylko doskonałej strategii, ale i kompetencji surwiwalowych. Problemem jest zarówno kłopotliwy dojazd do ulokowanej w sąsiedztwie nowych osiedli hali EXPO, niewielki parking oraz zbyt skromna jak na potrzeby tak dużej liczby wydawców i zwiedzających przestrzeń wystawiennicza. W ubiegłym roku zjawiło się tu 70 tys. osób. Wizyta na Targach stała się torturą. Zaniepokojeni tą sytuacją polscy pisarze zaapelowali do organizatorów o poprawę warunków imprezy, zastrzegając sobie możliwość spotkania z czytelnikami w bardziej przyjaznych warunkach, spełniających też elementarne wymogi bezpieczeństwa.

Realny jest więc scenariusz, że Targi odbędą się bez pisarzy. Według szefowej imprezy, Grażyny Grabowskiej, współodpowiedzialni za ścisk na terenie EXPO są bowiem sami wydawcy, którzy konsekwentnie rezygnują z propozycji przeniesienia spotkań poza przestrzeń targów. Fatalna komunikacja to z kolei wina sąsiadów, którzy nie czują się zobowiązani do inwestowania w rozwój lokalnej infrastruktury. Pozostaje liczyć na to, że przyjaźniejszy będzie powiększony o dodatkowy metraż teren imprezy, także dzięki obowiązkowej rejestracji grup oraz zmianie lokalizacji stoisk popularnych wydawców. Organizatorzy rozważają ewentualność limitowania wejść.

Tegoroczne Targi Książki w Krakowie potrwają od 25 do 28 października. Gościem honorowym będzie Szwecja. ©

NASA // KEVIN CHO / WIKIPEDIA.ORG

DZIĘKI BALONOWI BADAWCZEMU, specjalnie w tym celu wysłanemu z terytorium Szwecji, udało się precyzyjnie sfotografować rzadkie i spektakularne zjawisko atmosferyczne: obłoki srebrzyste (zdjęcie w prawym górnym rogu). Występują 80 km nad powierzchnią Ziemi, są więc już jedną nogą w przestrzeni kosmicznej. Widać je tuż po zmierzchu lub tuż przed świtem; w Polsce z rzadka goszczą na północnym niebie. Powstają prawdopodobnie wtedy, gdy kryształki lodu rosną na pyle pozostałym z meteorów, które spłonęły w górnej warstwie atmosfery. Na zdjęciu głównym: obłoki nad Sztokholmem. ©℗ ŁL

TEMAT TYGODNIKA

WSPÓLNOTA Z UKRAIŃSKIM AKCENTEM

Obecność blisko miliona mieszkających i pracujących nad Wisłą Ukraińców wyznacza początek końca Polski monoetnicznej.

MAREK RABIJ

Kim są? Na pewno nie uchodźcami, bo wojnę na wschodzie kraju, w której każdego dnia nadal giną ludzie, większość z nich zna tylko z telewizji. Nie lubią też słowa „imigrant", zabarwionego desperacją i smutkiem wyborów ostatecznych. A oni są przecież tylko ludźmi na walizkach, żyjącymi cyklem kilkumiesięcznych wacht w Polsce, paroma tygodniami wypoczynku w domu i powrotem – niekoniecznie do tego samego miejsca pracy czy nawet miejscowości. Tylko niektórzy z nich zaczęli nad Wisłą zapuszczać korzenie. M-2 wynajmowane w kilka osób zamienili na przestronniejsze M-3, do którego ściągnęli rodzinę. Możliwe, że dzieci chodzą nawet do polskiej szkoły i zdążyły opanować młodzieżowy slang, który dla ich rodziców – walczących nadal ze szczebrzeszyńskimi chrząszczami – pozostanie chyba już na zawsze poza zasięgiem.

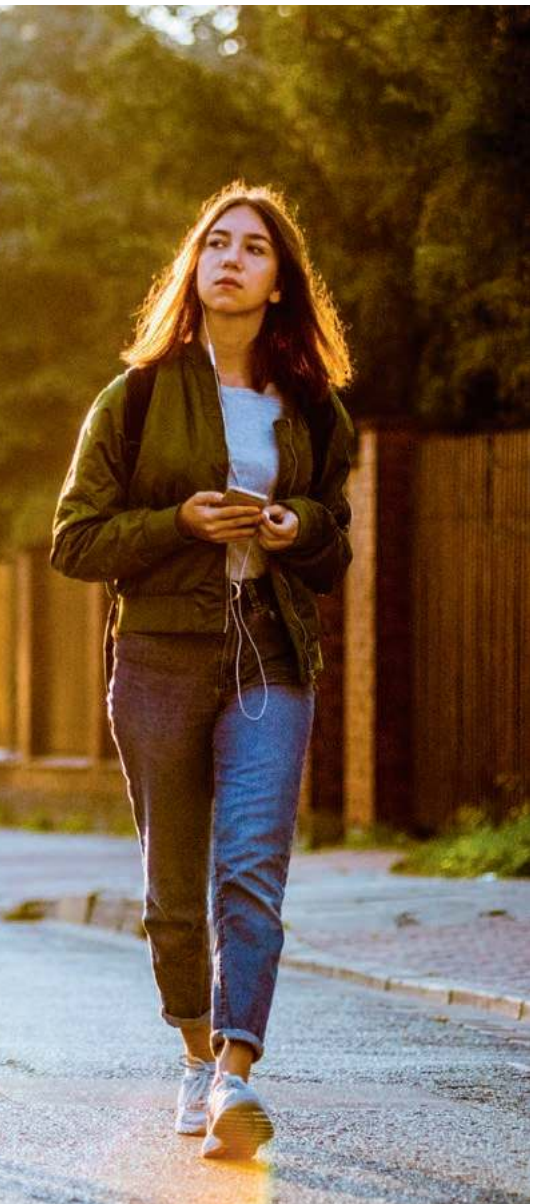

JACEK TARAN DLA „TP"

Jeszcze jedno zdaje się ich łączyć. Wciąż kochają Ukrainę trudną, bo nie do końca odwzajemnioną miłością. Z Polską biorą małżeństwo z rozsądku. Uczucie może przyjdzie z czasem.

Ołeh

Nazwisko: Daniliuk.
Lat: 38.
Zawód: Mechanik samochodowy.
Miejsce zamieszkania na Ukrainie: Żytomierz.
Adres w Polsce: Kąty Wrocławskie.

Jakiś czas temu próbował przeczytać „Ogniem i mieczem" Sienkiewicza, które mu dla hecy podrzucili polscy koledzy. Lektura okazał się jednak za trudna. W głowie został mu tylko początek o tym, że „1647 rok to był dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia".

– U mnie dziwny to był rok 2016. W lutym mnie żona rzuciła. W marcu zmarła mama, w kwietniu wyrzucili mnie z pracy, a na początku lipca byłem już w Polsce – wylicza.

Jak mówi, wyszło na dobre. Z żoną pewnie i tak by mu się nie ułożyło, bo, prawdę mówiąc, po 13 wspólnych latach mieli siebie dosyć. Matki oczywiście żal, swoje lata jednak już miała. Został po niej stary dom na przedmieściach Żytomierza pachnący jej rzeczami, który Ołeh chciałby wyremontować i zostawić sobie na starość. A praca na Ukrainie?

– Robitajesz cały miesiąc – Ołeh wciąż miewa problemy z polską odmianą – a w dniu wypłaty szef mówi, że pieniądze będą za dwa tygodnie. Potem zmienia zdanie i obiecuje, że zaległą pensję wypłaci razem z kolejną, a ty możesz tylko prosić Boga, żeby tym razem nie kłamał.

We Wrocławiu polski szef, właściciel serwisu znanej marki aut, płaci w terminie, do tego ze trzy razy więcej. Prawie 2,5 tys. zł na rękę. Mieszkanie wraz z opłatami w peryferyjnych Kątach Wrocławskich kosztuje Ołeha niecałe 400 zł miesięcznie, bo wynajmują je w piątkę. W dużym pokoju śpi trzech Ukraińców. W mniejszym Kostia z Białorusi, któremu karnie dokwaterowali Ołeha, bo obaj chrapią jak niedźwiedzie. Inne wydatki? Telefon kosztuje kilkadziesiąt złotych miesięcznie. Resztę można – jak zauważa z satysfakcją – wydać na siebie albo zaoszczędzić.

Rodzina Jewgienii Budiejewej, od lewej: Igor, Kira, Jewgienia i Jara.

– Dużo szczęścia miałem. Przyjechałem na gotowe. Kolega pracuje na naszej stacji serwisowej ponad rok dłużej i to on załatwił mi pracę, nawet mieszkanie mi znalazł. Teraz, jak wracam na Ukrainę, staram się też pomagać tym, co dopiero myślą o pracy w Polsce.

Socjologowie nazywają to siecią migracyjną. Ci, którzy wyjechali wcześniej, nie od razu tracą kontakt z ojczyzną i przez długi czas, prócz pieniędzy, przywożą do domu informacje o tym, gdzie imigrantom łatwiej o pracę, których pracodawców unikać albo którym przejściem granicznym najbezpieczniej przewieźć walutę. Potem od tych, którzy już całkiem wrośli w nowy kraj, przejmują te zadania następni. Imigracyjna społeczność przyrasta kolejnymi warstwami jak pień drzewa.

Pierwsza, niewielka fala migracji z Ukrainy do Polski to koniec lat 90., kiedy kryzys rosyjski uderzył rykoszetem w ukraińską gospodarkę. Druga, już większa, zbiegła się w czasie z kryzysem finansowym po upadku Lehman Brothers. Ostatnia – największa – ruszyła w 2014 r. po ataku rosyjskich „zielonych ludzików" na Krym i Donbas, który zapoczątkował następny kryzys w gospodarce tego wciąż mocno związanego ekonomicznie z Rosją kraju. W 2014 r. ukraiński PKB skurczył się o ponad 6 proc. Rok później – niemal o 10 proc. Dziś gospodarka znów jest na plusie, ale wzrost na poziomie 2 proc. po kilku latach recesji to wciąż za mało, by odczuł go w portfelu przeciętny Ukrainiec. Zwłaszcza przy modelu rozwojowym obranym przez Kijów, który – wzorem Polski – koncentruje się na inwestycjach w największych miastach i unowocześnieniu sieci dróg krajowych.

– Jeżdżę na Ukrainę systematycznie od dwóch dekad i odnoszę wrażenie, że w ostatnich latach poziom życia w małych miejscowościach i na wsi uległ pogorszeniu – przekonuje Wojciech Konończuk kierujący w Ośrodku Studiów Wschodnich zespołem Białorusi, Ukrainy i Mołdawii. – Może nie brakuje pracy, ale trudno znaleźć posadę z zarobkami adekwatnymi do kosztów życia, pod wieloma względami porównywalnych do polskich.

Z perspektywy przeciętnego Ukraińca deprymujące są także ostre wahania kursu hrywny do dolara, który jest drugą, nieoficjalną walutą kraju, a poza tym ma duży wpływ na ceny towarów importowanych, ↦

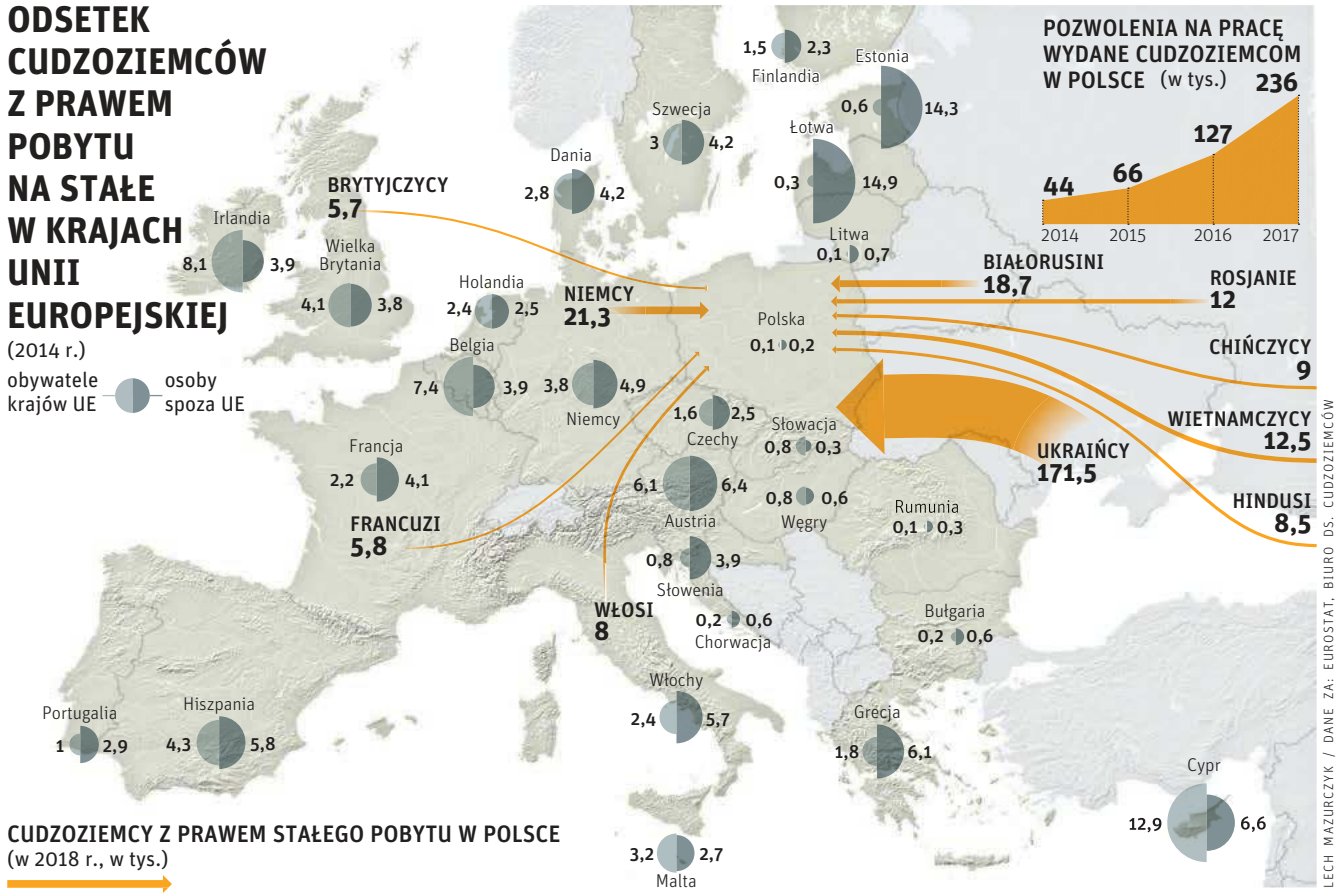

↦ więc również inflację. Na początku 2014 r., tuż przed Majdanem, za jednego dolara trzeba było zapłacić ok. 9,5 tys. hrywien. Dziś kurs trzyma się powyżej 28 tys. hrywien mimo obietnic banku centralnego, że nie przekroczy pułapu 27 tys. Inflacja w zeszłym roku też miała oscylować wokół 8 proc. W rzeczywistości przekroczyła 14 proc.

– Żeby trzymać oszczędności w ukraińskiej hrywnie, trzeba być bardzo bogatym albo bardzo głupim – chichocze Ołeh. – Ja wymieniam na hrywny tylko tyle, ile potrzebuję na rachunki. Jak jestem w Żytomierzu, daję pieniądze siostrze, która płaci potem, co trzeba. Resztę trzymam tutaj, w waszej walucie.

Według Narodowego Banku Polskiego wartość transferów z Polski na Ukrainę wzrosła w zeszłym roku z 7,8 do 11,7 mld zł – co da się wytłumaczyć rosnącymi zarobkami imigrantów i coraz częstszym korzystaniem przez nich z polskich kont bankowych. Równie prawdopodobne jest też inne wyjaśnienie: sam wzrost liczby Ukraińców zatrudnionych w polskiej gospodarce. Ołeh Daniliuk ma na to własny miernik: – Coraz częściej jak wchodzę do sklepu, to zaczynam od razu mówić po ukraińsku.

11 godzin dziennie

To ilu jest ich naprawdę? Polskie media mówią o dwóch, a nawet trzech milionach pracujących Ukraińców, ale taka liczba wydaje się mocno przeszacowana. Podobnie jak przekonanie, że głównym kryterium wyboru Polski jest nasza kulturowa bliskość. To czynnik ważny, lecz nie najistotniejszy. W rzeczywistości chodzi przede wszystkim o stronę formalną: od 2008 r. Polska prowadzi najbardziej liberalną politykę imigracyjną wobec obywateli ukraińskich spośród wszystkich krajów Unii.

Sami ukraińscy politycy mówią o 1,4 mln rodaków przebywających obecnie za zachodnią granicą ich kraju. A prof. Gertruda Uścińska, prezes Zakładu Ubezpieczeń Społecznych – o 558 tys. osób objętych ubezpieczeniem emerytalnym i rentowym, które nie są obywatelami Polski.

– Dominującą grupą są obywatele ukraińscy: ponad 418 tys. W tej liczbie mamy zatrudnionych na podstawie umowy o pracę 216 tys., ok. 4 tys. prowadzi działalność gospodarczą, a zlecenia i inne tytuły dotyczą 198 tys. osób – uściśla szefowa ZUS, przyznając jednocześnie, że statystyki Zakładu nie mogą uwzględnić Ukraińców pracujących w Polsce na czarno, którzy żadnych składek nie odprowadzają.

– My szacujemy, że Polska gości obecnie około miliona obywateli Ukrainy – dodaje Wojciech Konończuk. – Składają się na tę liczbę pracownicy sprowadzeni na podstawie oświadczeń o chęci zatrudnienia, studenci, pewna grupa zatrudnionych na czarno oraz Ukraińcy mający prawo stałego pobytu.

Według danych Urzędu do Spraw Cudzoziemców w sierpniu tego roku status rezydenta Rzeczypospolitej przysługiwał już liczbie 171,5 tys. obywateli Ukrainy. W 2016 r. złożyli oni 7,5 tys. takich wniosków. Rok później już blisko 10 tys.

Oficjalne dane rządowe pozostają jednym z nielicznych źródeł informacji o ukraińskiej społeczności nad Wisłą. Ukraińcy interesują jednak państwo polskie przede wszystkim jako tania siła robocza i podatnik. Własne raporty na ten sam temat co jakiś czas publikują również agencje pracy tymczasowej.

W najnowszym, zamówionym przez firmę EWL, autorzy pokusili się o portret zbiorowy ukraińskiego pracownika w Polsce: to najczęściej mężczyzna w wieku do 35 lat, z wykształceniem średnim lub wyższym, pochodzący z któregoś z miast na zachodzie Ukrainy. Wcześniej nie pracował w innym państwie Unii Europejskiej i nie zna języka polskiego lub dopiero opanował jego podstawy. Większość chce go wprawdzie doskonalić, lecz tylko czterech na dziesięciu badanych traktuje pobyt w Polsce także jako okazję do zdobycia dodatkowego wykształcenia zawodowego. Co drugi ankietowany zamierza spędzić w Polsce maksymalnie pół roku, kolejne 32,5 proc. – do trzech miesięcy. Aż trzy czwarte badanych zadowoli się zarobkami na poziomie poniżej pensji minimalnej, dzięki którym spodziewają się odłożyć podczas pobytu najczęściej 5-10 tys. zł. Co drugi pracownik podczas pobytu w Polsce nie wyśle do domu ani złotówki, bo lepiej nie kusić nieprzewidywalnego ukraińskiego fiskusa.

Warunki pracy? Coraz lepsze, mimo że nadal blisko ośmiu na dziesięciu Ukraińców gotowych jest pracować powyżej kodeksowych ośmiu godzin dziennie bez nadgodzin, a ponad 70 proc. nie rozumie różnicy między etatem a umową o dzieło. Aż 68 proc. badanych twierdzi za to, że nie zetknęła się w Polsce z żadnymi oznakami niechęci czy dyskryminacji ze względu na pochodzenie. Niemal 75 proc. nigdy nie pracowało na czarno, a tylko 29,2 proc. badanych miało nad Wisłą do czynienia z nieuczciwym pracodawcą.

Czy naprawdę jest aż tak dobrze, czy agencje pracy celowo lukrują ukazaną w raportach rzeczywistość? Zespół socjologów pod kierownictwem prof. Macieja Duszczyka z Uniwersytetu Warszawskiego, wieloletniego szefa Ośrodka Badań nad Migracjami, kończy się właśnie przebywającym w Polsce Ukraińcom przyglądać, nie tylko przy pracy. Wśród zadawanych w badaniach pytań znalazły się także te o bezpieczeństwo.

– Ukraińcy czują się w Polsce bezpieczni. A raczej bezpieczniejsi niż w ojczyźnie, bo jeżeli stracą jedną pracę, natychmiast mogą podjąć inną. Chętnie podkreślają fakt, że w instytucjach publicznych nie muszą płacić łapówek – wylicza profesor.

Próg bezpieczeństwa wskazywany przez ankietowanych oznacza najczęściej uczciwego pracodawcę, który nie wykorzystuje pracowników i płaci w terminie. Podkreślając znaczenie punktualności wypłat i stabilności zatrudnienia, ankietowani w rzeczywistości wskazują jednak – jak zauważa prof. Duszczyk – na duże znaczenie innych elementów polskiej codzienności, które zapewniają im poczucie bezpieczeństwa, bo po prostu działają bez zarzutu: niezły stan infrastruktury, coraz efektywniejsze i coraz przyjaźniejsze urzędy.

– Polska staje się dla nich miejscem, z którym chcą się związać na dłużej. Wyższe zarobki nadal są głównym powodem wyjazdu z ojczyzny, ale po pewnym czasie równie ważny, a dla niektórych nawet ważniejszy, staje się standard życia mierzony nie tyle zasobnością portfela, co przewidywalnością życia codziennego – konkluduje socjolog.

Jewgienia

Nazwisko: Budiejewa
Lat: 39.
Zawód: Cukiernik.
Miejsce zamieszkania na Ukrainie: Zaporoże.
Adres w Polsce: Kraków.

– Pan może się śmiać, ale na razie Polska dla mnie nie ma wad – zastrzega Jewgienia. – A jestem tu z rodziną trzy lata. To chyba dość długo, żeby dostrzec słabe strony, prawda?

Szukać ich Jewgienia na siłę nie zamierza, choć już zdążyła dostrzec polską skłonność do narzekania i bagatelizowania dobrych stron: – Dlatego zawsze mówię polskim znajomym: pomieszkajcie trochę na Ukrainie, nauczycie się cenić, co macie.

Mamy na przykład administrację, która jest dla obywatela, a nie przeciwko niemu. Jewgienia polubiła chodzenie w Polsce do urzędów, bo nie trzeba w nich dawać w łapę, żeby coś załatwić. Polskich polityków z ukraińskimi też porównywać nie ma sensu, bo nasi może święci nie są, ale przynajmniej nie wpędzają co kilka lat państwa w kolejny śmiertelny kryzys, żeby samemu zbijać na nim kokosy.

Budiejewowie mieli na Ukrainie firmę. Instalowali telefony i internet na nowych osiedlach: – Ale jak po Majdanie odsunęli od władzy Janukowycza, w całym kraju zmieniła się władza i nagle się okazało, że firma męża właściwie z dnia na dzień straciła wszystkie kontrakty, bo od teraz miał je realizować ktoś inny – wspomina Jewgienia. – Mogliśmy się o nie bić do upadłego, tylko nic by to pewnie nie dało. Dlatego sprzedaliśmy, co się dało, za jedną trzecią ceny rynkowej i przenieśliśmy się do Krakowa.

Trzypokojowe mieszkanie na krakowskim osiedlu to wprawdzie nie to samo co dom z basenem w Zaporożu, Budiejewowie w Polsce odkryli jednak na nowo sens pracy. Jak przekonuje Jewgienia, na Ukrainie bez znajomości nie da się dosłownie nic. W Krakowie życie nie jest oczywiście usłane różami, ale gdy coś nie idzie, pretensje można mieć wyłącznie do siebie. Jewgienia prowadziła do niedawna cukiernię, ale koszty przerosły dochody i trzeba ją było zamknąć: – Tak bywa w biznesie – mówi. – Może niebawem zrobię coś nowego, a na razie pracuję na etacie i też jest dobrze.

Córki chodzą do polskiej szkoły. Starsza czasem chwyta lekki wschodni akcent, ale polszczyzna młodszej jest idealna. Za to Jewgienia coraz częściej łapie się na tym, że martwi się o córki, gdy jadą na Ukrainę w odwiedziny do babci. Czy będą tam bezpieczne? Czy dalsi krewni nie wyżyją się na nich za rodziców, którzy opuścili ojczyznę? Czy w ogóle będą jeszcze w stanie żyć po ukraińsku?

– Wie pan, co lubię tu najbardziej? Ukraińskich mężczyzn opiekujących się dziećmi. Na Ukrainie facet ręką nie ruszy przy dziecku. Tutaj patrzy, jak polscy mężczyźni bawią się z dziećmi na placach zabaw, i nagle zaczyna rozumieć, że go to jednak męskości nie pozbawi.

Strefa narodowego komfortu

Zwolennicy monoetnicznej Polski w ostatnich zmianach nad Wisłą nadal nie czują wiatru historii. Ich zdaniem to raczej wiosenna burza, która szybko minie i jedynie zmusi służby porządkowe do krótkotrwałej mobilizacji. Najlepiej ilustruje ten tok rozumowania przypadek wiceministra rozwoju Pawła Chorążego, który „zdecydowanie zagalopował się" – jak stwierdził premier Mateusz Morawiecki – w ocenie znaczenia migracji zarobkowej dla Polski, za co niedawno zapłacił posadą. Tymczasem wiceminister stwierdził jedynie, iż „migrantami jest zbudowany dobrobyt tych państw, które osiągnęły największy sukces", a innym razem podzielił się z opinią publiczną oczywistą obserwacją, że z finansowego punktu widzenia sprowadzenie imigrantów z Azji lub Ukrainy jest tańsze od repatriacji Polaków ze Wschodu. Z politycznego punktu widzenia obie wypowiedzi nie miały większej wagi. Rzecz ↦

↦ jasna, poza ich kontekstem wyborczym – bo większości elektoratu PiS, a można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że większości Polaków, temat migrantów nadal budzi emocje. W kolejnych badaniach opinii publicznej ponad połowa ankietowanych deklaruje, że ich zdaniem Polska nie powinna w ogóle otwierać się na imigrantów; zwłaszcza tych z obszarów kulturowo dalekich potomkom wojów Chrobrego.

Rzecz w tym, że Polska już się otworzyła. Między końcem roku 2012 a połową 2017 liczba cudzoziemców mających prawo stałego pobytu na terenie Rzeczypospolitej wzrosła ze 114,6 do 300 tys. osób i choć odsetek cudzoziemców w społeczeństwie mamy wciąż bardzo niski (według najnowszych szacunków ok. 2,5 proc., gdy średnia dla 28 krajów UE sięga 7 proc.), wiele wskazuje na to, że do pojałtańskiego porządku demograficznego Polska może już nigdy nie wrócić. Obywatelstwo polskie, dopóki Polska należy do UE, dla wielu cudzoziemców stanowi dużą wartość. Po głosowaniu brexitowym ambasada RP w Londynie została zasypana setkami wniosków o nadanie lub potwierdzenie polskiego obywatelstwa. W Izraelu od 2010 r. paszport z orzełkiem otrzymało ponad 20 tys. osób. Większość z nich, rzecz jasna, nigdy do Polski się nie przeprowadzi, ale w przypadku Ukraińców z polskimi korzeniami chęć zmiany adresu zamieszkania może być o wiele większa. Gdyby częściej decydowali się na to dobrze wykształceni specjaliści, bilans migracji nabrałby rumieńców. Tylko jak skłonić ich do tego, żeby wybrali Polskę, a nie np. Niemcy?

Iryna

Nazwisko: Hnasewicz.
Wiek: 26 lat.
Zawód: Prawnik.
Miejsce zamieszkania na Ukrainie: Tarnopol.
Adres w Polsce: Kraków.

– Czy chciałabym zostać w Polsce na stałe? Nie wiem. Łatwiej byłoby mi na to odpowiedzieć, gdybym wiedziała, że to realne.

Iryna żartuje, że takich jak ona najlepiej opisuje polskie słowo „za". Za młodzi, żeby pamiętali Polskę sprzed dekady z 20-procentowym bezrobociem, które wdrukowałoby im paniczny strach przed utratą pracy. Za dobrze wykształceni, żeby iść do pracy w sklepie. Z doskonałą polszczyzną i mnóstwem polskich znajomych na Facebooku, ale zarazem wciąż „za bardzo ukraińscy", by bez emocji wsiąknąć w polski żywioł, który się od nich dystansuje. Mniejsza o staruszki, którym w tramwaju zdarza się czasem warknąć: „ty ruska świnio". Iryna po prostu już wie z doświadczenia, że z dwóch osób o identycznych kwalifikacjach to ona, cudzoziemka, zawsze będzie w Polsce tą gorszą. Dlatego mówi o sobie: stypendystka. Imigrantką się nie czuje, bo nie podjęła jeszcze decyzji o zerwaniu na stałe z Ukrainą, a tym bardziej o związaniu się z Polską.

– Mieszkam tu od pięciu lat, kocham Kraków, uwielbiam to, że tramwaje każdego dnia jadą tą samą trasą, ale ilekroć słyszę rodaków skarżących się na Ukrainę, to mi się ciśnienie podnosi – opowiada. – Nie rozumiem na przykład, jak można chwalić polską służbę zdrowia? Leczyć wolałabym się u nas.

Gdyby jednak miała zostać na stałe w Polsce, przede wszystkim oczekiwałaby, żeby Polacy nie tylko do niej mówili, ale też zaczęli słuchać: – Nawet w grupie najbliższych polskich przyjaciół nie mam odwagi wspomnieć np. o Wołyniu. Próbowałam. Wiem, że oni oczekują ode mnie, że będę mówić tylko to, co chcą usłyszeć.

Niełatwej wspólnej historii oczywiście nie można lekceważyć. Można jednak przynajmniej spróbować nie stawiać jej w centrum wzajemnych relacji: – Ale polski rząd potrzebuje nas jako argumentu w bieżących sporach i zamiast łagodzić napięcia, czasem je wręcz eskaluje – żali się Iryna.

W czerwcowym badaniu CBOS Ukraińcy uplasowali się na szarym końcu zestawienia nacji, które Polacy lubią najbardziej. Stosunek Polaków do Ukraińców i Niemców był najgorszy od 10 lat. Sympatię dla wschodnich sąsiadów zadeklarowało 36 proc. badanych, a niechęć – 32 proc. Aż dla 26 proc. ankietowanych Ukraińcy byli obojętni.

Obwarzanek na tryzubie

Zamykanie oczu na problemy naszej koegzystencji niczego jednak nie zmieni. Nie unikniemy także trudnych pytań o nową, wspólną tożsamość. Włącznie z pytaniem o to, co dziś znaczy być Polakiem. Czy polskość dalej mamy traktować wyłącznie jako pochodną urodzenia, ideologicznie znieczuleni na fakt, że identyfikują się z nią też ludzie bez polskich korzeni? Czy na miano Polaka bardziej zasługuje dziecko polskich emigrantów, urodzone, wychowane i wykształcone w Irlandii, po polsku dukające, czy dziecko imigrantów z Ukrainy, żyjące w Polsce, świetnie mówiące językiem Mickiewicza i uważające się już za Polaka? Może bycie Polakiem powinno oznaczać powrót do międzywojennej koncepcji narodu politycznego, w którym 500 plus w takim samym stopniu należy się na małego Tarasa czy Karima, jak na Tomka i Kasię?

I dalej – czy typową dla takich wielonarodowych społeczeństw wielowyznaniowość da się dalej godzić z przekonaniem o szczególnej roli Kościoła katolickiego w życiu kraju? Dziś aż 88 proc. respondentów uczestniczących w badaniu CBOS o „Postawach wobec obecności Kościoła katolickiego w przestrzeni publicznej" nie przeszkadza obecność krzyża w szkołach i urzędach. Ośmiu na dziesięciu ankietowanych nie ma nic przeciwko uczestnictwu katolickich duchownych w uroczystościach państwowych, a 61 proc. badanych nie dostrzega niczego nagannego w wypowiedziach kościelnych oficjeli na bieżące tematy polityczne. Nowi Polacy mogą mieć na ten temat inne zdanie, albo tego samego zaczną domagać się dla symboli i przedstawicieli własnych religii. Mogą też zażądać miejsca na swoją tradycję i kulturę w programie polskiej szkoły – i to szybciej, niż się nam zdaje. Tylko w Krakowie w ciągu czterech ostatnich lat liczba uczniów-cudzoziemców wzrosła z dwustu do aż 2,3 tys.

Dla przedstawicieli obozu rządzącego imigracja to niemal wyłącznie zagrożenia, choć niesie ona ze sobą także szanse, z których najważniejszą – jeśli wierzyć teoretykom wielokulturowości z Richardem Floridą na czele – jest powiew innowacyjnej świeżości w społeczeństwie. Może on przynieść także znaczny skok cywilizacyjny – pod warunkiem, że nowi i starzy mieszkańcy kraju obdarzą siebie nawzajem ciekawością i tolerancją (wbrew „polityce wrogości", o której w dziale Kultura tego wydania „TP" opowiada Achille Mbembe).

Czy Polskę – najciekawszą i najsmaczniejszą na rubieżach polskości – znowu będzie mógł symbolizować obwarzanek ze słynnego powiedzenia marszałka Piłsudskiego? Ukraińscy imigranci podają go nam właśnie na widelcu. Inna sprawa, czy jesteśmy już gotowi nie widzieć w nim tryzuba.

©℗ MAREK RABIJ

MARIUSZ GACZYŃSKI / EAST NEWS WARSZAWA

Parada Schumana, Warszawa, maj 2015 r.

O zdejmowaniu butów w gościach

PROF. WOJCIECH BURSZTA, ANTROPOLOG KULTURY:

Po co się męczyć pytaniami o tożsamość, gdy wszyscy jesteśmy Polakami? A co znaczy być Polakiem, to każdy prawdziwy Polak wie.

MAREK RABIJ: Porozmawiajmy o imigrantach. Jak Polak z Polakiem.

PROF. WOJCIECH BURSZTA: W tej konwencji nie zajdziemy tam, dokąd chciałbym Pana zabrać. W Polsce mamy problem z polskością. To słowo niesie konotacje, które budzą mój niepokój.

Rozumiem, że imigracji do Polski od samej polskości nie oddzielimy.

Nie – o ile założymy, że mówiąc A, czyli zezwalając na imigrację zarobkową, trzeba powiedzieć także B, czyli pomóc się tym ludziom w Polsce odnaleźć i stopniowo zasymilować. A w tym miejscu zaczną się problemy. Po 1989 r. nie udało się nam – mam teraz na myśli nie tylko szkołę, ale i media, liderów opinii oraz polityków – zaszczepić polskiemu społeczeństwu choćby zalążków wielokulturowości. Przedwojenna Rzeczpospolita była, jak wszyscy wiemy, etnicznym, religijnym i kulturowym patchworkiem, który scalała koncepcja narodu politycznego. Wojna, a potem Polska Ludowa brutalnie przeformatowały to społeczeństwo w monolit, w którym nie było miejsca na inną narodowość poza polską i na inne języki niż polski. Nawet regionalizmy i niepolskie nazwiska stały się niepożądane, bo rzekomo godziły w zdefiniowaną na nowo „polskość". A na to wszystko nałożyła się dodatkowo polityczna izolacja od reszty świata i sztucznie wzmagane przez władze poczucie zagrożenia z zagranicy.

W wymiarze ustrojowym, ekonomicznym, nawet obyczajowym, PRL skończył się może nie od razu w 1989 r., ale w latach 90. Ostała się jednak ta nasza monoetniczność, nieufna wobec obcych, ale też bezrefleksyjna – bo po co się męczyć pytaniami o własną tożsamość, gdy wszyscy jesteśmy Polakami? A co znaczy być Polakiem, to już każdy prawdziwy Polak po prostu wie.

Dodatkowo zapukała do nas globalizacja.

I pojawiły się od razu kłopoty z pogodzeniem tych dwóch wymiarów codzienności, które nam zaczęły nieprzyjemnie interferować. Część społeczeństwa zachłysnęła się konsumpcją, ale część zaczęła nieufnie przyglądać się każdej nowości poprzez stary PRL-owski pryzmat dopasowania do mitycznej polskości – oczywiście przeżywanej dalej stadnie i instynktownie. Pamięta pan apele o ograniczenie stacjom radiowym czasu na emisję piosenek nie po polsku?

↦

Dziś wiadomo, że ta mieszanka przekonania o polskiej wyjątkowości i jednoczesnego poczucia zagrożenia ze strony nowoczesnego świata, który wlewa się do Polski każdą szparą, przyczyniła się do wyborczego zwycięstwa ekipy obecnie miłościwie nam panującej. Rzecz jasna, nie jest też dziełem przypadku, że polityka historyczna PiS nadal trzyma się narodowościowych stereotypów i resentymentów, które wywołują w części Polaków syndrom oblężonej twierdzy. W 1924 r. Jan Stanisław Bystroń opublikował głośny esej „Megalomania narodowa", w którym m.in. zderzał ze sobą wzajemne stereotypowe wyobrażenia o Żydach, Polakach, Ukraińcach czy Litwinach, pokazując przy tym, na jakie manowce prowadzi myślenie w kategoriach narodu wybranego, które musi się karmić niechęcią, a przynajmniej nieufnością do innych. „Rozwijając teorię megalomanii narodowej, musimy dojść do nacjonalizacji Boga lub do deifikacji narodu, a więc do zaniku tych podstawowych pojęć religijnych i etycznych, na których wspiera się kultura europejska" – pisał.

Jeśli pan sięgnie dzisiaj po ten esej lub po jego rozszerzoną wersję książkową, wydaną kilka lat później, odkryje pan ze zdziwieniem, że większość przedwojennych stereotypów wymienionych przez Bystronia nadal ma się dobrze, a niektóre żyją nawet w polskiej debacie publicznej. Polski rząd niedawno ogłosił, że jego zadaniem jest przypomnienie Europie o wartościach, od których rzekomo odeszła. Jeśli chodzi o stereotypy wokół malutkiej społeczności żydowskiej, warto natomiast zajrzeć do książek prof. Joanny Tokarskiej-Bakir, w których znajdziemy kompendium wiedzy o Żydach we współczesnej Polsce.

Rozumiem, że elektorat chce słuchać piosenki, którą zna, ale przecież zmienia się skład tej widowni. W Polsce mamy kilkaset tysięcy Ukraińców i kilkadziesiąt tysięcy cudzoziemców innych nacji, także bardzo nam dalekich kulturowo, jak Nepalczycy czy Wietnamczycy. W trzy lata odsetek obcokrajowców nad Wisłą wzrósł niemal dziesięciokrotnie.

Dzieje się właśnie coś bardzo istotnego, może wręcz przełomowego dla tożsamości kulturowej Polaków, bo moim zdaniem w perspektywie kilku najbliższych dekad pożegnamy ten etniczny monolit, w jaki zmieniła nasz kraj II wojna światowa i pojałtańskie roszady. Dlatego tak mnie martwi polityka PiS, który nadal mami opinię publiczną wizją, że napływ imigrantów do Polski to zjawisko tymczasowe, a nowoczesne polskie społeczeństwo, żyjące w zglobalizowanej gospodarce, będzie w stanie po staremu pielęgnować swoją piastowską *splendid isolation*. Proszę spojrzeć: gdy jeden minister ogłasza ułatwienia dla firm pragnących ściągnąć do Polski pracowników spoza Unii, inni politycy rządzącej partii w tym samym czasie straszą islamizacją kraju albo przypominają najstraszniejsze epizody z trudnej polsko-ukraińskiej przeszłości i napuszczają nas na siebie nawzajem. To mi trochę przypomina, co w latach 60. robiły m.in. rządy Niemiec czy Wielkiej Brytanii. Brakowało rąk do pracy, to się ściągało do kraju dziesiątki albo i setki tysięcy imigrantów z Turcji, Jugosławii czy ówczesnego Pakistanu Wschodniego, z nadzieją, że jak już sobie trochę dorobią i przestaną być potrzebni, to się ich po prostu odeśle, albo sami się spakują i wrócą do domu.

ANDRZEJ RYBCZYŃSKI / PAP

WOJCIECH BURSZTA:

Tu spróbujemy nowej kuchni, tam posłuchamy muzyki świata, potrenujemy jogę, w gruncie rzeczy nie jesteśmy jednak ciekawi ludzi, którzy to stworzyli.

Nie wrócili.

Bo nie da się inicjować poważnych procesów gospodarczych i zadekretować sobie, że pozostaną one bez wpływu na społeczeństwo i jego kulturę – albo że ten wpływ będzie łatwo odwracalny. Władze już dziś powinny podjąć próbę dostosowania aparatu państwa do zmian demograficznych, które właśnie się zaczynają. W Polsce, w której do niedawna każdy cudzoziemiec był turystą, już dziś mamy kilkaset tysięcy imigrantów zarobkowych, a sądząc choćby po deklaracjach szefów dużych firm, będzie ich jeszcze więcej. Część z nich wróci do swoich krajów, ale część zostanie, a wtedy do gry wkroczy wysoki przyrost naturalny, typowy w pierwszym pokoleniu imigrantów. Można więc założyć, że za kilkanaście lat w Polsce mieszkać będzie na stałe kilka milionów imigrantów. Może będzie ich tylko półtora miliona, może aż pięć, tego nie wiem, wydaje mi się to zresztą drugorzędne. Istotą problemu nie jest bowiem skala imigracji, lecz problem z zaakceptowaniem inności, jaki ma nadal olbrzymia większość polskiego społeczeństwa.

Ukraińcy, z którymi rozmawiałem przygotowując się do tego raportu, skarżą się, że Polacy faktycznie trzymają ich na dystans i redukują do taniej siły roboczej. Wszyscy chcą ich zatrudniać, ale mało kto gotów jest im wynająć mieszkanie.

I jak to pięknie falsyfikuje narodowy mit o staropolskiej gościnności. W rzeczywistości polska otwartość na innych najbliższa jest temu, co literatura naukowa nazywa multikulturalizmem butikowym: tu spróbujemy nowej kuchni, tam dorzucimy sobie zagraniczne święto do kalendarza, posłuchamy muzyki świata, potrenujemy jogę lub flamenco, w gruncie rzeczy nie jesteśmy jednak za grosz ciekawi ludzi, którzy to wszystko stworzyli. Takie pojmowanie kultury jest bardzo utylitarne, ale zarazem zdehumanizowane i, co gorsza, blisko od niego do czystej nietolerancji. Jak pisał Umberto Eco: „nie jesteśmy rasistami, dopóki mieszkańcy Mali siedzą u siebie".

Sam Pan przyznaje, że to nie tylko polski grzech, cytując Włocha. A przywołany wcześniej przez Pana Bystroń pisał: „przekonanie, że Bóg wybrał dany naród wyróżniający się idealnym charakterem i doskonałością celem przeprowadzenia swych zamierzeń na ziemi, wydaje się powszechne".

Owszem. Zaryzykuję jednak tezę, że w polskim wydaniu to poczucie wyjątkowości wyrasta w rzeczywistości z kompleksów cywilizacyjnego zapóźnienia i przez to ociera się często o śmieszność.

Opowiem panu o moich zeszłorocznych wakacjach. Pojechałem do Kalabrii, czyli na południe Włoch. Piękna okolica, cudowne plaże i sporo turystów, także z Polski. W pobliżu naszego hotelu były jednak dwa ośrodki dla uchodźców z Azji Mniejszej i Afryki, którzy czasem pojawiali się na plaży. Tylko Polacy awanturowali się potem o to w hotelu! Jedni skarżyli się, że obecność uchodźców obniża prestiż miejsca. Inni mówili wprost, że nie będą się kąpać w tej samej wodzie co muzułmanie.

Dobrze. Ale nawet jeśli zgodzimy się, że Polacy są na inność zamknięci, ci „inni" mogą być otwarci na polskość.

Optymista z pana. Moim zdaniem ta karykaturalna forma polskości, o której teraz rozmawiamy, jest dla cudzoziemców trudna do przełknięcia. Owszem, nie tylko my mamy o sobie samych wysokie mniemanie i chętnie sprowadzamy własną tożsamość do zestawu stereotypów. Żydzi są narodem wybranym. Chińczycy poszli jeszcze dalej i nazwali swój kraj Państwem Środka. Amerykanie wynaleźli z kolei demokrację, co niepomiernie dziwi Greków roszczących sobie prawa do tego samego. Francuzi pokazali światu, jak cieszyć się życiem. I tak dalej. Ale niech pan spojrzy z tej perspektywy na polskie przekonanie o własnej wyjątkowości i odpowie na pytanie: czy naprawdę wydaje się ono panu atrakcyjnym towarem? Jesteśmy bez skazy, bo nigdy nie mieliśmy kolonii i nie napadliśmy na żadnego z sąsiadów. Stanowimy przedmurze chrześcijaństwa, a co jakiś czas umieramy za Europę i za jej wartości. Moim zdaniem wyznaczniki polskiej tożsamości narodowej mają charakter czysto defensywny. Pan i ja przechodzimy przez nie jak przez lekką mgiełkę, bo się wychowaliśmy na polskich romantykach, „Czterech pancernych" i „Dywizjonie 303", ale dla imigranta identyfikacja z takim systemem wartości może się po prostu wydać niewarta wysiłku. Moi zagraniczni koledzy po fachu przecierają czasem oczy ze zdumienia, kiedy opowiadam im, co konstytuuje popularny mit współczesnego Polaka.

Zredukowany do minimum przepis na Polaka może śmieszyć badaczy wielokulturowości, ale jest łatwy do opanowania. Imigrant na Wyspach Brytyjskich musi zadać sobie pytanie, czy chce czuć się Brytyjczykiem, czy może Walijczykiem, Szkotem lub Anglikiem. W Szwajcarii dojdą do tego różnice językowe. U nas w zasadzie wystarczy zjeść schabowego w niedzielę, zdejmować buty przychodząc z wizytą – i cały kraj stoi otworem.

Nie tylko Polacy zdejmują buty. Robią to także Skandynawowie, nie wspominając o Japończykach, którzy uczynili z tego rytuał. Właśnie przypadkowo włączyła się panu narracja o polskiej wyjątkowości.

Mam na myśli to, że w homogenicznej Polsce nietrudno nauczyć się żyć po polsku.

Ale co z tego? Jeśli zaczniemy sobie wyobrażać, że te setki tysięcy cudzoziemców za kilkanaście lat porzucą swoją kulturę, porażeni siłą oddziaływania naszej, to znaczy, że po pierwsze nadal rozumujemy w kategoriach megalomanii narodowej, a po drugie – nie rozumiemy istoty multikulturowości. W niej chodzi o to, by przy zachowaniu indywidualnych różnic i tożsamości stworzyć razem nową jakość. Możemy się od siebie nawzajem wiele nauczyć, jeśli będziemy na siebie nawzajem otwarci.

Ci nowi Polacy, którzy zaczną się identyfikować z Polską, będą też po swojemu redefiniować naszą wspólną polskość.

Bez wątpienia. Tylko pytanie: jakim kosztem społecznym okupimy ten proces? Rządzący wypuścili dżina nacjonalizmu, wydaje im się, że go kontrolują, ale sytuacja może się im łatwo wymknąć spod kontroli. Narracja dyskryminująca mniejszości ma to do siebie, że się łatwo radykalizuje. To, co przedwczoraj uchodziło za nie do wypowiedzenia na głos, dziś już się takim nie wydaje w kontekście słów, które padły wczoraj.

©℗ Rozmawiał MAREK RABIJ

WOJCIECH BURSZTA jest antropologiem kultury, kulturoznawcą, eseistą i krytykiem kultury. Obecnie kieruje Katedrą Antropologii Kultury w Instytucie Kulturoznawstwa SWPS.

REKLAMA

Seria MENAŻERIA

premiera 19 września

Pasjonująca biografia lasu

Nowy bestseller autora „Umysłu kruka" i „Chrapiącego ptaka"

NAGRODA LITERACKA NOWEJ ANGLII

NAGRODA IM. FRANKLINA FAIRBANKSA

Przekład: Michał Szczubiałka

CZARNE.COM.PL

PAWEŁ

Śpiewak:
Jom Kipur 5779

Piszę ten komentarz wieczorem po wyczerpującym, 26-godzinnym święcie Jom Kipur, zwanym po polsku Dniem Pojednania i Pokuty. Zgromadzeni ubrani na biało – symbol oczyszczenia – modlili się po wielekroć o wybaczenie wszelkich, nawet pozornie najbanalniejszych grzechów. Wszystkie są wymienione w specjalnym na ten dzień modlitewniku.

Nie sposób powiedzieć, który grzech jest mniejszy, który poważniejszy. Błagano Ojca i króla naszego modlitwą „Awinu Malkenu" o miłosierdzie i łagodność. Obiecywaliśmy poprawę, a przede wszystkim prosiliśmy o to, by nas zapisano w księdze błogosławieństw, życia, powodzenia, i by ta księga objęła wszystkich Żydów i wszystkich ludzi. Modliliśmy się o zmarłych, o najbliższych. Tuż przed końcem modłów, w ostatniej chwili, gdy zamykają się już bramy niebios, gdy wszystkie decyzje już prawie zapadły, jeszcze raz wołano o zmiłowanie i odpuszczenie grzechów. Było to wołanie nadziei, w której każda chwila, nawet ta ostatnia, może nas ocalić i przynieść oczyszczenie. Gdy już kończą się słowa, gdy już wszystkie życzenia i przeprosiny są za nami, trzy razy słychać głos szofaru. To jakby głos syren, dziki, silny, który trwa, póki ostatni grający nie skończy. Tym szofarem zwracano się do Boga i do siebie. Szofar przypomina też ofiarę Izaaka. W rocznicę ofiarowania obchodzimy dzień pokuty. Pierwszy szofar został zrobiony z rogów barana, który zaplątał się na górze Moria w gęstych zaroślach. Szofar może być z rogów antylop, bawoła. Musi tylko brzmieć tak, jak pewnie brzmiał u bram Jerycha czy na górze Syjon.

Na koniec mówi się: „obyś został zapisany w księdze życia, a twój zapis opieczętowany". Mówiono: „szczęśliwego nowego roku 5579". Bo teraz w istocie zaczął się nowy rok. Teraz, jak po każdej spowiedzi, otworzył się nowy rachunek grzechów, zaniechań, potknięć. Piękne i mądre to święto. Najważniejsze święto żydowskie. Tego dnia czyta się Księgę Jonasza. Jest w niej całkowicie nowy, oryginalny wykład teologii wybaczania. Pewnie dlatego Jonasz uciekał od przeznaczenia wprost do brzucha wieloryba. Ta koncepcja wybaczenia dotąd nie istniała w Biblii. Od tego momentu każdy mógł, niezależnie od płci i narodowości, religii i tradycji, stanąć przed Bogiem i prosić o to, co nazywane jest po hebrajsku „tszuwa". Lubię to słowo. Oznacza w istocie powrót. Powrót do stanu czystości, przejrzystości, takiej kondycji, w której nie musimy się przed samymi sobą wstydzić swoich postępków czy złych słów.

Po 26 godzinach kończy się post. Dla większości jest trudny i denerwujący. Tradycja wskazuje na 26 godzin. Możemy pytać, dlaczego? Bo taka jest wartość liczbowa tajemnego imienia Boga.

A więc mogę teraz wszystkim swoim czytelnikom życzyć, by zostali zapisani w księdze pokoju, szczęśliwości i życia. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Prawo to za mało

W Ewangelii św. Marka czytamy, że Jezus powiedział: „Jeśli ktoś porzuca żonę i żeni się z inną, popełnia cudzołóstwo względem niej. I jeśliby ona porzuciła swego męża i wyszła za innego, też cudzołoży". Natomiast w Ewangelii św. Mateusza mamy powiedziane: „Każdy, kto porzuca swoją żonę – poza przypadkiem nierządu – naraża ją na cudzołóstwo, i każdy, kto ożeniłby się z rozwiedzioną, czyni z niej cudzołożnicę".

Nietrudno zauważyć, że Mateusz do wypowiedzi Jezusa dodał zastrzeżenie: „poza przypadkiem nierządu". Choć równie dobrze to Marek mógł ten dodatek pominąć. Ale nad tym niech sobie głowę łamią bibliści, nas interesuje, jak sobie z tym dodatkiem radzą Kościoły. Prawosławni i protestanci na podstawie tej poprawki dopuszczają rozwód i możliwość zawarcia następnego związku. Ale i w Kościele rzymskim prawo pozwala przecież na dyspensę od małżeństwa zawartego ważnie, lecz niedopełnionego. Dopuszcza też separację i życie w tzw. białym małżeństwie, bez współżycia seksualnego.

Posłuchajmy też Pawła Apostoła: „Jeśli któryś z braci ma żonę niewierzącą i ta chce z nim mieszkać, niech jej nie odrzuca. Tak samo żona, jeśli ma niewierzącego męża i ten chce z nią mieszkać, niech go nie odrzuca. Niewierzący mąż uświęca się bowiem dzięki żonie i uświęca się niewierząca żona dzięki temu bratu. Gdyby było inaczej, wasze dzieci byłyby nieczyste, a tak są święte. Gdyby jednak niewierzący chciał odejść, niech odejdzie. W tym przypadku brat lub siostra nie są skrępowani. Bóg przecież powołał was do życia w pokoju!".

Jak widać, nie tylko dzisiaj, ale już u zarania swego istnienia Kościół trudził się nad pogodzeniem nieprzywidywalności ludzkich losów z ideałem chrześcijańskiego życia. Dlatego papież Franciszek zachęca Kościół: „Prośmy Pana, by uwolnił Kościół od wszelkiej interpretacji ideologicznej i otworzył serce Kościoła, naszej Matki, na Ewangelię prostą, na tę czystą Ewangelię, mówiącą nam o miłości, niosącą miłość, która jest tak bardzo piękna". Dlatego Franciszek twierdzi, że należy docenić w większym stopniu czas niż przestrzeń. Radzi, by to, co już mamy, ten ogrom katolickiej Tradycji, interpretować w świetle tego, co nowego przynosi wciąż zmieniająca się rzeczywistość.

Na nowo, wzorem apostołów, trzeba zaufać czasowi, wierzyć, że nie jest on naszym wrogiem, ale błogosławieństwem, darem Ojca. Stąd słowa Jezusa skierowane do Piotra: „Tobie dam klucze królestwa niebieskiego. Cokolwiek zwiążesz na ziemi, będzie związane w niebie, a co rozwiążesz na ziemi, będzie rozwiązane w niebie", jak też do apostołów: „Zapewniam was: Wszystko, cokolwiek zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane i w niebie". Nie możemy tego traktować jako przepisu prawnego, ale jako wyraz miłości. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Prawda i wolność

W piekle płonie „nie”. (...) Ile masz w sobie „nie”, na tyle jesteś niedoskonały.

MISTRZ ECKHART

Czy jest taki czas lub wiek w życiu człowieka, w którym pary przeciwieństw znikają? Zignoruj je i bierz rzeczy takimi, jakimi są – wtedy możesz osiągnąć doskonałość.

ASZTAWAKRAGITA

Wybrał PIOTR SIKORA

Podczas „Ekumenicznej Drogi Wolności” (która odbyła się na Zjeździe Gnieźnieńskim 21 września) przywołano słowa Jezusa: „Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli” (J 8, 32).

Czy każda prawda wyzwala? Czy zawsze prawda wyzwala? Czy automatycznie? I po prostu? Odpowiedź brzmi: nie.

Chrystus mówi do tych, którzy Mu uwierzyli (a więc usłyszeli i zaakceptowali – przyjęli – wypowiedzianą przezeń prawdę): „Jeżeli będziecie trwać w Moim słowie, będziecie prawdziwie Moimi uczniami. Poznacie prawdę i prawda was wyzwoli”.

Wyzwala więc tylko taka prawda, w której się trwa. Wyzwala prawda, w której się zamieszka (zadomowi). Użyte tu przez Jana greckie *méno* znaczy „trwać”, ale także „mieszkać”, „kontynuować”, „wytrzymać”. Wiele znaczeń. Z całą pewnością jednak nie chodzi o jednorazowe doświadczenie.

Co to jednak oznacza: „zadomowić się” i „trwać” w prawdzie? W jaki sposób to się dokonuje? Dzieje Apostolskie opowiadają w 11. rozdziale o początkach Kościoła w Antiochii. Dotarli tam chrześcijanie wygnani prześladowaniem z Cypru i z Cyreny. Przepowiadali Słowo tak, że „wielka liczba uwierzyła i nawróciła się do Pana”. Do nowo nawróconych skierowano z Jerozolimy Barnabę. Gdy ten przybył, „zobaczył działanie łaski Bożej, ucieszył się i zachęcał wszystkich, aby całym sercem wytrwali przy Panu (Dz 11, 23). A więc: „trwać/zamieszkać” w przyjętym orędziu znaczy „trwać sercem” (dosłownie: „intencją serca”).

Trwa w prawdzie ten, kto przyjął ją sercem. „Kto nie kocha prawdy – mówi Grzegorz Wielki – jeszcze jej nie poznał”. Miłość – wiemy o tym wszyscy – nie jest doświadczeniem jednorazowym, chwilowym. Miłość zna dyscyplinę wierności. „Nigdy się nie kończy” (1 Kor 13).

Mieszkamy jedynie w takiej prawdzie, którą pokochaliśmy (przyjęliśmy sercem). I tylko wtedy ona nas wyzwala.

Dalej w refleksji może poprowadzić nas św. Jakub. W 1. rozdziale swojego listu pisze: „Wprowadzajcie Słowo w czyn, a nie bądźcie jedynie słuchaczami oszukującymi samych siebie. Jeżeli bowiem ktoś przysłuchuje się tylko słowu, a nie wypełnia go, podobny jest do człowieka oglądającego w lustrze swe naturalne odbicie. Bo przyjrzał się sobie, odszedł i zaraz zapomniał, jakim był. Kto zaś pilnie rozważa doskonałe Prawo wolności i wytrwa w nim, ten nie jest słuchaczem skłonnym do zapominania” (Jk 1, 22-25).

To bardzo ważne. Zadomawia się w prawdzie ten tylko, kto – poznawszy ją – wprowadza ją w czyn. Nie zadomowi się w poznanej prawdzie ten, kto ciągle traktuje ją jedynie jako „projekt domu”, ale nigdy nie przystąpił do jego budowy. Dopiero prawda wcielana w czyn objawia się nam – mówi Apostoł – coraz bardziej i bardziej jako „doskonałe prawo wolności”.

Sam „wykład” prawdy jeszcze nie wyzwala; wyzwolenie przynoszą dopiero „ćwiczenia”. Prawda niewprowadzana w czyn może stać się w naszym życiu przyczyną frustracji i depresji: co z tego, że znam prawdę, skoro jest ona jedynie pięknym marzeniem?

Zamiast zapowiadanego wyzwolenia – uwięzienie w smutku. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (30 IX – 7 X)

26. niedziela zwykła: Lb 11, 25-29; Ps 19; Jk 5, 1-6; Mk 9, 38-43. 45. 47-48;
Poniedziałek: Hi 1, 6-22; Ps 17; Łk 9, 46-50;
Wtorek: Wj 23, 20-23; Ps 91; Mt 18, 1-5. 10;
Środa: Hi 9, 1-12. 14-16; Ps 88; Łk 9, 57-62;
Czwartek: Hi 19, 21-27; Ps 27; Łk 10, 1-12;
Piątek: Hi 38, 1. 12-21; 40, 3-5; Ps 139; Łk 10, 13-16;
Sobota: Hi 42, 1-3. 5-6. 12-17; Ps 119; Łk 10, 17-24;
27. niedziela zwykła: Rdz 2, 18-24; Ps 128; Hbr 2, 9-11; Mk 10, 2-16.

DOŚĆ TYCH HEREZJI

PAWEŁ KUKIZ-SZCZUCIŃSKI, PEDIATRA, BYŁY KANDYDAT NA RZECZNIKA PRAW DZIECKA:

Rodzice, którzy odmawiają szczepienia, zapomnieli o zagrożeniu chorobami zakaźnymi. A zapomnieli, bo są od lat przed nimi chronieni szczepionkami.

PAWEŁ KUKIZ-SZCZUCIŃSKI: Muszę zacząć od podziękowań dla posłów.

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Trudno.

Lista parlamentarzystów, którzy zagłosowali na mnie w wyborach na Rzecznika Praw Dziecka, jest – jak na polską, podzieloną scenę polityczną – spektakularna. I pod względem liczby, i nazwisk. Poparło mnie 171 posłów, w tym szefowa Nowoczesnej, szef PO, przewodniczący PSL. Platforma zagłosowała na mnie w całości, z jednym wyjątkiem. A w klubie PiS, który dostał rekomendację, by na mnie nie głosować, wyłamały się trzy osoby, kolejnych pięć zaś się wstrzymało. W tym Jarosław Gowin i Zbigniew Ziobro.

Ale Pan przepadł. I nie jest to dowód na apolityczność, tylko na coś przeciwnego: w Polsce nie da się powołać nawet Rzecznika Praw Dziecka, jeśli jest „nie nasz".

Przepadłem, bo mówiłem otwarcie, jakie są moje cele i poglądy. Powiedziałem, że jestem za otwarciem tzw. korytarzy humanitarnych dla chorych dzieci z rodzin uchodźczych.

Naiwność czy strategia?

Zdecydowanie to drugie! Mogłem nie mówić o tych korytarzach podczas posiedzenia sejmowej komisji, która przesłuchiwała kandydatów. Mogłem nie udzielać wywiadu „Gazecie Wyborczej" tuż przed sejmowym głosowaniem, a zamiast tego wystąpić w jakimś prawicowym medium... Nie zrobiłem tego, bo to by było oszustwo.

Nie był Pan wcale dla PiS najgorszym kandydatem. Wysunął Pana klub Kukiz'15. Nawet na temat uchodźców wypowiadał się Pan dość ostrożnie, akcentując miłą dla ucha prawicy pomoc „na miejscu".

Różnica polega na tym, że ja się realną pomocą „na miejscu" zajmuję od lat, np. odwiedzając jako lekarz Liban, w ramach pomocy świadczonej przez Fundację Polskie Centrum Pomocy Międzynarodowej. Wiem, że uchodźcom syryjskim najlepiej żyje się właśnie w Libanie. W dodatku koszt pomocy na miejscu i tutaj to różnica w proporcji mniej więcej jeden do siedmiu. Oczywiście trzeba też pamiętać, że pojemność tego państwa jest ograniczona.

Jestem więc za tym, by Polska – poważnie, a nie tylko deklaratywnie – angażowała się w pomoc „na miejscu". Co nie znaczy, że jestem przeciwny przyjmowaniu uchodźców czy pomaganiu im w Polsce.

Sam Pan jest w taką pomoc zaangażowany.

Mamy np. teraz sprawę nieco ponad trzyletniego Omara, urodzonego w Homs, na zachodzie Syrii, chorego na nowotwór mózgu. Chłopiec mieszka obecnie blisko syryjsko-libańskiej granicy, jest pod opieką PCPM. Ale jego guz, choć niezłośliwy, szybko się rozrasta. Jeśli nie załatwimy mu – na co jest szansa – operacji w Polsce, to Omar najpierw oślepnie, a potem umrze.

Gdy byłem w kurdyjskim obozie uchodźców finansowanym przez Czerwony Półksiężyc, spotkałem małe dziecko ze złożoną wadą serca, która w tamtejszych warunkach nie może zostać zoperowana.

Te historie to są konkrety. Ja sobie nie wyobrażam, byśmy na takie historie się zamykali. I byśmy zamykali się na krzywdę ludzi – w tym dzieci – którzy uciekają przed wojnami

Ale się zamykamy. Przynajmniej jako państwo.

I wpływa to katastrofalnie na nasz wizerunek. Gdy lecimy na misje europejskimi liniami, mając zwykle kurtki jasno wskazujące, że jesteśmy członkami polskiej organizacji humanitarnej, podchodzą do nas stewardessy czy inni członkowie ekipy pokładowej. Pozdrawiają, okazują szacunek, ale też zdziwienie. „To wy jednak pomagacie – mówią. – A słyszeliśmy, że zamknęliście się na uchodźców". Taki jest dzisiaj niestety wizerunek Polski, kraju Janusza Korczaka i Jana Pawła II. Jeśli czegoś nie zmienimy, będziemy zhańbieni na pokolenia. Może być nawet gorzej. Może to my za jakiś czas padniemy ofiarą agresji? Albo będziemy musieli uciekać z dziećmi na rękach?

Wie pan, co jest najbardziej poruszające w pracy z uchodźcami „na miejscu"?

Co?

Że odruchowo myśli pan o nich początkowo jak o ludziach z innej planety. ↦

Protest przeciwko obowiązkowym szczepieniom, Warszawa, 3 czerwca 2017 r.

WŁODZIMIERZ WASYLUK / EAST NEWS

Konrad
NOP POWKLANIA POSZCZEPIENNE

↦ A potem ich pan spotyka i okazuje się, że są tacy jak my. Śpią tymczasowo w barakach czy śmietniskach. Ale gdy przyglądam się ich historii jako lekarz, to okazuje się, że ten pan miał wszczepiony rozrusznik serca, a tamta pani miała chemioterapię. Że byli leczeni wedle standardów podobnych do naszych, a teraz wylądowali w warunkach, które kompletnie nie pasują do ich poprzedniego życia.

Wchodzę raz do obozowiska uchodźców w Libanie. Zaczynam badać dziecko, które ma objawy odwodnienia. Szybko się okazuje, że po prostu nie przyjmuje płynów, tzn. ulewa. Kupujemy w aptece specjalne mleko AR, które kosztuje jakieś 20 dolarów, a więc dla tych ludzi – w obecnych okolicznościach – majątek. Idę z tym mlekiem, a po drodze się zastanawiam: jak ja tej matce wytłumaczę, że to mleko musi ciągle dawać? Gdy się do niej zbliżam, widzę, jak się uśmiecha. Okazało się, że ona w Damaszku, gdzie mieszkała, to samo mleko podawała przez lata swoim pozostałym dzieciom. Tyle że teraz nie było już jej na nie stać.

Podobnych historii znam mnóstwo. Podobnie jak losów znacznie bardziej dramatycznych, pokazujących z kolei, przez co ci ludzie przeszli. Spotkałem np. dziecko, które ogłuchło pod wpływem eksplozji. Albo dziewczynkę z twarzą poparzoną ogniem...

Żyje Pan tymi historiami po powrocie?

Wracają do mnie. Robię tu niby to samo: przyjmuję w gabinecie, rozbieram dziecko, potem je badam. Ale wtedy zdaję sobie np. sprawę, że rozbieranie dziecka syryjskiego jest czymś zupełnie innym. Trzeba z niego zdjąć cztery, pięć albo sześć warstw odzieży, tak jest zimno.

Albo inna sytuacja: jadę samochodem z moim sześcioletnim synem, który nagle zaczyna płakać, bo np. nie ma picia. Przypominam sobie wtedy sceny z granicy – o ile sobie dobrze przypominam – serbsko-węgierskiej: z autokaru wychodzą dzieci z piłkami czy balonami, a policja zagania je z powrotem...

Albo stoję w korku, i po początkowej frustracji przychodzi do mnie refleksja: co czują rodzice, którzy stracili wszystko, a w dodatku musieli z dziećmi na rękach uciekać nie wiadomo dokąd?

Zestawiając te wszystkie sceny, mam pełną świadomość, że i w Polsce nie wszystko jest jak należy, że i u nas są dramaty dzieci. A jednak zdarza się nam żyć na co dzień bardzo błahymi problemami.

PAWEŁ KUKIZ-SZCZUCIŃSKI:

Bagatelizujemy przemoc, tak jak bagatelizuje się wiele innych patologii. Jesteśmy skłonni uważać, że problem z przemocą mają wyłącznie ci, którzy się nad dziećmi znęcają.

Poza działalnością humanitarną ma Pan też inne medialne oblicze. Jest Pan spowinowacony z Pawłem Kukizem po tym, jak poślubił Pan jego daleką kuzynkę i przyjął jej nazwisko. Mówią o Panu: „szara eminencja Kukiz'15".

Nie mam czasu na politykę, a tym bardziej na bycie szarą eminencją. Ta etykietka to mit powstały w czasie, gdy byłem w zespole doradczym rekrutującym kandydatów na posłów ruchu. Rzeczywiście z wieloma rozmawiałem, a później – w początkowej fazie istnienia klubu parlamentarnego – doradzałem ruchowi.

Jest Pan zadowolony z efektu tego „castingu na posła"?

Udało się wprowadzić do Sejmu dużo wartościowych osób. To mimo wszystko sukces: proszę spróbować przesłuchać w ciągu kilku miesięcy tysiąc osób, a potem ułożyć listy w ponad 40 okręgach. A jeszcze później zorganizować wspólną pracę tych, którzy znaleźli się w Sejmie.

Trudno mówić o wspólnej pracy – część tej grupy już się rozpierzchła. A ci, co zostali, miewają różne poglądy. Czego dowodem jest Pańska wojna z posłem Pawłem Skuteckim. O szczepienia.

Nie zgadzam się: trzy czwarte klubu zostało. Ci ludzie w wielu sprawach pracują zgodnie. A co do posła Skuteckiego, to skądinąd sympatyczny, poukładany facet.

Którego podał Pan do komisji etyki. Za udział w demonstracji antyszczepionkowej.

Zrobiłem to, bo jako lekarz uważam jego działalność w tej sprawie za szkodliwą.

Spór antyszczepionkowców ze zwolennikami szczepień jest dyskusją równoprawnych racji?

Tak samo równoprawnych, jak w przypadku dyskusji astronomów ze zwolennikami tezy, że Ziemia jest płaska.

Skąd ten spór?

Jednym z powodów jest niestety kryzys zaufania do nas, lekarzy. Może nawet ja sam jestem za to jakoś współodpowiedzialny. Bo jeśli nie poświęcam pacjentowi wystarczająco dużo energii, empatii, nie mam czasu, by mu pewne rzeczy spokojnie wyjaśnić, to być może w konsekwencji nabiera on po wyjściu z gabinetu wątpliwości.

Teraz ma Pan czas.

Proszę bardzo. Jest coś takiego jak niepożądany odczyn poszczepienny (NOP), czyli uboczny objaw szczepienia. W zdecydowanej większości przypadków przebiega on łagodnie, choć zdarzają się też przypadki poważniejsze. Ryzyko jego wystąpienia jest znacznie mniejsze niż ryzyko wynikające z zaniechania szczepienia.

Nikt nie podważa występowania NOP-u. Problem w tym, że niektórzy antyszczepionkowcy szerzą szkodliwy mit, zgodnie z którym szczepienie może powodować zaburzenia i choroby, jak autyzm czy padaczka. Nie ma on żadnych naukowych podstaw. Tyle że niektórzy zwolennicy podobnych teorii opierają się na niesprawdzonych źródłach. Np. poseł Skutecki wklejał na Facebooku artykuły bazujące m.in. na amerykańskiej bazie VAERS. Nieporozumienie polega na tym, że to baza dobrowolnego raportowania o odczynach, która nie jest weryfikowana. Ktoś kiedyś wpisał do niej informację, że w efekcie szczepienia dziecko zamieniło się w Hulka, czyli postać komiksową...

A może problemem jest też poczucie wyższości niektórych lekarzy?

Tak się niestety często zdarza. Ale i to wynika nierzadko z braku czasu.

Ja sam dzielę osoby deklarujące antyszczepionkowe poglądy na trzy grupy. I tylko z dwiema widzę jakikolwiek sens dyskusji. Pierwsza to ci, którzy przeżyli ciężki poszczepienny odczyn. Nie ma ich wiele, ale istnieją. I nie dziwię się ich sceptycyzmowi: jak pana na pasach przejedzie samochód, to będzie pan miał mniejsze powody, by ufać systemowi kontroli ruchu drogowego. Grupa druga to ci, którzy

czerpią niesprawdzone informacje o szczepieniach, a następnie je sobie przekazują. Tym też nie należy się dziwić. Raczej tłumaczyć, rozmawiać. Słowa potępienia kieruję do grupy trzeciej: to ci, którzy cynicznie na tych dwóch pierwszych żerują, a nawet zarabiają, strasząc szczepionkami.

Niech zgadnę: ma Pan na myśli Jerzego Ziębę, propagatora tzw. medycyny niekonwencjonalnej, któremu wytoczył Pan proces. Nazwał Pana...

...podłą wszą, człowiekiem, który wstrzykuje dzieciom truciznę. Pan Zięba w audycjach, w których straszy szczepionkami, lokuje też swoje produkty. Równocześnie jest pozbawiony kompetencji. O ile mi wiadomo, ma wykształcenie górnicze. Domagam się od niego przeprosin, wpłacenia 100 tys. zł na rzecz domu dla matki z dzieckiem s. Chmielewskiej oraz zaprzestania głoszenia herezji.

Projekt ustawy znoszącej obowiązek szczepień podpisało ponad 100 tys. ludzi.

Wzrasta też liczba rodziców, którzy odmawiają szczepienia. Przyczyna jest prosta: ludzie zapomnieli o zagrożeniu chorobami zakaźnymi. A zapomnieli, bo są od lat chronieni przed nimi... szczepionkami.

Jest też konkurencyjny projekt: zakłada prawo samorządów do nieprzyjęcia w przedszkolu czy żłobku nieszczepionego dziecka.

To rozwiązanie praktykowane w wielu krajach, w których szczepienia są pozornie dobrowolne. Pamiętajmy, że takie przepisy nie są przeciw komuś, one mają chronić dzieci. Np. te, które nie mogą być szczepione, bo przechodzą chemioterapię czy procedurę transplantacyjną. Obrona tych dzieci jest naszym obowiązkiem. I jeśli będą się wzmacniać ruchy antyszczepionkowe, to będzie trzeba i takie rozwiązanie rozważyć. Albo inne, np. warunkowe wypłaty 500 plus.

Choć wolałbym, żeby ludzie sami do pewnych rzeczy dochodzili.

Zakazy chyba jednak niewiele dają: od lat jest zapisane w ustawie, że nie wolno bić dzieci. A świeży raport Rzecznika Praw Dziecka pokazał, że nadal ponad 40 proc. Polaków akceptuje klapsy.

Bagatelizujemy przemoc, tak jak bagatelizuje się wiele innych patologii. Np. wielu ludziom się wydaje, że jak piją pod krawatem i nie leżą w rowie, to nie są alkoholikami. Tak samo jest z klapsami: jesteśmy skłonni uważać, że problem z przemocą mają wyłącznie ci, którzy się nad dziećmi znęcają. W sprawie klapsów podzieliliśmy się na dwa obozy: jedni – do których i ja należę – uważają, że nie wolno. Drudzy nie tylko uważają, że to nic strasznego, ale dodatkowo boją się, że za chwilę za klapsy będzie się w Polsce odbierało dzieci.

Bo to jest też spór o to, kim jest rodzic. Ostatnio burzę w prawicowych mediach wywołał ustępujący RPD, proponując, by w kodeksie rodzinnym zamienić frazę „władza rodzicielska" na „odpowiedzialność rodzicielską".

Mnie ta zmiana nie razi. A politycy i publicyści, którzy przeciw niej protestują, popełniają jeden podstawowy błąd: myślą raczej o swojej rodzinie i jej podobnych, a nie o tych, w których dzieją się dramaty.

Jako psychiatra używam zawsze jednego argumentu: w szpitalach psychiatrzycznych nie wolno nikogo uderzyć, nawet jeśli pacjent znajduje się w stanie psychozy. Uderzenie nie mieści się w zamkniętym katalogu przymusu bezpośredniego. Byłem kiedyś w ukraińskim sierocińcu. Jeden z chłopaków w napadzie szału złapał lekarkę za okulary. Personel nie tylko nie uciekł się do bicia, ale nie użył nawet przymusu: zaczęli tego chłopca uspokajać, wręcz hipnotyzować. To nie zawsze działa. Za to zawsze sprawdza się zasada: przemoc napędza przemoc.

Mamy krach w psychiatrii dziecięcej? Bywa, że z oddziałów odsyła się dzieci z myslami samobójczymi.

Mamy zapaść. Pracowałem kiedyś na oddziale psychiatrycznym w Holandii. Na samym początku zapytałem, ilu jest pacjentów. Ku mojemu zdumieniu, odpowiedziano mi, że 800. „To gdzie oni wszyscy są?" – zapytałem, wywołując z kolei konsternację u słuchacza. „No jak to, w domach!" – odpowiedział tamtejszy lekarz. Na Zachodzie cała psychiatria ma charakter środowiskowy, tzn. opiera się na opiece domowej i ambulatoryjnej. U nas nadal dominują duże, zamknięte szpitale i oddziały. To między innymi dlatego brakuje miejsc w sytuacji, kiedy to miejsce jest naprawdę potrzebne.

Poza tym brakuje psychologów w szkołach czy interdyscyplinarnych przychodni dla dzieci. No i nie szkolimy w psychologii pediatrów, którzy mogliby wychwytywać wczesne stadia kłopotów emocjonalnych.

Co Pan widzi w swoim gabinecie psychiatrycznym?

Kryzys rodziny, relacji. Widzę mnóstwo eurosierot. Widzę ogromny problem z uzależnieniami, i to wcale nie głównie od dopalaczy, ale znacznie częściej od urządzeń mobilnych. Ofiarami padają nie tylko dzieci, także rodzice. Bywa, że wszyscy z osobna tkwią w swoich wirtualnych światach. Nie wiem, czy pan wie, ale firmy meblarskie przestały już w zasadzie produkować duże, okrągłe stoły...

A gdy dzieje się coś złego, to znowu pokutuje nasza mentalność: wstydzimy się odwiedzać terapeutów czy psychiatrów. Reagujemy, gdy zaczyna się pożar.

Przed nami druga runda wyborów na Rzecznika Praw Dziecka. Proszę dokończyć zdanie: nowy rzecznik powinien być...

...odważny i wrażliwy. Taki jak dr Ewa Jarosz, moja kontrkandydatka w wyborach na RPD, która w głosowaniu przepadła jak ja. Cenię też pracę ustępującego rzecznika, Marka Michalaka.

Jego następca powinien mieć otwarte serce na wszystkie dzieci. Również te z rodzin uchodźców. Nie wykluczam, że udam się na posiedzenie sejmowej komisji przesłuchującej kandydatów.

Po co?

Żeby zadać pytanie testowe: o „korytarze humanitarne".

Co to za test?

Właśnie na wrażliwość i odwagę. Nowy rzecznik nie może kluczyć, lawirować. Ma stać po stronie słabych i krzywdzonych. I nie może być urzędnikiem obozu władzy.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

RADEK PIETRUSZKA / PAP

PAWEŁ KUKIZ-SZCZUCIŃSKI jest pediatrą i psychiatrą, członkiem Zespołu Ratunkowego Polskiego Centrum Pomocy Międzynarodowej. Był uczestnikiem misji humanitarnych m.in. w Peru, Libanie i Irackim Kurdystanie.

PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Demontaż flag Polski i Węgier po spotkaniu Jarosława Kaczyńskiego i Victora Orbána w Sejmie, Warszawa, 22 września 2017 r.

Innego państwa nie będzie

KLAUS BACHMANN

Państwo PiS nie zniknie nawet po przegranych wyborach, niezależnie od tego, co myśli opozycja i co chciałaby zrobić Bruksela.

Kiedy opadną emocje wywołane uruchomieniem przez Parlament Europejski procedury sprawdzającej stan praworządności na Węgrzech, warto się zastanowić, dokąd ta droga może prowadzić. Można bowiem ukarać „reżim Orbána", tak samo jak można ukarać rząd PiS. Ale co to da, poza satysfakcją?

W procedurze tej, opartej na artykule 7. Traktatu o UE, chodzi o powstrzymanie kraju członkowskiego, który buduje państwo policyjne, znosi niezależność sądownictwa albo prześladuje mniejszości lub opozycję, oraz skłonienie go do przywrócenia praworządności i demokracji. Zakłada ona jednak, że taki rząd może się cofać. Problem w tym, że PiS i Fidesz przeprowadzili reformy niemożliwe do odwrócenia.

Cóż bowiem powinni zrobić Orbán albo Kaczyński, aby zadowolić Komisję Europejską, Parlament Europejski i Radę Europy? Dopuścić trzech wybranych jeszcze w 2015 r., ale niezaprzysiężonych polskich sędziów TK do orzekania? Co by to zmieniło, jeśli prezes Trybunału nadal mógłby manipulować składami sędziowskimi tak, aby wyroki zapadały po myśli władzy? W tej chwili wśród 15 sędziów TK jest 12 wybranych z poparciem PiS, w tym 10 wybranych tylko i wyłącznie przez posłów PiS. Według ustawy zasadniczej mają oni dziewięcioletnie kadencje. Aby „odzyskać Trybunał Konstytucyjny", trzeba by powtórzyć zabieg PiS i z pogwałceniem konstytucji wybrać nowych sędziów, skracając kadencję obecnych. Jak to zrobić, skoro część „pisowskich" sędziów została wybrana zgodnie z konstytucją, a część wbrew niej? Na Węgrzech sprawa jest jeszcze bardziej zagmatwana, bo tam nowi sędziowie (też z dziewięcioletnimi kadencjami) zostali wybrani zgodnie z konstytucją, którą po prostu wcześniej zmieniono.

A co mogliby Kaczyński albo Orbán zrobić, by zapobiec niekorzystnemu dla nich wyrokowi Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości? Ściągnąć z powrotem sędziów Sądu Najwyższego, których właśnie wysłano na emeryturę, i przerwać (konstytucyjne) kadencje nowo mianowanych sędziów – o czym, jak ostatnio doniesiono, rozmawiał premier Mateusz Morawiecki z prezes Małgorzatą Gersdorf? Czy Komisja Europejska mogłaby poważnie żądać (a ETS zaakceptować), aby rząd, który wielokrotnie naruszył własną konstytucję i prawo europejskie, naprawił to naruszając konstytucję i prawo europejskie jeszcze raz?

To, czy Orbán i Kaczyński chcieliby pójść na ustępstwa, jest już w tej chwili obojętne: obaj stworzyli sytuację, w której po prostu nie mogą się cofać, nawet jeśli grozi im odebranie głosu w Radzie UE i utrata funduszy europejskich. W tym sensie Jarosław Gowin miał rację, kiedy sugerował, że rząd mógłby zignorować niekorzystny wyrok ETS. Nie jest

w najlepszym interesie władzy, aby w tej chwili mówić o tym publicznie – ale tak się urządziła, że nie zostaje jej nic innego. Zresztą ignorowanie odpowiedzi ETS na zapytania prejudycjalne i tak będzie stosunkowo łatwe, bo ETS tylko wyda zalecenia, które Sąd Najwyższy (albo sądy powszechne, które złożyły zapytania) musi wcielić w życie. Przy dobrym dla rządu obrocie spraw zalecenia ETS zostaną wcielone w życie już przez Sąd Najwyższy zdominowany przez nominatów PiS – czasu się nie cofnie.

Miecz obosieczny

Skoro procedura rozpoczęta przez Komisję Europejską i Parlament Europejski nic nie zmieni, nasuwa się pytanie o jej sens. Czy może chodzić o obalenie rządów Fideszu i PiS? Szkopuł w tym, że to też niekoniecznie przywróciłoby *status quo ante*, to znaczy demokracji, pluralizmu i praworządności.

Nawet jeśli PiS w wyborach 2019 r. dozna tak druzgocącej porażki, że powstanie rząd koalicyjny bez jego udziału, Trybunał Konstytucyjny w obecnym składzie nadal będzie mógł blokować każdą ustawę aż do następnych wyborów, a być może nawet dłużej. I w Polsce, i na Węgrzech zresztą powstanie rządu wszystkich partii poza PiS lub Fideszem jest mało prawdopodobne: jeśli rządzący dziś Polską i Węgrami przegrają, to raczej wejdą do przyszłej koalicji, a wtedy ich wpływy na państwo i gospodarkę będą chronione nie tylko dzięki ich zwolennikom w sądach, ale też dzięki ich ministrom i posłom. O ukaraniu albo „depisacji", o której marzą radykalni przeciwnicy obozu władzy, mowy nie będzie.

Inna sprawa, że nawet gdyby w 2019 r. w Polsce (a w 2021 r. na Węgrzech) opozycyjna wichura zmiotła PiS i Fidesz poza parlament, to opozycja odziedziczy po nich nieliberalne, autokratyczne państwo policyjne z sądownictwem, prokuraturą i policją, którymi nowy rząd będzie mógł dowolnie sterować. Dlaczego obecna opozycja, której zwolennicy będą się domagać przykładnego ukarania przywódców PiS i Fideszu, miałaby się pozbawić odziedziczonego po poprzednikach ostrego miecza? Dlaczego miałaby w tempie ekspresowym przywrócić sądownictwu niezależność i umożliwić rywalom obronę przed karą oraz ochronę swoich wpływów w organach państwa i gospodarce? Łatwiej będzie rozliczyć PiS i Fidesz w ramach państwa policyjnego niż w warunkach praworządnych.

Scenariusz Matczaka

Debata o sposobach odwrócenia reform PiS przypomina wyzwanie, jak z jajecznicy znowu zrobić okrągłe jajko. Krystalizują się w niej dwa stanowiska, które nazywam „scenariuszem Matczaka" i „scenariuszem Schetyny". Pierwszy zakłada reformy żmudne i powolne: nowy Sejm uchwałą (która nie podlega ocenie TK) pozbawia „dublerów" władzy w TK, a potem, zgodnie z duchem i literą konstytucji, wybiera kolejnych sędziów. Jednocześnie kieruje niekonstytucyjne ustawy uchwalone przez obecny Sejm do TK, który (jeśli podzieli tę opinię) kasuje je po kolei.

Scenariusz ten ma jednak kilka wad. Po pierwsze, pomija fakt, że po wygranych przez opozycję wyborach jeszcze przez rok rządzić będzie obecny prezydent, który mógłby nie tylko część tych pomysłów blokować wetem, lecz je szachować, kierując wszystkie kontrowersyjne ustawy do TK, aby ten – w składzie wciąż zdominowanym przez PiS – mógł orzec o ich (nie) zgodności z konstytucją i w ten sposób na wieki wieków ochronić przed zabiegiem, który proponuje prof. Marcin Matczak.

Po drugie, nawet przy przyspieszonym trybie pracy TK (i nawet zakładając, że nowelizacją ustawy o TK da się jeszcze dodatkowo osłabić władzę obecnej prezes Trybunału) realizacja koncepcji Matczaka będzie trwać przez lata. Pozbycie się „dublerów" spowoduje tylko, że większość 12 z 15 wybranych z poparciem PiS sędziów zmniejszy się do 9, a nienominowani przez PiS sędziowie będą stanowić większość w TK dopiero w okolicach 2020 r. Jeśli TK uzna wówczas ustawy o SN i KRS za niekonstytucyjne, to trzeba będzie usunąć niekonstytucyjnie wybranych przedstawicieli KRS i sędziów SN, uchwalić nowe ustawy o obu instytucjach i przeprowadzić nowy wybór, oczywiście zachowując prawo odwołanych sędziów do dwuinstancyjnego odwołania, bo inaczej taka nowelizacja byłaby sprzeczna z konstytucją i Europejską Konwencją Praw Człowieka. W ten sposób obecna reforma wymiaru sprawiedliwości zostanie odwrócona dopiero w okolicach 2028 r.

Pomijam tu delikatny problem, w jaki sposób traktować orzeczenia i wyroki wydane do tego czasu w niekonstytucyjnych składach TK i SN, np. z udziałem większości „dublerów" albo osób wybranych niezgodnie z konstytucją. Przewiduję natomiast, że nowy rząd mógłby liczyć na pewne zrozumienie Komisji Europejskiej i Parlamentu Europejskiego, jeśli podczas działań sanacyjnych naruszy prawo UE. Warto jednak pamiętać, że nominaci obecnego rządu w TK, SN i w sądach powszechnych też będą mieli prawo do zadawania zapytań prejudycjalnych Europejskiemu Trybunałowi Sprawiedliwości. O „depisacji" i ukaraniu winnych galimatiasu tak czy owak można będzie zapomnieć. Część potencjalnych oskarżonych nie dożyłaby procesu.

Referendum Schetyny

Drugi scenariusz, który snuł Grzegorz Schetyna w wywiadzie dla CrowdMedia, jest bardziej radykalny: aby ominąć i prezydenta, i TK, nowa większość w Sejmie ogłasza referendum dotyczące pakietu ustaw, które przywracają *status quo ante*. Lider PO nazywa to referendum mianem „ustrojowego". Faktycznie, przecięłoby ono węzeł gordyjski, ale wiąże się z wysoką ceną polityczną.

Po pierwsze, takie referendum można przegrać i wtedy ustrój PiS otrzyma największą legitymizację, o jakiej partia Kaczyńskiego może marzyć, i nawet większą, niż jest sam sobie w stanie zapewnić. Ma to zresztą swój urok: nowy rząd też będzie mógł się posługiwać autorytarnym państwem policyjnym i skierować jego ostrze przeciwko PiS, a przy tym powołać się na wolę narodu. Cenę zapłacą obywatele, którym przyjdzie żyć w „państwie PiS", tyle że rządzonym przez PO i jego koalicjantów. O to chodziło?

Jeśli jednak takie „referendum ustrojowe" zakończy się delegitymizacją reform PiS, to na naszych oczach powstanie nowa Polska, której wszyscy prawicowi populiści na świecie mogą pozazdrościć. Oto państwo będzie rządzone za pomocą demokracji bezpośredniej, w którym „zwycięzca bierze wszystko" i gdzie obywatele co cztery lata wybierają nie tylko nowy parlament, a potem dostają nowy rząd, ale też otrzymują od razu nowy ustrój.

„Scenariusz Schetyny" ma bowiem to do siebie, że może go stosować każdy polityk, który wygra wybory. Jeśli z punktu widzenia PO wszystko pójdzie dobrze, to po 2019 r. Polacy będą żyć znowu w liberalnej demokracji, mieć niezależne sądownictwo, ochronę mniejszości i dobre stosunki z UE, ale po kolejnych czterech latach – po następnym „referendum ustrojowym" ↦

↦ – mogą dostać znów „państwo PiS” (albo „państwo Razem” lub „państwo Nowoczesnej”, które będą dobre i przyjazne dla zwolenników Razem czy Nowoczesnej, ale dla nikogo poza tym). Łatwo sobie wyobrazić, co oznacza takie rozhuśtanie państwa, prawa i emocji dla gospodarki, dla stabilności i przewidywalności prawa, dla pozycji międzynarodowej Polski, a jakie szanse otwiera dla demagogów, populistów i ugrupowań skrajnych.

Innymi słowy: obojętne, jak się skończy „referendum ustrojowe” w „scenariuszu Schetyny” – później tak czy owak powstanie państwo marzeń PiS, tylko być może bez polityków tej partii.

Chichot historii

Wszystkie scenariusze zmiany władzy, zmierzające do jednorazowego obalenia i ukarania obecnych rządów Polski i Węgier, mają jeszcze jedną wadę – zmniejszają prawdopodobieństwo pokojowego przekazania władzy po wyborach. Orbán i Kaczyński dostają bowiem sygnał, że w tych wyborach rozstrzyga się nie tylko, kto stanie u steru rządu, ale też kto pójdzie do więzienia.

Płynie stąd wniosek, że opozycja najlepiej przygotowałaby grunt pod zmianę władzy, wymyślając wiarygodny dla PiS sposób, jak liderów tej partii chronić przed zemstą i przed karami w sądach. To gorzki chichot historii: taki kompromis zawierał przejściowy ład konstytucyjny Okrągłego Stołu, dający opozycji władzę, a władzy bezkarność. Zwolennicy PiS gorąco tamten „układ” potępiają, być może jednak za rok też będą musieli z niego skorzystać.

Bez takiego scenariusza (nazwijmy go „Magdalenką bis”) wybory A.D. 2019 będą przypominać eskalację konfliktu przypominającego Serbię pod koniec ubiegłego stulecia albo Ukrainę w czasach schyłkowej prezydentury Kuczmy i rządów Janukowycza: mieszankę wojny domowej, izolacji międzynarodowej i kryzysu gospodarczego.

Artykuł niegroźny

Inna sprawa, że nikt nie powinien bać się sankcji wynikających z procedury artykułu 7. Gdyby natomiast Rada Europejska chciała, mogłaby ominąć zapowiadane wzajemne weta Polski i Węgier wobec sankcji poprzez jednoczesne głosowanie nad obiema sprawami. W takim głosowaniu przedstawiciele obu państw zostaliby wyproszeni i nie mogliby się wzajemnie chronić. W międzyczasie pozostałe państwa mogłyby uchwalić nową perspektywę finansową włącznie z mechanizmem wykluczającym transfery do krajów mających problemy z praworządnością. W ten sposób ani polski, ani węgierski rząd nie byłyby w stanie zablokować przyjęcia nowego budżetu i nowej perspektywy finansowej.

Z tej jajecznicy też nikt nie zrobiłby okrągłego jajka, nawet gdyby ETS uznał post factum takie postępowanie za niezgodne z prawem UE. Problem w tym, że w Radzie nie ma większości pozwalającej na przeprowadzenie podobnej operacji. Tu nie ma się czego spodziewać.

Test polski

Wszyscy natomiast powinniśmy się bać scenariusza mniej widowiskowego, ale bardziej ingerującego w nasze życie codzienne. Odkąd ETS odpowiedział na zapytanie irlandzkiej sędzi o stosowanie Europejskiego Nakazu Aresztowania, wszystkie sądy w UE mają obowiązek przeprowadzić „test polski” wobec wniosków o ekstradycję do naszego kraju: muszą ustalić, czy sądownictwo polskie jest pod kontrolą rządu, a jeśli tak, to czy fakt ten negatywnie wpływa na prawo podejrzanego do uczciwego procesu. Jeśli odpowiedź jest pozytywna, podejrzanego nie wolno przekazać Polsce.

Podstawą odpowiedzi ETS jest raport Komisji Europejskiej do Rady UE, zawierający wniosek o uruchomienie artykułu 7. ETS traktuje go jako niepodważalną prawdę na temat polskich reform sądownictwa – i tak samo będzie traktować raport posłanki do Parlamentu Europejskiego Judith Sargentini dotyczący Węgier.

Mówiąc prościej: każdy, kto teraz stoi przed sądem innego kraju UE, będzie się mógł powołać na raport Komisji o Polsce albo na raport Sargentini o Węgrzech – i to nie tylko w sprawie ekstradycji, ale też np. prawa do opieki nad dzieckiem albo tytułu egzekucyjnego wystawionego przez polski lub węgierski sąd. Dotyczy to nawet migracji, bo odtąd każdy uchodźca, któremu w ramach systemu dublińskiego grozi przekazanie do Polski lub Węgier, może argumentować, że nie będzie miał tam dostępu do niezawisłego sądu. Z tego powodu Niemcy już zaniechali transferu uchodźców na Węgry.

Czym to grozi

Zawieszenie członkostwa KRS w Europejskiej Sieci Rad Sądownictwa jest gestem symbolicznym, ale pokazuje, czym grozi dalszy rozwój wypadków: powolnym, mało spektakularnym rozpadaniem się współpracy prawniczej w UE, z negatywnymi skutkami dla innych dziedzin – dla strefy Schengen i dla Wspólnego Rynku – i tworzeniem się zamkniętego kręgu państw pracujących nad wspólną polityką migracyjną, integracyjną, azylową, a na końcu tej drogi wspólnie zarządzających swoimi granicami zewnętrznymi z państwami spoza tego kręgu.

Oczywiście, Polska i Węgry mogą na to odpowiadać nieuznawaniem wyroków sądów innych państw UE i zakładać swój własny, mniej praworządny Wspólny Rynek bis w ramach Bloku Wyszehradzkiego. Nasuwa się tylko pytanie: jeśli w Polsce i na Węgrzech jest mało obywateli UE, a w pozostałych państwach UE jest dużo Węgrów i Polaków, jeśli Wspólny Rynek to 500 mln obywateli wobec 48 mln w Polsce i na Węgrzech (a relacje według PKB są jeszcze mniej korzystne), to dla kogo rozpad systemu wzajemnego uznania wyroków, rozpad Wspólnego Rynku i kurczenie się strefy Schengen będą bardziej niekorzystne?

Z tej olbrzymiej asymetrii wynika więcej presji na rządy Polski i Węgier niż z całej zawiłej i czasochłonnej procedury wynikającej z artykułu 7. © KLAUS BACHMANN

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 186/16 postępowanie z wniosku Małgorzaty Gilewskiej o stwierdzenie nabycia spadku po Marianie Gilewskim, zm. 31 grudnia 2013 r., ostatnio zamieszkałym w Jarocinie. W skład spadku po zmarłym wchodzi jego udział w prawie własności lokalu mieszkalnego położonego w Tarnowie.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłego, by w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

MAREK SZYMAŃSKI / FORUM

Danuta Wałęsa i Lech Wałęsa podczas Kongresu Rodzin w Sali Kongresowej, z tyłu Mieczysław Wachowski, Warszawa, 1994 r.

Lechu z o.o.

JACEK GĄDEK

Na 75. urodziny Lech Wałęsa wydaje pamiątkowe medale. Dochód pójdzie na spłatę długów Instytutu jego imienia. W szczytowym momencie był on ponad półtora miliona złotych pod kreską.

Na pytanie, czego sobie życzy na urodziny, Lech Wałęsa mówi „Tygodnikowi Powszechnemu": – Życzę sobie świętego spokoju.

O to akurat trudno. Były prezydent jest dla ekipy Prawa i Sprawiedliwości oraz aparatu propagandowego jedynie TW „Bolkiem" – moralnym i historycznym bankrutem, a nie legendą Solidarności. Na domiar złego do Instytutu Lecha Wałęsy wszedł na trzy miesiące komornik, bo za tą instytucją ciągną się błędy przeszłości.

– Zawsze byłem w Instytucie jedynie sztandarem. Dałem nazwisko i nie mieszałem się do zarządzania. To było zadanie prezesów. Jeśli są długi, to ich sprawa, żeby o tym myśleć – deklaruje Wałęsa.

A tychże było w całej historii ILW, która sięga roku 1995, pięciu. Dziś funkcję tę pełni Adam Domiński, prywatnie zięć Wałęsy, mąż Anny – szóstej z ośmiorga dzieci Lecha i Danuty – która sama w przeszłości pracowała w biurze ojca. To on puka do drzwi kolejnych wierzycieli, by rozkładać długi ILW na raty. Jak na razie mu się udaje.

Kula u nogi

Lech Wałęsa powołał Instytut swojego imienia tuż po porażce w wyborach z 1995 r., w których o zaledwie 2,5 proc. pokonał go Aleksander Kwaśniewski. Wyprowadził się więc z Belwederu, bez pomysłu na siebie, z pokiereszowaną przez politykę rodziną, bez wielkiego majątku. Jako pierwszy w III RP demokratycznie wybrany prezydent i pierwszy „obalony" w wyborach chciał założyć *think tank*. Plan był pionierski.

W praktyce ILW tworzyli ludzie z jego prezydenckiej kancelarii, którzy rozpierzchli się po porażce pryncypała. Szefem został Marek Gumowski, prezydencki adwokat. Wtedy ILW miał jeszcze ambicję wpływania na stan państwa. Ale po sromotnej porażce (zaledwie 1,01 proc. poparcia) w 2000 r. Wałęsa pozbył się kierownictwa i oddał stery 26-letniemu Piotrowi Gulczyńskiemu. Obok Instytutu, posiadającego status fundacji, zaczęła działać druga, pod nazwą Fundusz Lecha Wałęsy, która mogła prowadzić działalność gospodarczą. To bardzo ważne rozróżnienie: Instytut był szyldem, a Fundusz kasą. Oboma zarządzał Gulczyński.

To wtedy ILW zaznał krótkiego okresu finansowej *prosperity*. Gulczyński: – Ktoś, kto zapraszał Lecha Wałęsę, proponował kwotę wsparcia dla fundacji lub honorarium. Pojawiające się ↦

↦ w mediach informacje o stawkach od 10 do 100 tys. dolarów są prawdziwe, ale nigdy nie było cennika, który funkcjonowałby jako dokument przekazywany naszym partnerom.

Dla byłego prezydenta dopływ gotówki był konieczny, bo utrzymywał coraz liczniejszą rodzinę. To się zresztą nie zmieniło do dziś: cały czas a to zapłaci dług dziecka albo alimenty, a to kaucję za wnuka. Krótkie rządy PiS w latach 2005-07 podkopały jego legendę, ale państwo pod wodzą Platformy Obywatelskiej dało prestiż, państwowe spółki zaś sypały pieniędzmi. Jednym z największych darczyńców był nieżyjący już Jan Kulczyk.

Instytut potrzebował nowej siedziby. Na miarę legendy Lecha. W 2011 r. samorząd Mazowsza z pompą przekazał mu w najem willę Narutowicza w Warszawie przy ul. Parkowej. Największe wrażenie robiły wizualizacje, jak zostanie zaadaptowana na prezydencką bibliotekę.

Na fetę przybyli prezydent Bronisław Komorowski, były premier Jan Krzysztof Bielecki, Andrzej Wajda i kard. Józef Glemp. Umowę podpisali marszałek Mazowsza Adam Struzik i Wałęsa. Wedle słów tego ostatniego miało to być „dobre miejsce nie tylko dla Warszawy, ale też dla całej Polski". Stało się jednak kulą u nogi byłego prezydenta.

Gulczyński mówi „Tygodnikowi": – Będę bronił tej decyzji. Zagadką była tu postawa Stołecznego Konserwatora Zabytków, który pierwotnie wydał nam zgodę na remont, a potem jej nie przedłużył. To był cios w plecy i powód około rocznego opóźnienia w rozpoczęciu prac.

Koszty rosły, papier z wizualizacjami blaknął. ILW miał płacić 50 tys. zł czynszu, ale zalegał. Dług rósł. Aż władze Mazowsza złożyły pozew o spłatę zaległości. W 2017 r. sąd wydał nakaz spłaty długu: prawie pół miliona złotych. W marcu bieżącego roku komornik zajął konta Instytutu i zastał tam 120 zł z groszami. Już miał przystępować do licytowania – nikłego zresztą – majątku. Obecny prezes ILW Adam Domiński ubiegł go, bo zawarł z władzami Mazowsza porozumienie: w 47 ratach po 10 tys. zł uwinie się ze spłatą w cztery lata. Do tej pory Instytut spłacił cztery raty.

Plan A

To i tak postęp. Gdy rozmawiałem z Domińskim w marcu, nie był pewny, czy nie pogrzebie ILW: – W obecnej sytuacji finansowej Instytutu mamy dwa wyjścia: albo uda się odzyskać stracone pieniądze, albo będziemy zmuszeni zlikwidować Instytut ze względu na brak środków. Decyzję podejmiemy zgodnie z zaleceniami analizy prawnej – oceniał.

Wachowski co prawda opuścił fotel prezesa Instytutu, ale nie oddał stanowiska powiernika Funduszu, który trzymał instytutowe pieniądze. I nikt nie mógł go z tego stanowiska odwołać.

Plan A był taki: ratować ILW, rozłożyć długi na raty. I właśnie on jest realizowany.

Był jednak także plan B. Adam Domiński i Krzysztof Pusz (w latach 80. sekretarz w biurze Lecha Wałęsy, a w czasie jego prezydentury szef gabinetu), czyli dwóch najbardziej zaufanych dziś współpracowników Lecha, założyło w połowie 2017 r. nową Fundację im. Lecha Wałęsy. Z dnia na dzień mogli zamknąć jeden wehikuł prawno-finansowy (Instytut), by przesiąść się do drugiego. Już bez garbu długów.

Scenariusz awaryjny to jednak ujma na honorze. Bo jak to? Laureat Pokojowej Nagrody Nobla ucieka przed długami, także wobec państwa? Dla takiej rejterady nie było jednak formalnych przeszkód. Ustawa o fundacjach stanowi, że można ją zlikwidować w dwóch przypadkach: osiągnięcia celu, dla którego ją powołano, albo wyczerpania środków i majątku fundacji. W przypadku Instytutu warunek wyczerpania środków jest już od paru lat spełniony.

W szczycie dług ILW sięgał 1,7 mln złotych. Wykazał to audyt na zlecenie byłego już prezesa ILW Jerzego Stępnia, bezpośredniego poprzednika Domińskiego. Wałęsa potraktował Stępnia w swoim stylu: jako zderzak na krótki czas. Były szef Trybunału Konstytucyjnego wchodząc w 2016 r. do ILW chciał wiedzieć, na jaki ugór przychodzi. Gdy wynik audytu trafił już na jego biurko, Wałęsa zdecydował się na wymianę rady nadzorczej Instytutu. Stępień – z wielkim żalem do Wałęsy – rzucił więc papierami.

Wraz z nim odeszła reszta niedobitków. Jeden ze stronników Wałęsy twierdził jednak, że Stępień, który pracował dla ILW społecznie, nie miał czasu, by wyciągać Instytut z bagna długów, więc i tak musiałby odejść.

Hołubią i ścigają

Najbardziej kłopotliwy dług to ten wobec samorządu Mazowsza, bo tu rządzi koalicja Platformy Obywatelskiej, która hołubi Wałęsę, i PSL-u. Sojusznicy Wałęsy musieli go ścigać, bo inaczej naraziliby się na zarzuty niegospodarności i sami wylądowaliby przed prokuratorem.

Ale ILW miał też inne wezwania do zapłaty. Udało się spłacić łącznie ok. 450 tys. zł zobowiązania wobec PZU. Z pomocą przy spłacie ubezpieczyciela pospieszyła rodzina Kulczyków. Mniejsze kwoty należały się Polskiemu Instytutowi Sztuki Filmowej (25 tys. zł) i za najem biur (18 tys. zł). Z kolei Fundacja Dar Serca PKN Orlen oczekuje zwrotu kolejnych kilkuset tysięcy złotych.

Żądania zwrotów biorą się stąd, że ILW nie wydał grantów na te cele, którym miały służyć: głównie stworzeniu multimedialnej biblioteki prezydenta w willi Narutowicza.

Wobec ogromu długów Domiński złożył kilka miesięcy temu do prokuratury zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez byłych prezesów ILW Piotra Gulczyńskiego i Mieczysława Wachowskiego. To paradoks, bo ludzie Wałęsy odwołują się do prokuratury, którą Wałęsa uznaje za polityczną.

Zięć Wałęsy zażądał wyjaśnień od Wachowskiego i Gulczyńskiego, gdzie podziały się pieniądze z kont ILW: – Pozostaje mi tylko mieć nadzieję, że przynajmniej teraz, po tych kilku latach pomówień o zadłużenie Instytutu, prokuratura, a może sąd oddali te zarzuty – mówi Gulczyński. O „zaoranie" Instytutu obwinia Wachowskiego.

„Miecio" utyskuje z kolei, że sam jest stratny. W rzeczywistości jednak zarabiał i on, i jego życiowa partnerka. A ponadto przejął kasę, czyli Fundusz Lecha Wałęsy, byłemu prezydentowi zostawiając zadłużony szyld – Instytut.

Powrót Wachowskiego

Skąd w orbicie byłego prezydenta pojawił się Wachowski, z którym wcześniej przez kilkanaście lat rodzina nie utrzymywała

bliskich relacji? Lech i jego dawny cień zaczęli mieć wspólnych wrogów: PiS oraz braci Kaczyńskich.

Jak pisał „Fakt", Wachowski wkupił się na nowo w łaski Danuty Wałęsowej i przekonał rodzinę do tego, by umieścić go w ILW.

Była pierwsza dama miała do niego sentyment – pamięta mu, jak opiekował się nią i jej dziećmi, gdy lider „S" siedział internowany w stanie wojennym. „Mietek był bardzo dobrym przyjacielem (...). Był ze mną w trudnych czasach stanu wojennego. Sprawdził się" – wspominała Wałęsowa. Z Wachowskim do fundacji weszła też córka Wałęsów, Maria Wiktoria.

– Uważam, że jest potrzebna inna koncepcja, więc jak zawsze, zderzaki wymieniam – uzasadniał Lech Wałęsa. Dodawał, że Wachowski oczyścił się ze wszystkich zarzutów: od udziału w narkobiznesie po oszustwa i łapówkarstwo. To zresztą nie było prawdą, bo Wachowski wciąż czekał na prawomocny wyrok uniewinniający w sprawie, w której był oskarżony m.in. o próbę wyłudzenia w zamian za pomoc w zwolnieniu kogoś z aresztu.

Kiedy we wrześniu 2014 r. Wachowski wszedł do obu instytucji, miał czym zarządzać. Na konto fundacji wpłynęła bowiem darowizna 2 mln zł od biznesmena Jana Kulczyka, którego firma była strategicznym partnerem eksprezydenta. Negocjacje w sprawie tych pieniędzy prowadził jeszcze Gulczyński, ale przelew wpłynął już za rządów jego następcy.

– Biznesmen był negatywnie nastawiony do nowego prezesa, ale osobiście o wsparcie miał go wtedy poprosić Wałęsa – mówi osoba znająca kulisy operacji.

Wachowski, który miał pracować społecznie, szybko zatrudnił swoją partnerkę, Dorotę Obrycką. Uczynił z niej swoją pełnomocniczkę w Instytucie, a w Funduszu, gdzie był powiernikiem (jednoosobowym organem nadzoru), dał jej fotel prezesa z wynagrodzeniem. Sam też zarobił. Jerzy Borowczak (dziś poseł PO i przyjaciel Wałęsy) tłumaczył, że rada Instytutu przyznała Wachowskiemu nagrody w wysokości ok. 300 tys. zł, bo „Mietek załatwił od sponsorów 2 mln zł".

Ja nie mogę odwołać?

Mimo że na konto Funduszu trafiły pieniądze od Kulczyka, działalność ILW zamierała. Pracownicy odchodzili, a inni sponsorzy nie chcieli być kojarzeni z Wachowskim. Aż po dwóch latach, we wrześniu 2016 r., zrezygnował on z funkcji prezesa Instytutu, tłumacząc to względami zdrowotnymi: rakiem gardła.

Sam Wachowski w sprawozdaniu za swój pierwszy pełny rok prezesury podkreślił, że „charakteryzuje się on zmniejszoną ilością nowych programów wdrażanych do realizacji". Rozpisał się za to o swoim koniku: projekcie „Rejs pokoju" żaglowcem Zawisza Czarny, który miał „propagować ideę pokoju na świecie". W każdym porcie miał być odczytywany i przekazywany władzom państwowym „Apel Lecha Wałęsy". Nic z tego oczywiście nie wyszło.

Zgliszcza po Wachowskim przejął nowy prezes – wspomniany były sędzia TK Jerzy Stępień: „Po odejściu Wachowskiego na kontach Instytutu Lecha Wałęsy zostało 107 zł" – mówił „Faktowi". Dziennik ujawnił ponadto, że Wachowski w istocie oszukał Wałęsę. Co prawda opuścił fotel prezesa Instytutu, ale nie oddał stanowiska powiernika Funduszu, który trzymał instytutowe pieniądze. I nikt nie mógł go z tego stanowiska odwołać. Fundusz, z jego pieniędzmi i zobowiązaniami, został przez niego sprywatyzowany wbrew Wałęsie.

W tej kwestii były prezydent jest sam sobie winny. Przez długie lata nawet nie wiedział, że nie ma władzy nad Funduszem. Oświecił go dopiero notariusz. Sęk w tym, że statut zawierał absurdalny zapis: Wałęsa (czyli fundator) mógł powołać i odwołać wyłącznie pierwszego powiernika, a kolejnych już nie. Jeszcze w 2010 r. Piotr Gulczyński zrzekł się stanowiska powiernika (oficjalnie „ze względu na wyjazdy zagraniczne") i na nowego namaścił swojego brata Andrzeja. Ten już po zaledwie miesiącu zrezygnował i na powrót wskazał Piotra jako następcę. Niby nic, ale w ten sposób Piotr stał się nieodwoływalny, tak jak i jego ewentualni następcy.

„Ja nie mogę odwołać? Ja nie mogę? Jakie to prawo!?" – unosił się eksprezydent, gdy we wrześniu 2014 r. zażyczył sobie, by to Wachowski przejął Fundusz. Ostatecznie Gulczyński ugiął się pod presją i na następcę wskazał, zgodnie z życzeniem Lecha, Wachowskiego. Ten z kolei już żadnej presji nie zamierzał ulegać.

– Wachowski po wyrzuceniu z Instytutu dostał od Lecha ostry list, że nie ma prawa wykorzystywać jego nazwiska. Było w nim ultimatum, że albo zmieni nazwę, albo będzie miał proces – mówi osoba znająca ILW od środka.

Ostatecznie odbita Wałęsie fundacja została przemianowana na Światowe Centrum Pokoju. I znów Wachowski pisze o „Rejsie pokoju", choć tym razem już na olimpiadę w Tokio w 2020 r. Z opisu żeglarskiego projektu wyciął Wałęsę. W praktyce ŚCP oferowało nie walkę o pokój, lecz pomoc w sprowadzaniu cudzoziemców do pracy w Polsce.

W minionym roku sąd nakazał przejętej przez Wachowskiego fundacji oddać spółce Energa 825 tys. zł, które były przed laty grantem na remont willi Narutowicza. Fundacja złożyła apelację, ale nie wpłaciła 41 tys. zł opłaty sądowej. Odrzucono ją więc i nakaz zapłaty się uprawomocnił. Energa informuje, że w egzekucji odzyskała „jedynie niewielką część" długu. ŚCP złożyło do sądu wniosek o upadłość, więc w ten sposób pieniądze odbitej Wałęsie fundacji całkowicie się rozpłynęły.

Społecznie odpowiedzialna spółka

Instytut, który pozostał w rękach rodu, ma swoje problemy. Z bagna ma go wyciągać Adam Domiński: – Lech Wałęsa dał mi jako prezesowi i radzie Instytutu wolną rękę. Nie wpływa ani na sposób, ani kierunek naszego działania. To zresztą nie jest dzisiaj dla Lecha Wałęsy sprawa najważniejsza. Istotna dla niego jest obrona podkopywanej przez dzisiejszy rząd polskiej demokracji, o którą tak walczył.

Instytut próbuje – co jest jego misją – dbać o legendę Lecha. Cały czas prowadzi, ograniczoną, ale jednak, działalność statutową. Teraz będzie organizował lekcje historii także dla dzieci z zagranicy, by mówić o datach związanych z Lechem Wałęsą. Przede wszystkim musi zadbać o stan konta, by do drzwi znów nie zapukał komornik.

– Powołałem spółkę, która w ramach społecznej odpowiedzialności biznesu prowadzi dedykowaną Instytutowi działalność. Wydajemy właśnie medale okolicznościowe z okazji 75. urodzin Lecha Wałęsy i 35-lecia przyznania mu Nagrody Nobla. To limitowana edycja stu sztuk medali w cenie 5 tys. zł. Całość zysku przeznaczamy na działalność Instytutu – mówi prezes Domiński.

Ta spółka to LW sp. z o.o.

JACEK GĄDEK ©

Autor jest dziennikarzem Gazeta.pl.

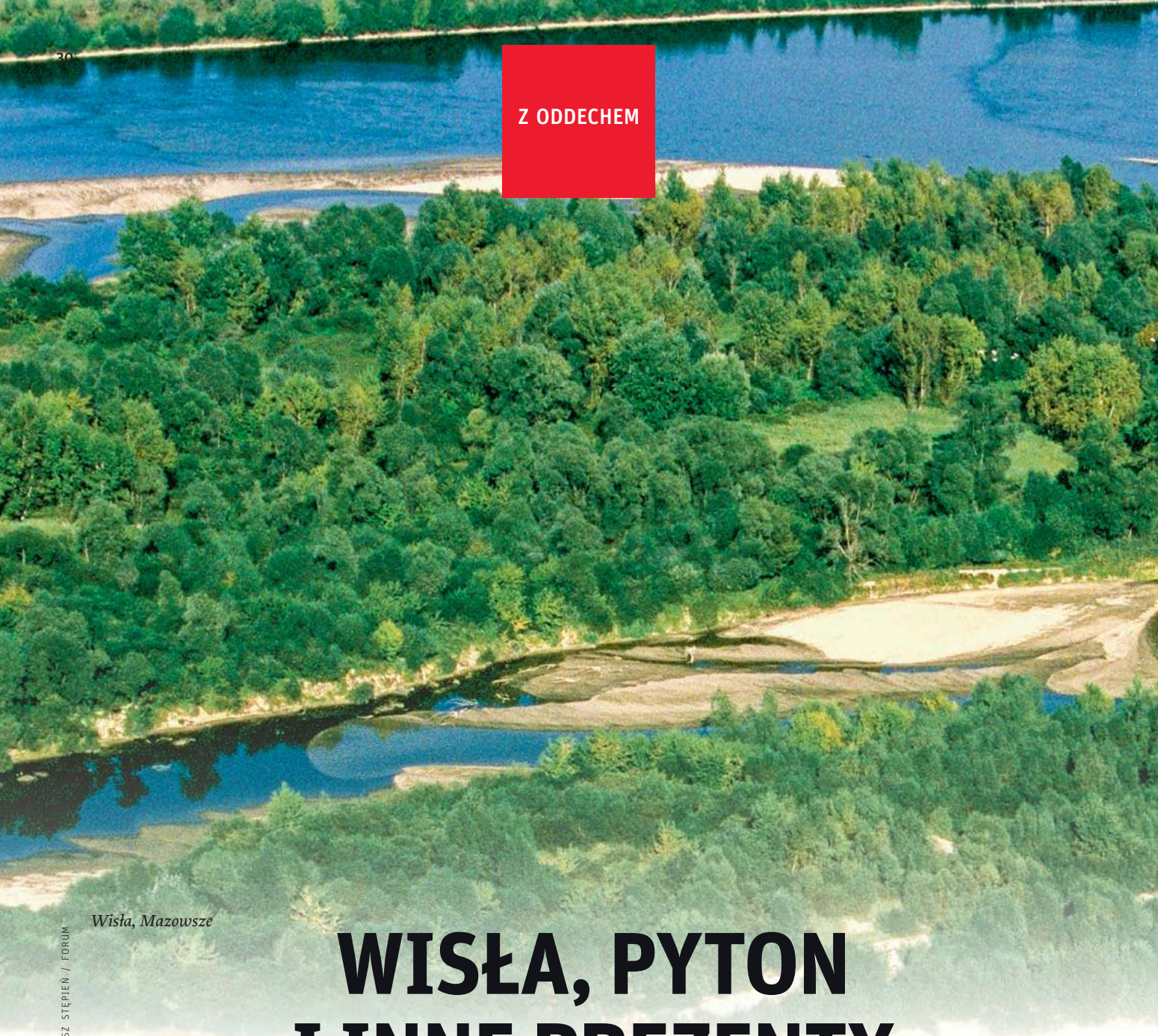

Wisła, Mazowsze

TOMASZ STĘPIEŃ / FORUM

WISŁA, PYTON I INNE PREZENTY

ARKADIUSZ SZARANIEC, EDUKATOR PRZYRODNICZY I PISARZ:

Rzeki to żywe archiwa. Są jak zdziczałe sady. Właściciele dawno nie żyją, gospodarstwa nie ma, a sad istnieje i owocuje. Zachowuje pamięć.

ADAM ROBIŃSKI: Rozmawiamy nad Wisłą, nie mogę więc nie zapytać o główny temat z nią w ostatnich miesiącach związany: co z tym pytonem tygrysim?

ARKADIUSZ SZARANIEC: Śmiem twierdzić, że nie było żadnego pytona. Wydaje mi się, że ci naoczni świadkowie widzieli po prostu wiślanego suma. One mają nawet dwa-trzy metry długości, jak kameleony zmieniają ubarwienie w zależności od koloru podłoża. No i w wodzie ruszają się jak płynący wąż. Sam kilka miesięcy temu widziałem taki okaz. Pruł pod prąd w stronę Góry Kalwarii, tam podobno jest ich dużo.

A znaleziona pod Konstancinem wylinka?

Mogła być podrzucona żartem. Policjant z komisariatu rzecznego opowiadał mi ostatnio, że w szczycie lata doniesień o pytonie było mnóstwo, a ich rozrzut geograficzny i opisowy ogromny. Jakaś pani widziała pytona ciągnącego w wodzie wielką kłodę. To był oczywiście bóbr. Ktoś inny opisywał zwierzę przypominające fokę. Po prostu na wieść o pytonie ludzie zaczęli zwracać uwagę na Wisłę. Uważniej na nią patrzeć. Wie pan, rzeka niesie bardzo różne i dziwne rzeczy. Znajomi śmieją się ze mnie, że zawsze podczas spływów grzebię w piachu.

I co Pan znajduje?

Choćby krzemienie. Kiedyś przy moście Poniatowskiego – na wyspie przy środkowym filarze – znalazłem kawałek renesansowego kafla. Albo przedwojenną złotówkę. Albo designerskie okulary. Oglądaliśmy z Michałem Konopą leżące tam resztki wysadzanego dwukrotnie, bo w 1916 i 1944 r., Poniatoszczaka. Patrzę – a tu okulary leżą na jednym z kamieni. Mówię: „Michał, nie zapomnij okularów". A on na to, że ma swoje na nosie. Leżały sobie jak odłożone specjalnie, ale pokryte cienką warstewką mułu. Wziąłem więc jako prezent. Często dostaję takie prezenty od Wisły. Innym razem – już zmineralizowaną kość, prawdopodobnie krąg tura. Ale pierwszym znalazcą była kilkuletnia uczestniczka rejsu, więc skarb należy teraz do niej. Podwójną i to kompletną muszlę małża olbrzymiego o długości 30 cm też oddałem małemu znalazcy ze szkolnych warsztatów nadwiślańskich.

Pytona Pan w każdym razie nie widział?

Jeśli rzeczywiście był w Wiśle jakiś pyton, to już dawno zszedł na zapalenie płuc. 20 stopni Celsjusza, a w nocy mniej to dla niego mróz. Skończyło się zresztą lato i nikt już o nim nie mówi. My po prostu potrzebujemy takich wakacyjnych węży.

Jak nie wąż, to wieloryb.

Wisła przyciąga różne charaktery i wydobywa różne historie. Dopiero co wróciłem z pierwszej części Flisu z Warszawy do Torunia. Było ponad 40 jednostek. Drewnianych, tradycyjnych. Płynęliśmy około tygodnia. Ostatniej nocy, w miejscowości Osiek, spałem na wielkiej mieliźnie pośrodku nurtu, pod bezchmurnym, rozgwieżdżonym niebem, w apogeum perseid, jako kompanów do ogniska mając wikingów. Trzy pełne ludzi drakkary, jeden z nich o nazwie Morąg, który zaraz potem pobił w Toruniu rekord prędkości na wiosłach. Wikingowie byli niesamowici. Zbieranina przedziwnych ludzi, od adwokatów po robotników, wszyscy zafascynowani szkutnictwem i historią.

Sami zbudowali te łodzie? ↦

Jest jeden szkutnik artysta – nosi przydomek Jameryk. Jeśli rekonstruujesz łódź wikingów z I wieku naszej ery, to do dyspozycji masz z jednej strony ikonografię, z drugiej pasjonatów ze Skandynawii. U nas Marek Byliniak, szlachetny maniak Wisły, sam z siebie robi autentyczne dłubanki, jak przed wiekami z jednego pnia. Co innego nasze tradycyjne łodzie wiślane, baty, łodygi, lejtaki, ale też krypy, barkasy oraz byki i szkuty. Bo na Wiśle obowiązywały różne szkoły budowania.

Na przykład?

Na niektórych odcinkach stosowano wręgi robiniowe, specjalnie wykrzywione kawałki drewna, które utrzymują i wzmacniają odpowiedni kształt łodzi. Robinia przypłynęła do nas z Ameryki i szybko została zagospodarowana. Ma niezwykle twarde, spoiste drewno, świetne także do stylisk siekier, o czym wie każdy góral. Z kolei w Nieszawie budowano długie, smukłe łodzie o podniesionych dziobach, bo Wisła w dolnym biegu jest nie tylko potężna, ale i wystawiona na działanie silnych, wiejących pod prąd wiatrów. Łodzie musiały być zdolne do pokonywania pięciometrowych fal.

Wiślane szkutnictwo się odradza?

Prawdziwych szkutników jest zaledwie kilku, ale właścicieli przeróżnych jednostek już kilkudziesięciu. Ten ruch sięga dawnych ośrodków i ludzi, którzy przetrwali. Przemek Pasek rozpoczął ten renesans. Jako żył jeszcze dotarł do miejscowości Basonia, gdzie ocalał ponad 90-letni szkutnik. Tradycja przetrwała, ale w minimalnym zakresie. Kiedy pytam wodniaków o rodzaje starych wiślanych kotwic wystawionych na dziedzińcu klasztoru w Czerwińsku nad Wisłą, nikt nie umie mi o nich opowiedzieć, dlaczego mają tak różne wielkości, odmienne kształty ani jakie nosiły nazwy. Albo wyjaśnić, czym różnił się lichtan od lichtugi. Nazwy tych typów jednostek zachowały się w dokumentach, ale są też stare zdjęcia. Canaletto jak reporter uwiecznił je na panoramach Warszawy.

Co takiego ma Wisła, czego nie mają inne rzeki?

To ostatnia nie do końca uregulowana duża rzeka Europy. Ma ogromny potencjał historyczny i biologiczny. To, co obecnie się z nią dzieje, jest fantastyczne. Wystarczyła minimalna pomoc człowieka, polegająca na ograniczeniu wylewania do niej ścieków, by ją ożywić. Nagle znowu pojawiają się gatunki ptaków czy małż, które zachowały się w niej lub odrodziły jakby wbrew wszelkiej logice.

ARKADIUSZ SZARANIEC:

Nie ma lepszych obserwatorów przyrody od dzieci. Mówię im: kucnijcie. Nagle widać zupełnie inny świat. Dżungla na metrze kwadratowym zwykłej trawy. Ślimaki, motyle, mrówki.

Kiedy Wojciech Giełżyński w 1980 r. płynął Wisłą w hamburce, od początku szlaku żeglownego do Bałtyku widział tylko dwie czaple.

A teraz oglądamy je przed sobą w centrum Warszawy.

To kiedy Wisła była na dnie?

W latach 70. Ale kiedy przyjechałem do Warszawy w 1975 r., spotykałem ludzi, dla których jeszcze dziesięć lat wcześniej korzystanie z Wisły było czymś normalnym. Znajomy operator filmowy co roku w ramach wczasów pracowniczych pływał z matką do Płocka, po drodze zawijając w różne miejsca. To była tak oczywista forma wypoczynku, że nikt się nad tym specjalnie nie zastanawiał. Nie to co teraz. Teraz Wisła to romantyzm i popis. Warszawa ma swoich wodnych i bulwarowych hipsterów.

Pamięta Pan swoje pierwsze wizyty nad rzeką?

Lata 70. to był szczyt wylewania do Wisły wszystkiego, co popadnie. Totalny stan obcości. Rzeka była martwa na obu brzegach. Drogę do niej tarasowała nieprzebyta ściana krzaków. Bobrów nie było, trzeba było szukać ścieżek wydeptanych przez wędkarzy i bezdomnych lub zwierzęta. Ale spotykałem różnych ludzi. Choćby Mirka Kaczyńskiego, który dziś pływa po Europie, a pochodzi ze starego rodu wiślanych „rybitw", czyli rybaków. Jego dziadek dzierżawił 16 km rzeki, przy moście Poniatowskiego miał specjalny hak, do ważenia świeżych ryb, także jesiotrów i łososi, w które zaopatrywał Adrię i inne stołeczne lokale. Ale ja też mam wiślane korzenie.

Jak to?

Mój ojciec urodził się we wsi Chodków Stary niedaleko Łoniowa, w okolicach Sandomierza. Jako nastolatek topił się w Wiśle i potem już nigdy nie wszedł do żadnej wody głębiej niż do kolan. A był przedtem świetnym pływakiem. I potem jako profesor Politechniki Świętokrzyskiej miał cały czas z wodą do czynienia. Był projektantem tam, nietypowych fundamentów i umocnień na rzecznych brzegach i mieliznach. Przy modelu Wisły w Instytucie Budownictwa Wodnego w Gdańsku, gdzie pracował wiele lat po ukończeniu miejscowej Politechniki, poznał Władysława Broniewskiego, który chciał, by jego córka Anka nakręciła film do jego poematu „Wisła". Prace były zaawansowane, ale przerwała je samobójcza śmierć córki. Ja sam na dobre zakochałem się w Wiśle w 2006, może 2007 r. Łukasz Krajewski uruchomił wtedy regularne rejsy na rzece, i to takie z noclegami gdzieś przy brzegach. Słowiki nie dawały spać! Teraz niestety jego flota pływa głównie po Żuławach Wiślanych. Potem zostałem na krótko wykładowcą dziennikarstwa. Uczyłem fotografii prasowej, wydawniczej i reklamowej. Zabrałem swoich studentów na miesiąc poszukiwań w widły trzech rzek: Wisły, Narwi i Wkry. To chyba wtedy ostatecznie przyznałem sobie obywatelstwo Wisły.

Co robiliście podczas tych wyjazdów?

Kwerendę. Pływaliśmy po Wiśle, oglądaliśmy nurt, brzegi, ale także jej dno echosondą, zaczepialiśmy ludzi, spisywaliśmy ich relacje, robiliśmy zdjęcia z motolotni. Również nad Narwią oraz Wkrą, bo to też wspaniała, choć mała rzeka. Tam, gdzie wpada do niej płynąca przez Ciechanów Łydynia, jest ciągle dzika i nieodkryta. Co dwa kilometry młynisko. Rzeki to żywe archiwa. W ich nazewnictwie zachowały się choćby dawne języki, włącznie z pruskim i jaćwieskim. To tak samo jak z sadami. Właściciele dawno nie żyją, gospodarstwa nie ma, a sad istnieje i owocuje. Zachowuje pamięć.

Pana ojciec bał się Wisły. A nie jest tak, że my się wszyscy jej boimy?

Bo my się w ogóle boimy natury. Do tej pory myślałem, że ten amok związany z koszeniem trawników w miastach to po prostu skok na kasę przedsiębiorstw się tym zajmujących. Ale ostatnio zacząłem interweniować w mojej spółdzielni, żeby nie koszono. Dowiedziałem się, że ten inteligencki Żoliborz, wykładowcy, nauczyciele, oni wszyscy nie mogą się doczekać koszenia. Wręcz się o nie dopominają, jeśli na sąsiednim osiedlu trawa jest wykoszona, a u nas jeszcze nie. Prezes spółdzielni powiedział mi, że jestem pierwszym od kilkudziesięciu lat wnioskującym o zaprzestanie koszenia.

Trawa ludzi przerasta?

Natura ma być sprowadzona do ziemi. Wygładzona. Poddana. Parki powinny składać się z wystrzyżonych trawników i drzew. W żadnym wypadku ze średnim piętrem krzaków. Krzaki to chuligani i dziki zwierz. No i to samo jest z Wisłą. Tymczasem powinno się czuć nie lęk, lecz respekt, zwyczajny szacunek. Owszem, Wisła bywa niebezpieczna, ale głównie dla bezmyślnych.

Bo jest chyba bardzo zmiennym organizmem?

Tak, i jest na to potwierdzenie w dokumentach! Rozmawiałem z historykiem Szymonem Kazuskiem, który bada dzieje spławu na Wiśle i innych rzekach. Dokumenty dowodzą, że Wisła zawsze żyła swoim życiem. Są miejsca, gdzie często tonęły statki, osiadały lub rozbijały się tratwy. Czoło jakiejś łachy było i jest w stanie w ciągu jednego dnia lub nocy przesunąć się o sześć, siedem metrów. I odwrotnie, Wisła potrafiła zabrać kawał lądu, brzeg lub wyspę. Tymczasem my wciąż próbujemy sprowadzić ją do roli dekoracji. Nawet wygląd nowych bulwarów, na których teraz jesteśmy, świadczy o chęci zapanowania nad nią i nieznajomości jej natury. Popisowy element to brama do Portu Czerniakowskiego, którą postawiono bez świadomości, jakiej szerokości są barki. Większość barek, które tam stacjonują, nie wypłynie już na zewnątrz. Będzie je musiał wyciągać dźwig.

Jest Pan z zawodu teatrologiem, ale zajmuje się głównie przyrodą. Ostatnio wydał Pan książkę „Żubry lubią jeżyny", leksykon emblematycznych gatunków zwierząt, jak bocian czy właśnie żubr. Skąd się ta przyroda w Pana życiu wzięła?

Powinienem był przynieść na to spotkanie rekwizyt: pierwsze wydanie „Bezkrwawych łowów" Włodzimierza Puchalskiego. Oglądałem tę książkę wielokrotnie, jeszcze zanim zacząłem czytać. Otwierałem na pierwszym zdjęciu, to portret małej sarenki na łące, i marzyłem, że może kiedyś zobaczę ją z bliska. I to się oczywiście ziściło, wiele razy. Mała sarna ma w sobie coś magicznego.

Teraz w Polsce sarny można zobaczyć praktycznie wszędzie.

Jedna na stałe żyje w warszawskich Łazienkach... Ale paradoksalnie łatwiej zobaczyć żubra niż dzikiego chomika, kuropatwę lub zająca. „Żubry lubią jeżyny" miała mieć pierwotnie tytuł „Od bielika do chomika". Ochrona przyrody nie może ograniczać się do ministerstwa i parków narodowych. To również powinno być niekoszenie tych nieszczęsnych trawników. Małe, ale codzienne czynności i starania. Ot, choćby doniczka na balkonie. Dla nas dekoracja, a dla owadów zapylających deska ratunku. Dorota Sumińska napisała mi na skrzydełku książki: „znawca przyrody". A ja nie jestem znawcą, tylko wyznawcą. Wierzę i widzę, że cudowna natura jest na wyciągnięcie ręki. Staram się do tego przekonać uczestników warsztatów i wycieczek, które prowadzę w Warszawie, ale też w innych miastach i regionach Polski.

Jak Pan to robi?

Nie ma lepszych obserwatorów przyrody od dzieci. Mówię im: kucnijcie. Nagle widać zupełnie inny świat. Dżungla na metrze kwadratowym zwykłej trawy. Ślimaki, motyle, mrówki. Albo inny sposób: weź butelkę z wodą, podczas spaceru w lesie czy parku znajdź zagłębienie w terenie, zwłaszcza podczas tych upałów, napełnij je, a potem oddal się o kilka metrów i obserwuj. Po kwadransie ten akwenik zacznie tętnić życiem.

Czyli jednak traktuje Pan przyrodę jak teatr.

Byłem w życiu na wielu przedstawieniach. Z jednym aktorem, z wieloma. Ale w przeciwieństwie do tego prawdziwego teatru, w przyrodzie nigdy nie żałowałem udziału. Raczej tego, że kurtyna tak wcześnie opadła. W obcowaniu z naturą nie ma straconych inwestycji. To zresztą ten sam Puchalski, który zaraził mnie miłością do przyrody, pisał, że natura jest potrzebna człowiekowi jako źródło piękna, jako kategoria estetyczna. Uważam, że jego działalność była jednym z najważniejszych elementów odbudowywania sprowadzonej do krwawego strzępu świadomości ludzkiej stratowanej przez wojnę. Nie mówił wprost, że trzeba o wojnie zapomnieć. Zamiast tego pokazywał piękno natury. Miał też wielu sojuszników: wydawców, drukarzy.

To chyba dziś nie doceniamy jego wpływu na powojenne pokolenia.

Panowała wówczas taka obyczajowość, że choć wszyscy żyli raczej skromnie, to w prezencie na imieniny czy urodziny dawało się albumy fotograficzne. One miały ogromne nakłady. Puchalskiego drukowano po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzy rocznie. Kiedy potem budowano kadry kolejnych powstających parków narodowych, to wszystko byli jego czytelnicy. Ludzie, którzy dzięki Puchalskiemu zaczęli działać w przyrodzie, odnajdywali w niej sens życia i mocno się angażowali. Ta fala trwała przez wiele lat. Do dziś mówimy przecież o „bezkrwawych łowach", a środowisko filmowe bazuje na jego dorobku.

Wróćmy do tych trawników – są Pana zdaniem tak samo ważne jak żubry?

Trawa to największy, a przy tym najtańszy i najskuteczniejszy oraz wszędzie obecny instrument do walki ze smogiem. Zjada dwutlenek węgla, daje tlen, nawilża i filtruje powietrze, i to za darmo! Nawet zimą zbiera i gromadzi pył i kurz. Mam wrażenie, że my przyrodę nieświadomie chronimy i świadomie niszczymy. Wspaniałymi ekoistami byli dawni rolnicy, którzy uprawiali taki cykl prac i upraw od wiosny do jesieni, że wykarmiali tysiące gatunków zwierząt. Taki był organizm polskiej wsi, włącznie z drewnianymi budynkami, strzechami, miedzami, układem pól i pastwisk. A teraz? Rolnictwo produkuje głównie dopłaty, wielkie uprawy są opłacalne, ale obce dla środowiska. Albo DDT. Gdyby diabeł miał wymyślić najskuteczniejszy sposób wyniszczenia bielików, drapieżnych ptaków, nie wymyśliłby nic lepszego od DDT. Z drugiej strony udało nam się wyhodować w sąsiedztwie Warszawy prawdziwy cud, jakim jest Puszcza Kampinoska. Na całym świecie są tylko trzy stolice z własnymi parkami narodowymi. ↦

Te dwie pozostałe to?

Nairobi w Kenii i Bogota w Kolumbii. Jest jeszcze Brasília, ale to środek dżungli, tam chodniki eksplodują pod naporem tropikalnej roślinności, więc nie ma w tym żadnej zasługi człowieka. A jeśli chodzi o Puszczę Kampinoską, to w 1939 r. żołnierze narzekali, że nie ma gdzie się schować i to w samym jej środku. Ale wystarczyło dać tej przestrzeni szansę – utworzyć park narodowy. Ktoś pomyślał, że wystarczą Wisła i naturalne procesy odradzania się lasu, także otuliny z pól i łąk, i puszcza zacznie tętnić życiem. I to w jak zaskakujący sposób w okresie zaledwie kilkudziesięciu lat. Pojawiły się nawet wilki – na własną łapę! Najpierw odtworzono łosie, a potem rysie. Wyciągnięto je z ogrodów zoologicznych, a zaraz potem dołączył do nich dziki osobnik najpewniej z Warmii czy Mazur! Przywędrował brzegami i korytem Wisły. To jest wielka paneuropejska zwierzostrada. Zresztą podobne cuda dzięki Wiśle dzieją się w samej Warszawie.

Czyli?

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu bieliki były na skraju wymarcia. Dziś można je czasem oglądać na tle Zamku Królewskiego, a często na Młocinach i Bielanach. Mało tego, młode bieliki próbowały założyć gniazdo w sąsiedztwie mostu Świętokrzyskiego. Rosła tam wiekowa topola. Całkiem dobrze im szło, ale w pewnym momencie spróchniałe, kruche drzewo się złamało. Na śródmiejskich brzegach i wysepkach Wisły można zobaczyć najrzadsze gatunki ptaków, a wiele z nich się tutaj także gnieździ, można je zobaczyć codziennie!

O czaplach już wspominaliśmy.

Albo sokoły wędrowne. Myślałem, że tego nie dożyję. Mają gniazdo na Pałacu Kultury i Nauki, świetnie się tam zaaklimatyzowały. Co więcej, kilka lat temu inna para zagnieździła się zupełnie na dziko.

Gdzie?

Na balkonie bloku przy ulicy Klaudyny na Bielanach. Właściciele mieszkania zauważyli, że w jednej ze skrzynek z ziemią pojawiło się jajko i kręcą się wokół niego jakieś dziwne ptaki. Wezwali ornitologów, a ci w drodze śledztwa ustalili, że to młody naszych pałacowych sokołów dogadał się z samicą z Niemiec. To brzmi jak fantastyka, ale sokoły to wspaniali wędrowcy. Te warszawskie młodziaki dolatują nawet na Półwysep Gibraltarski. Ale na koniec opowiem panu o jeszcze jednym cudzie związanym z Wisłą.

Poproszę.

Trzeba usiąść przy wejściu do Portu Czerniakowskiego i poczekać, aż przepłynie jakaś ciut większa jednostka. Parę minut po niej nad wodą, tuż przy samym brzegu, pojawi się duża, prawie metrowa ryba. Kleń, a może nawet i łosoś. Poluje na spłoszony narybek i różnego rodzaju wodne zwierzątka podniesione z dna i głębi nurtu. Wyskakuje z wody jak delfin i po chwili w niej niknie z pluskiem, czasem kilka razy z rzędu. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie patrzeć.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

TADEUSZ BYSTRAM

ARKADIUSZ SZARANIEC jest teatrologiem, edukatorem przyrodniczym i przewodnikiem. Prowadzi warsztaty przyrodnicze dla dzieci, młodzieży i dorosłych. Autor wydanej niedawno książki „Żubry lubią jeżyny" (Czarne). Na początku przyszłego roku ukaże się jego przewodnik „Dzika Warszawa" (Iskry).

TYGODNIK POWSZECHNY

Zapraszamy na „Lekcje czytania"

NOWY CYKL „LEKCJI CZYTANIA" 2018/19

Już we wrześniu ruszamy w Polskę z kolejną porcją świeżej literatury!
Zapraszamy szkoły, biblioteki i instytucje kulturalne z całego kraju do kontaktu i udziału w naszej akcji społecznej promującej czytelnictwo.
Zapraszamy też na „Lekcje...", które odbędą się podczas Festiwalu Conrada w dniach 22–28 października w Krakowie.

Poprowadzą je:
MAGDALENA BARBARUK, JACEK LEOCIAK, MICHAŁ PAWEŁ MARKOWSKI, MICHAŁ OLSZEWSKI, MAŁGORZATA SZPAKOWSKA ORAZ MARCIN WICHA.

W najbliższych tygodniach rozpoczniemy także cykl spotkań wokół literatury popularnonaukowej.

Rezerwacje: lekcjeczytania@tygodnik.com.pl

Więcej o akcji na / LekcjeCzytania

Uniwersytet ŁÓDZKI · FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO · TYGODNIK POWSZECHNY · Quad Graphics · CONRAD FESTIVAL

Najnowszy cykl „Lekcji czytania" odbywa się mimo kolejnej odmowy finansowego wsparcia ze strony Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Osoby, które chciałyby wesprzeć naszą akcję społeczną, zapraszamy do kontaktu z Fundacją: fundacja@tygodnik.com.pl

ANNA

Dziewit-Meller: *Schab ze śliwkami*

O ile przez cały rok formy do ciast i większe garnki mogą się w moim domu kurzyć w najciemniejszych zakamarkach szafek, o tyle gdy nadchodzi jesień, w głowie włącza mi się tryb: „a może by tak zrobić coś dobrego do jedzenia?”. I wtedy kruche ciasta ze śliwkami, wymyślne tarty, dynie w najróżniejszych wariantach, przetwory i inne *amuse-bouche* wychodzą z mojej kuchni w zastraszającym tempie, ku radości rodziny, nieprzywykłej za bardzo do mojej wielkiej aktywności za garami.

To oczywiście mija – wraz z nadejściem pierwszych mrozów odechciewa mi się być domową boginią, ale do tego czasu trwam w owym miłym przekonaniu, że nią jestem i że ognisko naszego domu hajcuje się mocno, jako te suche liście w jesiennych ogrodach.

A wszystko to – powiedzmy sobie szczerze – zdarzyło się po raz pierwszy nie za sprawą rodzinnych inklinacji (babcia moja Hanka kroić niewątpliwie lepiej umiała pacjentów niż warzywa na sałatkę, mama zaś gotowanie traktowała jak poeta Ojczyznę – czyli jak wielki obowiązek, co podobnie jak w przypadku miłości do Ojczyzny odbierało tej czynności pewną lekkością i pożądaną jednak frywolność). Miłość do garów (powracająca) przyszła do mnie wraz z moją przyjaciółką Agnieszką Drotkiewicz, która wiele lat temu, pewnego wrześniowego dnia, w jednym z wynajmowanych przeze mnie mieszkań pokazała mi, jak robi dwa ciasta – kruche ze śliwkami i migdałami w karmelu oraz portugalskie ciasto czekoladowe na solonym maśle. Siedząc na parapecie i wylizując miski, patrzyłam na jej wprawne ruchy z podziwem, a gdy dom wypełnił aromat pieczonych śliwek, palonego cukru i czekolady, zrozumiałam, że robota w kuchni może być poezją, a nie tylko orką na ugorze kotleta mielonego.

Żadna zatem z osób na świecie nie zdaje mi się bardziej predestynowana do rozmów o kuchni i jedzenia niż Agnieszka, której zawdzięczam ten leżący tuż obok laptopa przedostatni kawałek ciasta ze śliwkami. Jej nowa książka więc – „Smak kwiatów pomarańczy. Rozmowy o kuchni i kulturze” (o której pisał tu już przed tygodniem Paweł Bravo) – to jak połączenie trufli i pasty, surowej ryby i ryżu, karmelu i śliwek, rolady i klusek – czyli rewelacja. Drotkiewicz rozmawia z Tessą Capponi-Borawską – urodzoną we Florencji, ale od lat mieszkającą w Polsce znawczynią kuchni, przez ponad 20 lat pracującą w Katedrze Italianistyki UW, autorką licznych publikacji poświęconych gotowaniu. Niespiesznie toczy się ta ich opowieść o historii kuchni włoskiej, pierwszych książkach kulinarnych, kuchni jako przestrzeni pracy i życia, kobietach w kuchni, marnowaniu jedzenia, poście i karnawale, jedzeniu w malarstwie i literaturze, o kryzysie i o tym, jak robić coś z niczego. Do rozmowy włącza się także córka Tessy, Flavia, szefowa kuchni, absolwentka Le Cordon Bleu, mająca na koncie pracę w najlepszych restauracjach świata, która mówi, że profesjonalna kuchnia jest jak armia, w której nie ma miejsca na sentymenty, płacz i problemy przynoszone z zewnątrz. I choć opowiada o swoim doświadczeniu szowinizmu, który ją dotknął w kuchni, to jednak podkreśla, że w tym braterstwie nad garami, w tym „trochę zwierzęcym, pierwotnym zachowaniu” jest coś, co najbardziej w gotowaniu kocha.

W książce dostaje się trochę postaciom takim jak Nigella Lawson, które Capponi-Borawska nazywa „kulinarnymi *pin-up girls*”: „w ślad za nią [Nigellą – przyp. ADM] poszła cała rzesza aktorek, modelek, prezenterek, które propagują dość infantylną wizję kuchni. W ich podejściu jest trochę seksu, ale też sporo tradycjonalizmu spod znaku »jestem taka mała, ale sama umiem coś zrobić w kuchni, aby sprawić komuś przyjemność«”. Flavia zaś dodaje: „Bardzo drażni mnie, że nie ma podziału między tymi *pin-up girls* a profesjonalnymi kucharzami kobietami, które wniosły ważny wkład w kulturę kulinarną. Są to dwa różne zawody i przeszkadza mi, że jestem wkładana do jednego worka z tymi pierwszymi”.

Ostatnia rozmowa – o tym, jak Tessa zaczynała pisanie o kuchni i gotowaniu w polskiej prasie lat 90. – to szybki skok w nie tak znowu odległą, ale jakże różną od dzisiejszych czasów przeszłość. W rubryce „DelicaTessy” Borawska pisała o nowych produktach na rynku, a były nimi np. mleko w proszku Kanny o różnych smakach, bita śmietana w sprayu Dutch Lady, biszkopty LU czy pierwsze mleko UHT – pyrzyckie. Niesamowitą przeszliśmy drogę od tamtych czasów, stając się krajem, w którym kebab i sushi – dwie potrawy, których na pewno nie miałam okazji spróbować wcześniej niż jakieś 20 lat temu – stały się niemal daniami narodowymi. Ja tę drogę przeszłam tropem mojej przyjaciółki, która znacznie więcej ode mnie wiedziała i nie wahała się mnie swoją wiedzą częstować. Kiedyś – otwierać mnie na nowe. Dziś – zachęcać do powrotu do korzeni. A więc: gorąco polecam! ©

TP

Kluby „TP” zapraszają

GDAŃSK, czwartek, 27.09, godz. 18.30
Spotkanie „Chrześcijaństwo w dialogu z innymi religiami”. Gościem będzie ks. Krzysztof Niedałtowski. Miejsce: Hospicjum Dutkiewicza (ul. Kopernika 6).

GLIWICE, czwartek, 27.09, godz. 18.00
Spotkanie „Historia wielkiego przemilczenia”. Gościem będzie Zuzanna Radzik. Miejsce: Klub Pracowników Politechniki Śląskiej (ul. Banacha 3).

LUBLIN, sobota, 6.10, godz. 16.00
Spotkanie założycielskie. Miejsce: klasztor oo. Dominikanów (ul. Złota 9).

WARSZAWA, poniedziałek, 1.10, godz. 18.00
Kawiarenka „Miłość nie zastępcza – o adopcji i dzieciach czekających na miłość”. Gościem będzie Przemysław Wilczyński. Miejsce: Stacja Muranów (ul. Gen. Andersa 13).

SPRAWIEDLIWOŚĆ SPODOBA SIĘ BOGU

DAWID GOSPODAREK

Czy instytucje kościelne powinny wypłacać odszkodowania ofiarom księży pedofilów? Kościół w Polsce nie będzie się mógł przed tym uchylać.

W styczniu tego roku poznański sąd okręgowy przyznał ofierze księdza pedofila odszkodowanie w wysokości miliona złotych oraz 800 zł comiesięcznej, dożywotniej renty. Sędzia Anna Łosik powołała się na artykuł 430 kodeksu cywilnego, mówiący o odpowiedzialności pracodawcy za czyny pracowników. To w Polsce precedens: odszkodowanie ma płacić nie sprawca, a Kościół. Towarzystwo Chrystusowe, którego członkiem był wydalony ze stanu duchownego po dziewięciu latach od aresztowania sprawca, odwołało się od wyroku. Jednak czy rzeczywiście może umywać ręce?

Niedawne ujawnienie tego precedensowego wyroku zbiegło się z falą dyskusji o tuszowaniu pedofilii w Kościele, wywołaną amerykańskim raportem z Pensylwanii. Dokument ten pokazał, że do kryzysu bostońskiego w 2002 r. praktyka tuszowania była powszechna. Od tego czasu Kościół podjął walkę z pedofilią wśród księży. Przekaz ostatnich papieży jednoznacznie sformułowany został w haśle „zero tolerancji". W opublikowanym niedawno Liście do Ludu Bożego Franciszek napisał: „Patrząc w przeszłość, nigdy nie będzie dość proszenia o przebaczenie i prób naprawienia wyrządzonych szkód".

Naprawienie wyrządzonych szkód powinno uwzględniać także kwestię zadośćuczynienia dla ofiar.

Pomoc w terapii

Coraz więcej wiemy o traumie osób skrzywdzonych i procesie odzyskiwania stabilności emocjonalnej, któremu musi towarzyszyć terapeuta. Ważne jest też przebaczenie, bo dopiero ono pozwala doświadczyć wolności. Dużo trudniej przejść ten proces, gdy sprawca nie uznaje swojej winy, a instytucja, którą reprezentował, nie jest w stanie zdobyć się nawet na gest przeprosin.

Jak zapewnia ks. Adam Żak – koordynator ds. ochrony dzieci i młodzieży przy Konferencji Episkopatu Polski – osoby poszkodowane przez księży (oraz ich rodziny!) mogą uzyskać finansowanie terapii, przy czym terapeutę można wybrać również spoza struktur związanych z Kościołem. Kwestia ta wyłożona została w dokumencie Konferencji Episkopatu Polski „Wytyczne dotyczące wstępnego dochodzenia kanonicznego w przypadku oskarżeń duchownych o czyny przeciwko szóstemu przykazaniu Dekalogu z osobą niepełnoletnią poniżej osiemnastego roku życia", opublikowanym np. na stronie KEP.

Pytanie tylko, czy ofiary księży rzeczywiście są informowane (np. przez spowiedników lub w kurii, gdzie zgłaszają problem) o takiej możliwości? Spośród kilkunastu znajomych księży (w tym dwóch urzędników kurialnych) żaden nie wiedział, że przełożony sprawcy ma obowiązek w ramach pomocy udzielanej ofierze finansować psychoterapię. Problemem może być też niekorzystna interpretacja wspomnianych „Wytycznych": nie napisano w nich wprost o finansowaniu, lecz o obowiązku „udzielenia pomocy duchowej i psychologicznej oraz konsultacji prawnej ofierze nadużycia seksualnego" (art. 1 Aneksu 1) czy też o proponowaniu pomocy psychologicznej (art. 7).

Obowiązek moralny

„Odpowiedzialność karną oraz cywilną za tego rodzaju przestępstwa ponosi sprawca jako osoba fizyczna" (pkt 14 „Wytycznych"). Ta zasada dotyczy również kwestii odszkodowań dla ofiar pedofilii. Były rzecznik Episkopatu, ks. Józef Kloch, jako analogię podawał złamanie zasad ruchu drogowego i mandat: „Płaci ten, kto zawinił, a nie ten, kto wydał mu prawo jazdy".

Podobnie argumentował przed sądem w Poznaniu adwokat Towarzystwa Chrystusowego: twierdził, że nie ponosi ono odpowiedzialności za czyny swojego członka, gdyż ów „skrzywdził dziewczynkę bez wiedzy przełożonych". Argument brzmi cynicznie, zwłaszcza gdy chodzi o zakonnika, który składając śluby ubóstwa, wyrzeka się dóbr materialnych na rzecz zgromadzenia i to ono troszczy się o jego potrzeby.

Na Zachodzie już od lat jest oczywiste, że Kościół jako instytucja powinien ↦

ALESSANDRA BENEDETTI / CORBIS / GETTY IMAGES

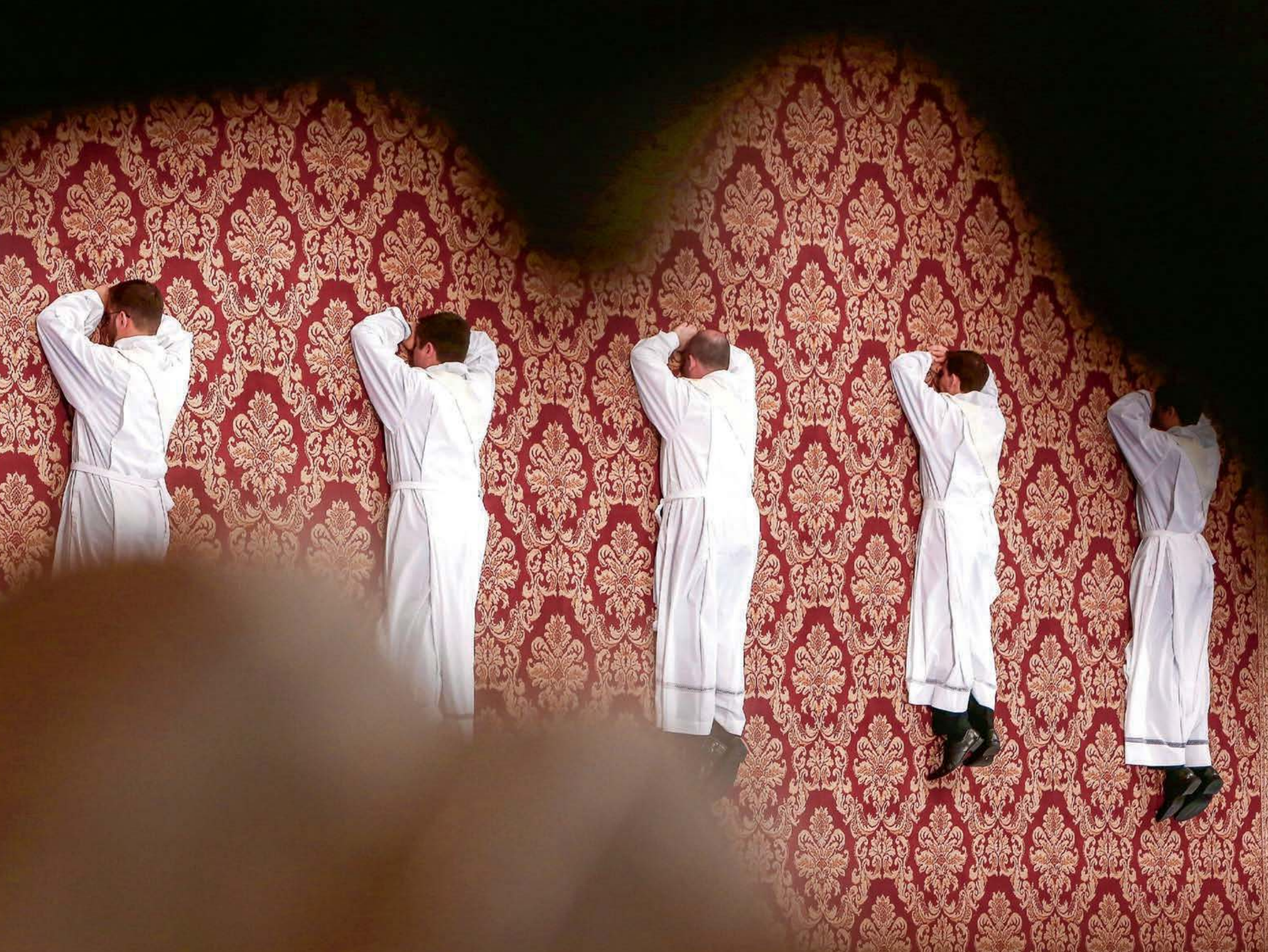

↦ odszkodowania wypłacać, zwłaszcza że w grę wchodziło również skandaliczne ukrywanie takich przestępstw. Już kilkanaście diecezji na świecie ogłosiło bankructwo z tego powodu. Stanowisko polskiego Episkopatu odwołuje się do obowiązującego prawa cywilnego, jednak już dziś są możliwe interpretacje pozwalające obciążyć Kościół – opowiadają się za tym np. prof. Ewa Łętowska, prof. Mirosław Nesterowicz czy obecny rzecznik praw obywatelskich, dr Adam Bodnar.

Kościół w Polsce nie może czekać na zmiany polityczno-prawne. Już teraz, ze względów przede wszystkim ewangelicznych i moralnych, powinien odpowiedzialnie zadośćuczynić poszkodowanym za krzywdy, których zaznali, oraz zaniedbania, których dopuścił się Kościół. „Do naprawienia zła potrzebne jest zadośćuczynienie. Mówię o kategorii moralnej, a nie prawnej. Chodzi o zło, w którym jako wspólnota kościelna mamy udział" – powiedział ks. Adam Żak (wywiad w książce „Żeby nie było zgorszenia. Ofiary mają głos", wydanej przez Krytykę Polityczną). To właśnie ta eklezjologiczna podstawa powinna być główną przesłanką do proponowania ofiarom odszkodowań.

Chodzi o konkretny gest zadośćuczynienia za zło, które wyszło z Kościoła, o znak, że czyjeś cierpienie zostało zauważone. Pokutne nabożeństwa są potrzebne, ale uchylanie się od wypłaty choćby symbolicznych odszkodowań (na jakie kwoty przeliczyć cierpienie?), czasem uzasadniane wręcz arogancko, jest gorszące nie tylko dla ofiar, ale też dla katolickich i niekatolickich obserwatorów.

Solidarność z ofiarami

Benedykt XVI w przesłaniu do biskupów uczestniczących w 2012 r. w sympozjum na temat skandalu pedofilii napisał: „Uzdrowienie ofiar musi być priorytetową troską wspólnoty chrześcijańskiej i musi iść w parze z głęboką odnową Kościoła na każdym szczeblu". Podobnie mówił Franciszek podczas spotkania z ofiarami duchownych pedofilów w Chile w styczniu 2018 r.: „Chcę dołączyć do moich braci w biskupstwie, gdyż słusznie jest prosić o wybaczenie i wspierać ze wszystkich sił ofiary, a zarazem musimy zobowiązać się do tego, aby to się nigdy nie powtórzyło". We wspomnianym już Liście do Ludu Bożego papież napisał: „Dzisiaj chcemy, aby solidarność, rozumiana w swoim najgłębszym i wymagającym znaczeniu, stała się naszym sposobem tworzenia historii aktualnej i przyszłej, w środowisku, gdzie konflikty, napięcia, a zwłaszcza ofiary nadużyć wszelkiego rodzaju mogłyby znaleźć pomocną dłoń, która chroniłaby ich i uwolniła od bólu".

> Jeśli do święceń dopuszczane są osoby niedojrzałe i obciążone zaburzeniami seksualnymi, **Kościół jest współodpowiedzialny** za krzywdy przez nie wyrządzone.

Czy ta solidarność nie powinna wyrażać się również przez materialne odszkodowanie? Konieczność wsparcia ofiar jest oczywista. Zasadą być powinno, że gdy skazany kapłan nie może tego odszkodowania wypłacić, robi to za niego Kościół.

W obrzędzie święceń kapłańskich rektor seminarium zapewnia biskupa: „Po zbadaniu opinii wiernych i po zasięgnięciu rady osób odpowiedzialnych za ich przygotowanie zaświadczam, że uznano ich za godnych święceń". Kościół jest odpowiedzialny za odpowiednie przygotowanie i dopuszczenie do święceń kapłańskich oraz do posługi duszpasterskiej czy katechetycznej. Jeśli do święceń dopuszczane są osoby niedojrzałe i obciążone zaburzeniami seksualnymi, jeśli Kościół powierza opiekę nad dziećmi takim osobom, jest współodpowiedzialny za krzywdy przez nie wyrządzone.

Na tę odpowiedzialność wskazał również metropolita częstochowski abp Wacław Depo, zapowiadając Dzień Modlitwy i Pokuty za grzechy wykorzystywania seksualnego małoletnich w marcu 2017 r.: „Chcemy to czynić ze względu na więź, która w Ciele Mistycznym łączy nas z innymi, i choć nie ponosimy osobistej odpowiedzialności za grzechy innych członków Kościoła, to jednak dźwigamy ciężar ich błędów i win". Sprawcom w przepracowaniu tego ciężaru pomogą kary kościelne i cywilne. Kościołowi natomiast – wsparcie dla ofiar, a także pomoc w formie finansowego odszkodowania.

Podać można też argument teologiczny. Teologia odpustów zakłada, że Kościół dysponuje duchowym skarbcem, na który składają się zasługi Chrystusa oraz świętych. To z niego rozdzielane są odpusty. Kościół ma do tego prawo, ponieważ jest jednym mistycznym ciałem z Chrystusem i świętymi. Jednak na ziemi to mistyczne ciało stanowią również grzesznicy, którzy są wciąż w drodze. Skoro zasługi świętych służą Kościołowi, grzechy innych członków Kościoła ranią całą wspólnotę. Także więc dla jej dobra zło trzeba naprawić, a za krzywdy wypłacić zadośćuczynienie.

Zbawienie najwyższym prawem

Wypłacanie odszkodowań przez Kościół w Polsce nie byłoby zjawiskiem precedensowym. Zdarza się to czasem w polubownym rozwiązywaniu cywilnych spraw sądowych. Zbiorową odpowiedzialność wprowadzono np. w diecezji gdańskiej w związku z aferą wokół wydawnictwa Stella Maris. Diecezja zmuszona została do zwrócenia państwu milionów złotych, a ponieważ biskup nie mógł wyegzekwować długu u skazanego księdza dyrektora, nałożył specjalny podatek na wszystkich księży. Nie jest też tajemnicą istnienie diecezjalnych czy zakonnych funduszy alimentacyjnych – na dzieci księży płaci cała wspólnota, a nie ich ojcowie w sutannach.

Najważniejsza w działalności i prawie Kościoła jest zasada *salus animarum suprema lex* – zbawienie duszy najwyższym prawem. Ofiary księży-pedofili po przeżytej traumie często nie mogą odnaleźć się w Kościele. Biskupi powinni zrobić wszystko, żeby zarówno poszkodowani, jak i ci, których zgorszyła ta sytuacja, wiedzieli, że dobro ofiar i troska o nie ważniejsze są od budżetu diecezji.

Franciszek wzywa do stanowczego odrzucenia wszelkich form klerykalizmu. Czy jedną z nich nie jest kościelny opór przed wypłaceniem takich odszkodowań? W obliczu zgorszenia wywołanego przez nadużycia seksualne księży papież zachęca Kościół do modlitwy i postu. Z tymi praktykami w chrześcijaństwie nierozerwalnie związana jest jałmużna, do której, jako konkretnego wyrazu miłości, modlitwa i post przygotowują. Jałmużna nie jest rzuceniem zbywającego grosza uspokajającym sumienie. Stanowi, jak mówi Katechizm, wyraz sprawiedliwości podobającej się Bogu (KKK 2447).

© DAWID GOSPODAREK

Autor jest dziennikarzem Katolickiej Agencji Informacyjnej.

Kolegialność pod papieżem

PIOTR SIKORA

Franciszek wiele mówi o Kościele zdecentralizowanym i nieklerykalnym. W swoim najnowszym dokumencie robi pół kroku w kierunku realizacji tej wizji.

Wspólnota biskupia („Episcopalis communio") – brzmi tytuł konstytucji apostolskiej ogłoszonej 18 września w Watykanie, a podpisanej przez papieża trzy dni wcześniej. Reformuje ona instytucję synodu biskupów i potwierdza dążenie do większej kolegialności – ważne od samego początku obecnego pontyfikatu.

Jak pokazał poprzedzony szerokimi konsultacjami i rozpisany na dwa zgromadzenia Synod o Rodzinie, instytucja synodu zyskuje we współczesnym Kościele na znaczeniu. Konsultacje otwarły bowiem przestrzeń wypowiedzi dla wielu ludzi, którzy dotąd czuli, że ich doświadczenie i rozumienie wiary nie jest przez hierarchię wysłuchiwane. Samo zaś zgromadzenie synodalne stało się miejscem otwartej dyskusji pomiędzy biskupami (debaty o wadze i temperaturze dawno niespotykanej) i inspiracji do zmian w papieskim nauczaniu.

Kto pisze adhortację

Synod o Rodzinie nie był, jak się okazuje, pojedynczym wydarzeniem tego typu. Obecnie jesteśmy w przededniu zgromadzenia Synodu o Młodzieży, który w kontekście skandali związanych z tuszowaniem molestowania nieletnich przez księży może być równie gorący, co poprzedni synod.

W tym kontekście papież podejmuje odważny ruch: dotąd synody posiadały charakter jedynie doradczy, a oficjalnym rezultatem każdego z nich mogły być (i najczęściej były) adhortacje pisane „z inspiracji synodu" samodzielnie przez papieża. W nowej konstytucji Franciszek zdecydował, że elementem nauczania papieskiego może stać się dokument przygotowany przez synod po zatwierdzeniu przez biskupa Rzymu. Synod zyskuje przez to znacznie większe znaczenie.

Papież chce więc wzmocnić kolegialny charakter hierarchicznego ustroju Kościoła. Decentralizacja i wzmocnienie znaczenia głosu lokalnych episkopatów były ważnymi elementami programowymi wizji Kościoła, jaką głosił od samego momentu swojego wyboru.

Kto kogo naucza

Bardziej określoną i trwałą instytucjonalną realizację ma otrzymać także inna teologiczna idea obecna w nauczaniu Franciszka – to, że podział na Kościół nauczający i nauczany nie pokrywa się dokładnie z podziałem na hierarchię i świeckich, a więc że także hierarchowie powinni wsłuchiwać się w głos ludu, w którym rozbrzmiewa głos Boga, i uczyć się z tego źródła. W jakimś stopniu wraca w papieskim dokumencie starożytna wizja synodu jako zgromadzenia nie tyle nauczycieli, co świadków i reprezentantów wiary lokalnych wspólnot kościelnych.

Stałe prawne umocowanie zyskał więc także proces konsultacji prowadzonych przed zgromadzeniem synodu w Kościołach lokalnych, wprowadzony przed Synodem o Rodzinie w postaci rozesłanej ankiety.

Pół kroku

Trzeba jednak powiedzieć, że rozwiązania zawarte w „Episcopalis communio" zatrzymują się w pół kroku.

Nacisk na konieczność słuchania przez biskupów ich Kościołów równoważony jest przypomnieniem tekstów soborowych mówiących o konieczności zgadzania się wiernych ze zdaniem swojego biskupa na temat wiary i moralności oraz okazywania mu religijnej uległości. Na podstawie tekstu papieskiego dokumentu trudno powiedzieć, co robić w sytuacji, gdy głos biskupa i inne głosy rozbrzmiewające w jego Kościele nie są zgodne.

Wzmocnienie kolegialności i decentralizacja Kościoła ograniczona jest przez to, że dokumenty synodalne mają być elementem nauczania papieskiego (a nie po prostu kolegium biskupiego), oraz przez pewne szczegóły techniczne procesu synodalnego określone w „Episcopalis communio". Konstytucja wzmacnia bowiem rolę i kompetencje sekretariatu synodu, który staje się odpowiedzialny za zebranie głosów pojawiających się w ramach konsultacji, ich „integrację" i przygotowanie wstępnych dokumentów synodalnych. Również sekretariat jest odpowiedzialny za redakcję dokumentu końcowego.

Jest to o tyle istotne, że – jak pokazał Synod o Rodzinie – można spodziewać się wielu napięć pomiędzy sekretariatem a częścią biskupów. Nowa konstytucja nie daje jasnej odpowiedzi, w jakim zakresie i w jaki sposób hierarchowie mogliby wpływać na końcową postać rozstrzygnięć synodalnych, gdyby mieli inną ich wizję niż sekretariat synodu. Można powiedzieć, że papież chciałby jak najszerszej debaty we wspólnocie Kościoła, ale ponieważ rezultat tej rozmowy ma mieć pieczęć nauczania papieskiego, chce także zachować nad ową debatą kontrolę.

„Episcopalis communio" jest ważną próbą wprowadzenia idei kolegialności i decentralizacji do kościelnej praktyki. Pokazuje jednak, jak trudne jest to zadanie w kontekście łacińskiej, od wieków scentralizowanej i zhierarchizowanej tradycji. ©℗

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim, I Wydział Cywilny, informuje, że w sprawie prowadzonej pod sygnaturą I Ns 206/18 zezwolił Polskiej Spółce Gazownictwa spółce z o.o. w Warszawie na złożenie do depozytu sądowego kwoty 98 zł tytułem odszkodowania za ograniczenie korzystania z nieruchomości położonej w Stanisławowie, składającej się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 168 o powierzchni 12,300 ha i 169 o powierzchni 12,300 ha. Kwota 98 (dziewięćdziesiąt osiem) zł ma zostać wydana spadkobiercy bądź spadkobiercom Franciszka Wielgo, stosownie do wysokości udziałów w spadku, bez żadnych warunków.

Centrum świata przestaje istnieć

BARTOSZ HLEBOWICZ Z FLORENCJI

Władze dominikanów zdecydowały o zamknięciu słynnego klasztoru św. Marka we Florencji.

Dominikanie z konwentu przy kościele św. Marka, jednego z najważniejszych ośrodków religijnych we Włoszech i całej Europie, mają odejść – zdecydowały władze prowincji zakonu i jego generał Bruno Cadoré. Mają przyłączyć się do braci dominikanów zamieszkujących w innym florenckim klasztorze, Santa Maria Novella.

Klasztor i kościół św. Marka, odkąd w 1436 r. Kosma Medyceusz Starszy oddał go dominikanom z Fiesole (wcześniej, przez półtora wieku, był siedzibą braci sylwestrynów), stały się jednym z najważniejszych centrów życia religijnego i kulturalnego Włoch. Decyzja o przeniesieniu wspólnoty do Santa Maria Novella wzbudziła zaniepokojenie zarówno zakonników, jak obywateli Florencji i osobistości z całego świata, którzy złożyli na ręce generała zakonu protest podpisany przez 18 tys. osób. Bez skutku.

DEA / GETTY IMAGES

Biblioteka XV-wiecznego klasztoru św. Marka we Florencji

Serce Florencji

– Mimo przeprowadzki nadal tu będziemy – deklaruje na początku rozmowy o. Luciano Santarelli, przeor klasztoru św. Marka. – Władze zakonu po prostu postanowiły połączyć w jedną dwie wspólnoty dominikanów działające w naszym mieście.

Z każdą minutą półtoragodzinnej rozmowy o. Luciano zdradza jednak coraz większe niezadowolenie decyzją przełożonych.

– Klasztor św. Marka jest punktem odniesienia dla całej Florencji, musimy sprawić, żeby ten aspekt został wzięty pod uwagę w większym stopniu, niż w ostatnich latach. Jest to ważne centrum i religijne, i kulturalne. To nie jest dla nas łatwy moment: moment niepewności i niepokoju. Najważniejsze jest to, że to miejsce pozostanie własnością zakonu. Tu są nasze korzenie i historia. Niestety, podjęto taką decyzję...

Klasztor dominikanów, na życzenie Kosmy Medyceusza w latach 1436-46 przebudowany i powiększony przez architekta Bartolomea Michelozza na użytek zakonu, rzeczywiście stanowi nieodłączną część historii miasta. Do najsłynniejszych osób związanych z klasztorem należy wybitny renesansowy artysta Beato Angelico, który wraz z uczniami wykonał wszystkie klasztorne freski, łącznie z zapierającym dech w piersiach „Ukrzyżowaniem i świętymi" oraz ascetycznymi, a jednocześnie kolorystycznie doskonałymi malowidłami przedstawiającymi sceny z życia i męki Chrystusa. Znajdują się one w każdej z 43 cel, które Michelozzo wybudował na pierwszym piętrze klasztoru. O „Zwiastowaniu", które Fra Angelico namalował około 1442 r., Giorgio La Pira, uwielbiany powojenny burmistrz Florencji, powiedział: „Florencja jest centrum świata, San Marco jest centrum Florencji, a »Zwiastowanie« Beata Angelica jest centrum San

Marco. Tak więc »Zwiastowanie« to serce naszej historii".

Savonarola – posłaniec boży

Najsławniejszą postacią związaną z klasztorem był pochodzący z Ferrary Girolamo Savonarola, dominikanin, kaznodzieja, reformator, którego pomnik stoi dziś na wprost fasady kościoła, na placu św. Marka. Savonarola nie wahał się krytykować władz tak świeckich, jak i duchownych. Stał po stronie biedoty, a w demokracji widział system najbliższy ideałom ewangelicznym. W drugiej połowie XV w. Savonarola był największym autorytetem moralnym we Florencji. Za jego radą utworzono np. w mieście bank dla ubogich, który udzielał bezprocentowych pożyczek, a także wprowadzono przepisy prawne pomagające tym, którzy nie byli w stanie spłacić długów.

Była to epoka demokratyzacji systemu politycznego, odnowy moralnej i religijnego zapału, przypominającego późniejsze reformy kalwińskie. Jednocześnie mieszkańcy obwołali Chrystusa królem Florencji, a Savonarolę jego przedstawicielem. Ten zaś przepowiadał rychłe nadejście sądu ostatecznego i nawoływał do ascetycznego stylu życia. Wspólne modlitwy miały zastąpić huczne zabawy, należało zerwać z libertynizmem (uosabianym przez rodzinę Medyceuszy) oraz wzorami pogańskimi w literaturze i sztuce. Kurię Rzymską i papieża Aleksandra VI Savonarola oskarżał o grzech pychy. Skończyło się zakazem wygłaszania kazań, ekskomuniką i papieską groźbą rzucenia interdyktu na Florencję. Ta zaś odejściem od Savonaroli części zwolenników, jego uwięzieniem, torturami i pokazowym procesem z fałszywymi świadkami. Kaznodzieję, wraz z dwoma uczniami, ogłoszono winnymi herezji i powieszono 23 maja 1498 r.

Inną ze sławnych postaci związanych z klasztorem był renesansowy malarz i dominikanin Baccio della Porta, duchowy uczeń Savonaroli, bardziej znany jako Fra Bartolomeo. Dzisiaj w muzeum św. Marka zobaczyć można dwa słynne portrety Savonaroli jego autorstwa. Pierwszy, z 1488 r., zdradza wpływy flamandzkie w wykorzystaniu światłocienia do realistycznego przedstawienia rysów twarzy. Drugi, wykonany w latach 1508-10, ukazuje Savonarolę jako św. Piotra Męczennika, z wielką szramą na głowie i lejącą się z niej strugą krwi. Do najpiękniejszych portretów Fra Bartolomea, obecnie zebranych w odrębnym, noszącym jego imię pomieszczeniu muzeum św. Marka, należą freski „Ecce homo" i szczególnie piękny, przedstawiający świętą Marię Magdalenę.

Święty marksista

We współczesnych czasach z klasztorem św. Marka związany był wspomniany Giorgio La Pira. Krytyk faszyzmu i ataku hitlerowców na Polskę, w 1943 r. założyciel pisma „San Marco", zmuszony jednak przez faszystów do przerwania publikacji. W latach 50. i 60. dwukrotnie wybrano go burmistrzem Florencji. Zasłynął ze wspierania eksmitowanych (odbierał posiadaczom nieużywane posiadłości i odnowione oddawał bezdomnym), wspierał robotników w walce o ich prawa. Budował domy i osiedla komunalne. Kościół oskarżał go o bycie marksistą. Jako świecki dominikanin (członek III zakonu) mieszkał wraz z braćmi zakonnymi w klasztorze św. Marka do czasu, kiedy zły stan zdrowia nie zmusił go do przenosin do domu opieki. Wracał jednak często do klasztoru, by studiować w tamtejszej olbrzymiej bibliotece, modlić się i jeść wspólnie z zakonnikami. 11 lat temu, w 30. rocznicę śmierci „świętego burmistrza", jego zwłoki przeniesiono na cmentarz na terenie bazyliki św. Marka. W 1986 r. Jan Paweł II rozpoczął proces beatyfikacyjny La Piry.

– To jeden z powodów, dla których należało wstrzymać się z decyzją o zamknięciu konwentu – mówi o. Luciano. – W lipcu papież Franciszek uznał czyny burmistrza za heroiczne. Gdy generał zakonu dominikanów po raz pierwszy usiłował zamknąć klasztor w 2014 r., kard. Giuseppe Bertoli, arcybiskup Florencji, wyjednał zwłokę: do czasu uznania La Piry świętym. Wydaje się jednak, że zamknięcie klasztoru generał obrał sobie za punkt honoru.

Odbudować wspólnotę

Największym zmartwieniem przeora jest utrzymanie wspólnoty kulturowo-religijnej wokół klasztoru.

– Nie jesteśmy parafią. Tu w okolicy nie ma bloków mieszkalnych. To ziemia misyjna, musimy przyciągać wiernych. Jak mielibyśmy tym wszystkim zawiadywać na odległość?

Dominikanie organizują raz w miesiącu wykłady naukowców z całych Włoch, zgodnie z tradycją spotkań wybitnych florentyńskich humanistów doby renesansu, takich jak Giovanni Pico della Mirandola i Agnolo Poliziano. Chlubą klasztoru jest ogromna, licząca 40 tys. tomów, biblioteka Levastri, która teraz ma stać się częścią biblioteki dominikanów z Santa Maria Novella.

– To niedorzeczne – ubolewa o. Luciano. – To są dwie zupełnie różne biblioteki. Ich gromadzi tylko prace dotyczące historii zakonu, nasza, o wiele większa, posiada dzieła filozoficzne, duchowe... Nasza biblioteka do tej pory była otwarta dwa razy w tygodniu. Nie mam pojęcia, co się z nią teraz stanie. Nie mogę opuścić tego miejsca. To było także miejsce ewangelizacji i spotkań przyjaciół. Zawsze tam jestem, żeby porozmawiać z ludźmi. Nie może się to miejsce zamienić w zwykłą bibliotekę, bez obecności zakonnika.

Innym ciosem dla dominikanów ze św. Marka jest decyzja o zmianie nazwy wydawanego przez nich pisma „Rivista di Ascetica e Mistica" na „Vita Christiana" i przede wszystkim zapowiedź odejścia od wydania papierowego. Teraz będzie się ukazywało tylko *online*.

Zamknięcie konwentu ma nastąpić lada dzień. Powodem ma być brak powołań, sąsiedztwo z muzeum (w 1869 r. połowa obszaru konwentu przeszła w ręce miasta, które zamieniło je w muzeum) i brak warunków do „realizowania podstawowych wymiarów życia zakonnego, jakimi są np. projekty apostolskie czy życie wspólnotowe", jak ujął to prowincjał dominikanów o. Aldo Tarquini. Ponadto klasztor stanowi ciężar finansowy, którego zakon nie jest już w stanie unieść.

– Nieprawda, że nie możemy prowadzić życia zakonników! – zaprzecza o. Luciano. – Modlimy się tu każdego ranka, wtedy jest niewiele osób. O innych porach dnia zakrystianin kontroluje liczbę odwiedzających. To miejsce musi być odwiedzane, to jest nasza chluba.

Cofnąć decyzję władz zakonu może już tylko Franciszek, ale jest raczej pewne, że tego nie uczyni.

– Musimy zaczekać na wybory nowego generała w przyszłym roku – mówi o. Luciano. – Być może za rządów nowego generała uda nam się odbudować wspólnotę w Świętym Marku.

Dominikanów w Świętym Marku pozostało zaledwie trzech, tak jak zresztą w Santa Maria Novella, dokąd mają się przenieść lada dzień.

– Ja się jeszcze nie pakuję – oświadcza o. Luciano. ©

Siedem razy łaska i kłopot

TOMASZ KYCIA Z BERLINA

Czy Kościół w Europie umiera? Czy również przypomina „niepłodną babcię", jak nasz kontynent nazwał papież Franciszek? Poszukując odpowiedzi, pisaliśmy już o Włoszech, Irlandii, Czechach i Francji. Dziś – o Kościele w Niemczech.

Kościół św. Pawła w Berlinie. Podczas liturgii Wigilii Paschalnej dziewięcioro dorosłych przyjmuje z rąk ojców dominikanów chrzest, bierzmowanie i pierwszą komunię. Wśród nich jest 26-letnia Sandra, Niemka z terenów byłej NRD. Kiedyś powtarzała sobie, że nigdy nie da się ochrzcić. – Decyzję chciałam podjąć sama – śmieje się nauczycielka angielskiego i muzyki, która dziś kieruje pierwszą w Niemczech dominikańską scholą na wzór tej z Krakowa. Co roku grupa dorosłych katechumenów przygotowuje się do chrztu w dominikańskiej szkole wiary. Kursy zaczynają się we wrześniu, są solidnym przygotowaniem teologicznym i duszpasterskim.

W tym roku w archidiecezji berlińskiej przybyło 90 katechumenów i 23 konwertytów z innych wyznań chrześcijańskich. W 3,5-milionowej metropolii, w której żyje tylko 8 proc. katolików, nie oznacza to jednak statystycznego wzrostu Kościoła.

Chrzest

W Niemczech żyje 23,6 mln katolików – 28 proc. społeczeństwa. W 2016 r. w niemieckim Kościele katolickim ochrzczono 171,5 tys. osób, zmarło 243,3 tys. wiernych, a 162 tys. dokonało aktu apostazji (przez rezygnację z płacenia kościelnego podatku). Przeciętnie więc w Kościele ubywa 233 tys. osób.

Czy to już Kościół umierający? Według bp. Stefana Ostera SDB z Pasawy mamy w Niemczech do czynienia z kryzysem wiary, ale są też momenty budzące nadzieję. Rodzą się bowiem nowe formy duchowości, powstają małe wspólnoty. Należą do nich takie inicjatywy jak Night Fever, Dom Modlitwy w Augsburgu czy pochodząca z Francji wspólnota Emmanuel w bawarskim Altötting. Biskup Oster w swojej diecezji zainicjował program „Believe and Pray". Co dwa tygodnie grupa 70 osób spotyka się z nim na modlitwie i czytaniu Słowa Bożego. Oster stawia na małe grupy w Kościele, bo jego zdaniem żywy Kościół to inwestowanie w konkretnych ludzi.

Bierzmowanie

Nastolatki Ruth i Gudrun śpiewają w kolońskim chórze katedralnym. Za edukację „kolońskich słowików" odpowiada Katedralna Szkoła Śpiewu. Przygotowanie do bierzmowania ma więc – w porównaniu z innymi parafiami – wysoki poziom.

– Raz w tygodniu przez dwie godziny mieliśmy zajęcia z księdzem, siostrą zakonną lub panią pedagog. Co tydzień byliśmy przepytywani z naszej wiary, czy ją znamy i czy mamy z niektórymi jej częściami jakiś problem – wspomina Ruth. – Powtarzano nam, że do bierzmowania nie musimy, ale możemy iść. Że wybór w pełnej wolności należy do nas.

A jej siostra Gudrun dodaje: – Pamiętam, że na zajęciach oglądaliśmy filmy na YouTubie o sakramencie spowiedzi.

Obie podkreślają, że mimo nieprzeciętnej szkoły katolickiej zbyt mało dowiedziały się o Kościele, a część kolegów i koleżanek przystąpiła do bierzmowania, bo rodzice tak chcieli.

Również wśród niemieckich duszpasterzy krąży powiedzenie, że bierzmowanie to uroczyste pożegnanie z Kościołem w obecności biskupa. W Niemczech na taki stan rzeczy składa się często brak pomysłu ze strony duszpasterzy, jak zafascynować młodzież Kościołem. Katechizację kandydatów do bierzmowania prowadzą często wybrani spośród parafian świeccy, bez głębszego przygotowania teologicznego. Z drugiej strony, na spotkania przychodzi młodzież znudzona Kościołem i zapędzona do bierzmowania przez rodziców. Dlatego na przykład diecezja Pasawy będzie dopuszczać młodzież do bierzmowania dopiero po ukończeniu 16. roku życia. Bp Stefan Oster tłumaczy, że „chce doprowadzić młodych ludzi do osobistej relacji z Chrystusem. Mają oni prawo dowiedzieć się od nas, jak doświadczyć przyjaźni z Jezusem i jak może ona wzmocnić i unieść ich własne życie".

Takie podejście do młodzieży nie wszystkim się podoba. Biskup Oster, jako przewodniczący Komisji ds. Młodzieży w niemieckim episkopacie, ma już za sobą starcie ze Związkiem Katolickiej Młodzieży Niemieckiej (BDKJ), któremu zarzucił propagowanie „odchudzonej wersji Ewangelii". Związek, który zrzesza 17 katolickich organizacji młodzieżowych i 660 tys. członków z całych Niemiec, od dziesięcioleci jest na bakier z nauką Kościoła. Teraz, mając w perspektywie watykański synod o młodzieży, zradykalizował swoje postulaty. W oficjalnym dokumencie BDKJ zażądał, by Kościół uznał, że związki przed- i pozamałżeńskie nie są grzechem, a także by uznał związki jednopłciowe i możliwość stosowania środków antykoncepcyjnych.

Na drugim biegunie znajdują się ruchy i wspólnoty charyzmatyczne, nieobecne w dyskursie publicznym, a przez to mało znane, jak np. pochodząca z Francji wspólnota Emmanuel, obecna w parafiach Monachium, Norymbergi i Münster, która stawia akcenty na przygotowanie liturgiczne i wieczory uwielbienia.

Eucharystia

Wieczór. Katedra w Spirze. Trwa Eucharystia, w której uczestniczy ok. 3 tys. młodych ludzi. Po mszy rozpocznie się adoracja Najświętszego Sakramentu, podczas której w nawach bocznych będzie okazja do spowiedzi. W tym czasie młodzi ludzie, posłani dwójkami na ulice, zapraszać będą przechodniów do odwiedzenia kościoła. Całość zakończy się kompletą i błogosławieństwem eucharystycznym. „Night Fever" (Gorączka nocy) – bo tak nazywa się ta inicjatywa – to właściwie żadna rewolucja. A jednak pomysł, na który wpadło w 2005 r., tuż po Światowych Dniach Młodzieży, dwoje studentów w Bonn, wypalił: inicjatywa rozprzestrzenia się w dużych niemieckich miastach i w dziesięciu innych krajach, w tym w Polsce.

„Night Fever" to jednak fenomen. Nie wszędzie w Niemczech Eucharystia jest „źródłem i szczytem" życia Kościoła. Tylko 10 proc. niemieckich katolików uczestniczy w niedzielnej mszy świętej. Zdarzają się

LEON KUEGELER / REUTERS / FORUM

Szafarka Eucharystii rozdaje komunię podczas ostatniego Katholikentagu, organizowanego co dwa lata wielkiego spotkania niemieckich katolików świeckich. Münster, 10 maja 2018 r.

nadużycia liturgiczne – od zmiany kolejności poszczególnych części mszy, poprzez parafrazowanie Ewangelii, czytanie „Małego księcia" i tekstów Khalila Gibrana zamiast Pisma Świętego, czytanie własnych kompozycji modlitewnych zamiast Modlitwy eucharystycznej, po zastąpienie słów konsekracji uproszczoną „opowieścią o wydarzeniach z Wieczernika" i „koncelebrze" z ewangelickim pastorem.

Na znaczenie Eucharystii w życiu wiernych w Niemczech spory wpływ wywarła teologia protestancka. Jednym z przykładów jest aktualny spór o interkomunię, czyli o to, czy i kiedy można udzielać komunii świętej niekatolickim partnerom w małżeństwach mieszanych. Debata ta dotyczy fundamentów Kościoła katolickiego i jego eucharystycznej tożsamości. W wielu rozmowach z duszpasterzami można usłyszeć kwestionowanie realnej obecności Chrystusa w Eucharystii.

Spowiedź

Sobota po południu. Maria Rosenberg, sanktuarium maryjne w diecezji Spiry. Ks. Dariusz Stankiewicz spowiada już drugą godzinę. W Roku Miłosierdzia miejscowy ordynariusz wprowadził tu regularną spowiedź. Tendencja jest wzrostowa, ale tu przyjeżdżają głównie ludzie z daleka, czyli tylko zdecydowani.

W parafiach jest inaczej. Niemcy przestali się spowiadać: – W konfesjonale siadam raz w tygodniu. Na godzinę. Czasem przyjdzie jedna starsza osoba, czasem nikt – przyznaje ks. Dariusz. Podobnie mówi ks. Thomas Braunstein, proboszcz w graniczącym z francuskim Strasburgiem Kehl. Do spowiedzi przychodzi do niego sporadycznie kilka starszych osób przed Wielkanocą lub Bożym Narodzeniem. Powodem zaniku spowiedzi jest jego zdaniem duży wpływ protestantyzmu, zanikające poczucie grzeszności i negatywne doświadczenia z konfesjonałem. Ksiądz Dariusz dodaje przyjętą w Niemczech praktykę nabożeństw pokutnych z generalnym rozgrzeszeniem. Również przeor dominikanów w Berlinie o. Michael Dillmann przyznaje, że w prowadzonej przez niego parafii ludzie spowiadają się sporadycznie: – Jest tu mała, ale stała grupa ludzi, którzy spowiadają się regularnie, a ich spowiedź za to jest głęboka i trwa dłużej – mówi zakonnik.

Podobne zjawisko zauważył ks. Braunstein w Kehl: – Około 20–25 osób spowiada się kilka razy do roku, a ich spowiedzi trwają czasem ponad godzinę.

Zanik spowiedzi w Niemczech dotknął nawet samych duszpasterzy. Według przeprowadzonych wspólnych badań pięciu uniwersytetów 54 proc. księży w Niemczech spowiada się tylko raz do roku lub rzadziej.

Moi rozmówcy zgodnie przyznają, że bez tego pojednawczego wymiaru Kościoła nie ma co liczyć na jego rozwój. Zauważył to Johannes Hartl, zakładając w 2005 r. w Augsburgu Dom Modlitwy. Ówczesnemu 26-latkowi przyświecał jeden cel: wychwalać Boga przez 24 godziny na dobę. Recepta była prosta: nieustanne uwielbienie z ekumenicznym akcentem (do Augsburga przyjeżdża wielu charyzmatycznych protestantów), spowiedź i Eucharystia oraz katechezy dorosłych. Dziś do Domu Modlitwy w Augsburgu przyjeżdżają tłumy. W styczniu na międzynarodową konferencję „Mehr" (niem. – „więcej"), podczas której odbywały się katechezy, celebrowana była Eucharystia i oferowana była spowiedź, przybyło 11 tys. osób z różnych stron świata.

Namaszczenie chorych

Kościół katolicki w Niemczech prowadzi blisko 500 szpitali, oferując rocznie opiekę ponad 3,5 mln pacjentów. W 904 szkołach katolickich uczy się niemal 360 tys. uczniów, a w ponad 9 tys. katolickich przedszkoli opiekę znajduje ponad pół miliona dzieci. Miejscowa Caritas została założona w 1897 r. jako „adwokat ubogich". Dziś pracuje w niej 617 tys. osób. Tym samym Kościół należy do największych pracodawców w Niemczech. W ostatnim czasie niemieccy katolicy mogli się wykazać konkretną pomocą dla osób szukających azylu. W 2017 r. 35 tys. uchodźców znalazło schronienie w ponad 1,5 tys. kościelnych pomieszczeń w całych Niemczech. Kościół pomagał w łączeniu rodzin, opiekował się nieletnimi uchodźcami, wysyłając ich do szkoły, prowadził szkolenia zawodowe i poradnictwo prawne.

Wśród Niemców Kościół często jest postrzegany jako organizacja charytatywna, a nie wspólnota wierzących. Zwrócił na to uwagę Benedykt XVI podczas pielgrzymki do ojczyzny w 2011 r. Kościół, „aby wypełnić swą misję, będzie musiał nieustannie zachowywać dystans wobec swego otoczenia, w pewnym stopniu będzie musiał się odświatowić (oryg: *entweltlichen*)" – mówił. Przez siedem lat episkopat w Niemczech nie podjął debaty dotyczącej odświatowienia Kościoła. Nie pomogła też zmiana pontyfikatu i apel Franciszka podczas wizyty *ad limina* w 2015 r., by „nie tworzyć struktur, dla których brakuje wiernych". Papież z Argentyny zarzucił Niemcom „nowy pelagianizm, który prowadzi do tego, że pokładamy nadzieję w administracji, w perfekcyjnym aparacie", blokując tym samym misyjną dynamikę Kościoła. Franciszek mówił o „erozji wiary katolickiej w Niemczech" i o zaniku życia sakramentalnego, w szczególności ↦

↦ sakramentu pojednania. Zadając im niejako zadanie domowe apelował, by podczas Roku Miłosierdzia (2016) biskupi podjęli w swoich planach duszpasterskich reaktywację spowiedzi. Oprócz nielicznych wyjątków większego przebudzenia Kościół w Niemczech nie przeżył.

Ostatni Zjazd Katolików (Katholikentag) w Münster pokazał, że wielu niemieckich katolików wciąż nie potrafi uwolnić się od myślenia stowarzyszeniowego, w którym istotne są struktury i gremia.

Kapłaństwo

W 2015 r. w Limburgu i Görlitz nie było ani jednego kandydata do święceń. W pozostałych diecezjach wyświęcono wtedy pojedynczych kapłanów, najwięcej, bo sześciu, otrzymało święcenia w archidiecezji Monachium i Fryzyngi. W owym roku wyświęcono w Niemczech jedynie 58 księży. Seminaria duchowne w niektórych diecezjach – np. w Berlinie – świecą pustkami, a ich pojedynczy klerycy oddelegowani zostali na studia do innych diecezji. W tym roku w Berlinie wyświęcony został 36-letni Włoch, do święceń w przyszłym roku czeka kolejny Włoch oraz Ekwadorczyk i Polak. Cała czwórka to jednak wychowankowie berlińskiego seminarium Redemptoris Mater, należącego do neokatechumenatu. To w ostatnich latach jedyne seminarium, które nie narzeka na brak kleryków.

Zanik powołań w Niemczech ma korzenie w codziennym życiu parafialnym. Wielu znajomych księży mówi, że wierni często nie potrzebują kapłana, ale rozmówcy i ewentualnie psychologa, który pomoże im rozwiązać problemy. Do tego dochodzi fakt, że ze względu na brak księży w parafiach coraz częściej celebrowana jest liturgia Słowa, prowadzona przez świeckich, którzy na koniec udzielają również komunii. Wierni często nie odróżniają takiej formy nabożeństwa od Eucharystii. Tożsamości kapłańskiej nie wzmacnia zapewne częste publiczne kwestionowanie sensowności celibatu, dyskusja o *viri probati* czy skandal z nadużyciami seksualnymi, upubliczniony w 2010 r. Z najnowszych badań przeprowadzonych na zlecenie niemieckiego episkopatu przez pracownie trzech uniwersytetów wynika, że w latach 1946–2014 odnotowano 3677 przypadków molestowania seksualnego, których dopuściło się łącznie 1670 duchownych. Ofiarami byli w większości niepełnoletni chłopcy. Potrzeba zmiany pokoleniowej, by odzyskać stracone zaufanie i wiarygodność.

Brak księży w Niemczech próbuje się naprawić na różne sposoby. Jednym z nich są **„księża z importu”, jak mówi się o Hindusach i Polakach.**

Brak księży w Niemczech próbuje się naprawić na różne sposoby. Jednym z nich są „księża z importu”, jak mówi się o Hindusach i Polakach. Na trochę ponad 13 tys. księży w Niemczech prawie 2,5 tys. pochodzi z zagranicy. Dodatkowo prawie wszystkie z 27 niemieckich diecezji rozpoczęły procesy restrukturyzacji i łączenia parafii. Proboszczowie rzadko już kierują jedną parafią. Najczęściej muszą objeżdżać kilka filii. Jakkolwiek restrukturyzacja ta jest potrzebna (choćby ze względu na zbyt dużą liczbę kościelnych pustostanów), nie pociąga ona za sobą automatycznie odnowy życia duchowego.

Zauważył to kard. Joachim Meisner, kiedy przechodząc na emeryturę w 2014 r. poprosił, by w diecezjalnym domu św. Maternusa odbywała się wieczysta adoracja Najświętszego Sakramentu. Następca Meisnera i jego wychowanek kard. Rainer Maria Woelki przejął i rozpowszechnił inicjatywę 24/7/52 – czyli adoracji przez 24 godziny na dobę, 7 dni w tygodniu i 52 tygodnie w roku. Woelki dodatkowo założył archidiecezjalną fundację Rogamus, która ma wspierać młodych ludzi w odkrywaniu swojego powołania kapłańskiego.

Małżeństwo

Andreas i Kathrin z Frankfurtu nad Menem (imiona zmienione) po dziewięciu latach żyją już w nowych związkach partnerskich: – Rozżyliśmy się – mówią i jest to chyba najczęściej powtarzany powód rozwodu.

Żyjąc w nowych związkach cywilnych, Andreas i Kathrin nadal chodzą do kościoła i nie rozumieją, dlaczego nie mogą przystąpić do komunii. Dyskusja o możliwości przystąpienia do komunii przez rozwodników żyjących w ponownych cywilnych małżeństwach trwa w Niemczech od kilku dekad. Po publikacji adhortacji „Amoris laetitia” Związek Katolickiej Młodzieży Niemieckiej wyraził radość z faktu, że w ten sposób usankcjonowana została przez Watykan od dawna obecna w Niemczech praktyka duszpasterska.

Coraz mniej par decyduje się na zawarcie sakramentalnego związku małżeńskiego. Podczas gdy w 1997 r. zawarto ponad 73 tys. małżeństw katolickich, dziesięć lat później już tylko 43 tys. Przeor dominikanów w Berlinie o. Dillmann twierdzi, że pary, które do niego przychodzą na nauki przedmałżeńskie, „najczęściej nie pojmują całej głębi sakramentu małżeństwa”. A ks. Stankiewicz wskazuje na zbyt słabe przygotowanie ze strony parafii.

– Na plebaniach mamy najwyżej dwie rozmowy z narzeczonymi. Bardziej ambitni i tak szukają rekolekcji.

Jego zdaniem większość ludzi, którzy pobierają się w kościele, chce być w porządku przed Bogiem. Nie są oni świadomi głębi sakramentu i powagi sytuacji. Do tego dochodzi coraz bardziej powszechny religijny analfabetyzm. Wierni nie wiedzą, w co wierzą i dlaczego. Przewodniczący Komisji ds. Małżeństwa i Rodziny w niemieckim episkopacie abp Heiner Koch zapowiedział zmiany w procesie przygotowania narzeczonych. Chce, by przygotowanie do sakramentu zaczynało się wcześniej – już w szkole, a przede wszystkim w rodzinie.

Spojrzenie na Kościół w Niemczech przez pryzmat siedmiu sakramentów pokazuje, że znajduje się on w poważnym kryzysie, choć na pewno nie jest to stan agonalny. To czas na radykalną zmianę. Być może prorocza okaże się analiza ks. Josepha Ratzingera z 1969 r.: „Z dzisiejszego kryzysu wyłoni się Kościół, który straci wiele. Stanie się nieliczny i będzie musiał rozpocząć na nowo, mniej więcej od początku. Nie będzie już więcej w stanie mieszkać w budynkach, które zbudował w czasach dostatku. Wraz ze zmniejszeniem się liczby wiernych, utraci także większą część przywilejów społecznych. Rozpocznie na nowo od małych grup, od ruchów i od mniejszości, która na nowo postawi Wiarę w centrum doświadczenia. Będzie Kościołem bardziej duchowym, który nie przypisze sobie mandatu politycznego, flirtując raz z lewicą, a raz z prawicą. Będzie ubogi i stanie się Kościołem ubogich. Wtedy ludzie zobaczą tę małą trzódkę wierzących jako coś kompletnie nowego: odkryją ją jako nadzieję dla nich, odpowiedź, której zawsze w tajemnicy szukali”.

© TOMASZ KYCIA

SZYMON

Hołownia:
Optymalizacja alokacji miłosierdzia

Smutna sprawa z artykułem o praktykach menedżerskich ks. Jacka Stryczka, który opublikował Onet.pl. Nigdy nie byłem fanem jego twórczości, wielokrotnie nabijałem się z bzdur wyplatanych przez niego, gdy niby rysował Jezusa, a wychodził mu profesor Balcerowicz w wersji *hard*. Męczyła mnie wysokociśnieniowa atmosfera tworzona wokół jego inicjatyw. Gdy było się wobec nich nawet odrobinę krytycznym, zaraz ruszała fala maili od wyznawców, którzy domagali się natychmiastowej zmiany stanowiska, bo świat się zawali, jeśli wszyscy nie będą tak zachwyceni ideą robienia sobie duchowych mięśni na Ekstremalnej Drodze Krzyżowej, jak zachwycony jest ksiądz Jacek.

Zetknęliśmy się na żywo parę razy. Nie były to spotkania łatwe, gdyż odbywały się zwykle w pomieszczeniach zamkniętych, w których jego i moje ego z trudem udawało się zmieścić. Że niewiele w tej sprawie się zmieniło – widzę z oświadczenia wydanego przezeń po publikacji Onetu. Wyczytać z niego można, iż nie będzie specjalną przesadą, gdy jego autora posadzi się w klasie z Jezusem i postawi znak równości między chrześcijaństwem a pracą z ks. Stryczkiem: „Trud współpracy ze mną widoczny jest w Ekstremalnej Drodze Krzyżowej – 40 km w nocy, najlepiej samemu. Jest to duże wymaganie i trudne. Dla wielu bolesne. A mimo to wiele osób samych z siebie wybiera to wyzwanie. Tak samo, jak współpracę ze mną".

Nigdy nie szukałem z nim współpracy ani zwady. Omijałem. Z respektem, bo obdarowany został przez Górę w sposób iście ponadstandardowy. Znam dokładnie dwóch księży, którzy w ostatnich latach byli w stanie porwać miliony Polaków do podjęcia wysiłku zorganizowanej społecznej działalności. Jeden z nich to o. Rydzyk, drugi to właśnie ks. Stryczek. Do Szlachetnej Paczki dużo mi bliżej niż do Radia Maryja, dlatego mam nadzieję, że ta wspaniała idea przetrwa, i że się w tym wszystkim oczyści. Z ideologicznych absurdów, którymi w wywiadach otaczał ją jej założyciel (opowiadający o tym, że gdy masz poczucie winy, bo komuś nie pomogłeś, to znak, iż ten ktoś pewnie był szkolonym profesjonalistą, by poczucie winy w tobie wzbudzić – lub o bogatych prześladowanych przez to, że ich nie kochamy).

Choć swoją drogą ciekawie było też obserwować ów dwugłos: założyciela, który wydawał się śnić po nocach o tym, by z miłosierdzia zrobić korpo, i tysiące ludzi, którzy dzięki stworzonej przez niego maszynie i tak robili miłosierdzie po swojemu. Bo właśnie „robili miłosierdzie", a nie „wdrażali proces optymalizacji alokacji dóbr".

Żeby była jasność: akurat mi nikt nie musi tłumaczyć, że strategiczne zmiany są niezbędne, tak jak niezbędne jest budowanie szpitali i sensowna profilaktyka. Ani szpital, ani profilaktyka nie będą jednak miały komu pomóc, jeśli nie będzie też pogotowia, które widząc człowieka w stanie zagrożenia życia (nie tylko fizycznego, zagrożenie ludzkiej godności także mam tu na myśli), nie pyta o zaświadczenia, biznesplany czy stopę zwrotu, tylko ratuje i już. Żebym nie wiem, jak kombinował, z Ewangelii Jezusa nie wycisnę innej definicji miłosierdzia: to dawanie za darmo komuś, kto na nic nie zasłużył ani w żaden racjonalny sposób nie rokuje. Bo dawanie komuś, kto zasłużył – to zapłata lub nagroda. Dawanie, gdy ktoś rokuje – inwestycja. Idea miłosierdzia jest nie do pojęcia dla kogoś, komu życie nie zweryfikowało nigdy złudzenia własnej siły. Żeby to zrozumieć, trzeba przerobić na własnych czterech duchowych literach doświadczenie swojej słabości. Wiedzieć, że zginąłbym już dawno, gdyby Boże miłosierdzie wobec mnie czekało na moje zasługi albo na strategie.

Ks. Jacek dał ludziom dużo dobra. Jeśli w sądzie potwierdzą się zarzuty bohaterów tekstu (niektórych znam osobiście i uważam ich za osoby godne najwyższego zaufania, a i sam tekst wygląda na nader rzetelny) – okaże się, że mógł im też dać wiele zła. Wtedy będzie musiał je im wynagrodzić. Mam jednak nadzieję, że już dziś, nie czekając na rozstrzygnięcia organów, szef Szlachetnej Paczki wyciągnie praktyczne wnioski z sytuacji i zechce uznać, iż – jak słusznie to skomentowała specjalistka od HR Joanna Malinowska-Parzydło – z tego, że się ma charyzmę, nie wynika jeszcze, że jest się liderem. Że przypomni sobie, iż chrześcijaństwo to nie tyle doskonalenie praktyk zarządzania, ile konsekwentne opowiadanie się po stronie tych, „którzy się źle mają". Czy to źle się mają w pustostanach, czy w biurowcach. Również w siedzibach organizacji dobroczynnych.

Jest jeszcze jedna strona tego medalu. Wielu ludzi zdaje się uważać, iż z samego faktu, że ktoś zajmuje się zawodowo pomaganiem innym ludziom, wynika, że ów ktoś będzie aniołem: zawsze miłym, uduchowionym, wielkodusznym, mówiącym same piękne wyrazy. Gdy okazuje się, że „pomagacze" to ludzie jak wszyscy inni, pojawia się frustracja: „a to może ja nie będę wspierał" itd. Podobnie jest, gdy utopia konfrontuje się z odkryciem, że ludzie pracujący w organizacjach pomocowych zarabiają pieniądze, bo przecież też mają rodziny, kredyty, ich dzieci mają żołądki, a oni sami prawo do urlopu. „A ja dawałem na biedne dzieci". „A ja myślałem, że wszyscy jesteście wolontariuszami". To temat na osobny esej – jak niezbędne w świecie pomagania są wszystkie te elementy: etatowi pracownicy, wolontariusze, darczyńcy strukturalni i ci z jednorazowo poruszonym sercem. Tu nie ma żadnego konfliktu, to jest koncert. Często – przenikanie się płaszczyzn dobra, bo ktoś, kto jest pracownikiem w jednej fundacji, bywa jednocześnie darczyńcą czy wolontariuszem w innej.

Wszystkich nas obowiązują jednak dwie zasady. Pierwsza: naszym pracodawcą nie jest sponsor, nie jestem nim też ja sam, moje wizje czy ideologie. Zatrudnia mnie „mój potrzebujący". To on jest szefem, jego oczy – drogowskazem. Zasada druga: cel nie uświęca środków. A jeśli zaczynam uważać, że uświęca – rezygnuję ze stołka, wracam na front, na ulicę. I nie schodzę z niej, dopóki moich światłych mądrości nie pozwoli mi znów wygłaszać Rada Nadzorcza Ubogich, a nie grono podwładnych, fanów lub wyznawców. Dopóki znów nie poczuję do samego szpiku kości, że na najgłębszej płaszczyźnie to zawsze biedny ratuje mi życie, a nie ja ratuję życie jemu. Kto tego nie pojmuje – niech lepiej od razu idzie sprawdzić się w biznesie. ©

NOWY NIEPEWNY ŚWIAT

W polskich marzeniach Stany Zjednoczone były dotąd uosobieniem bezpieczeństwa, a Unia Europejska – rozwoju. Dziś takie podejście jest anachroniczne. W relacjach polsko-amerykańskich nadszedł czas na nową dyskusję.

OLAF OSICA

Mimo zmian prezydentów w Polsce i w Stanach Zjednoczonych jedno pozostaje niezmienne: każda wzajemna wizyta i rewizyta są wydarzeniami, które ogniskują uwagę polskiej opinii publicznej. A ocena ich rezultatów zawsze jest kwestią jeśli nie sympatii politycznych, to oczekiwań związanych z kolejnymi umowami o „strategicznej współpracy" Polski i USA.

W zgiełku komentarzy i szukania bieżących sukcesów (albo porażek) ucieka jednak najważniejsze pytanie: o długofalowy cel tej współpracy. O jej – używając retoryki unijnej dyplomacji – *finalité*. Gdzie zatem chcemy dojść w stosunkach z Waszyngtonem? Oraz czy rzeczywiście warto szykować się na taką wyprawę?

Krok po kroku

Tak jak w przypadku jego poprzedników, również wizyta prezydenta Andrzeja Dudy w Białym Domu, w minionym tygodniu, konsekwentnie definiuje współpracę polsko-amerykańską przez pryzmat współpracy wojskowej i obrony Polski przed Rosją.

Po tym, jak ponad dwie dekady temu przekonaliśmy Billa Clintona do rozszerzenia NATO o Polskę (słynne „*Not whether, but when*" – „Nie czy, ale kiedy" – wypowiedziane w 1994 r. na placu Zamkowym w Warszawie), a George'a W. Busha do ulokowania elementów tarczy antyrakietowej w Polsce (po bolesnym i wciąż nieprzepracowanym epizodzie Polski w „wojnie z terroryzmem"), udało nam się, krok po kroku, zjednać także Baracka Obamę do złamania niepisanej zasady rodem z 1999 r., że żadne jednostki US Army nie będą stacjonować na terytoriach nowych członków Sojuszu, w tym Polski. Koniec „resetu" w relacjach Zachodu z Moskwą, którym była agresja Rosji na Ukrainę, przekuliśmy w „ciągle rotacyjną" – czyli praktycznie ciągłą – obecność wojsk Sojuszu w Polsce.

Tym wszystkim wydarzeniom towarzyszyły w tle dyskusje o zakupie, pozyskaniu lub innych sposobach wejścia w posiadanie amerykańskiego uzbrojenia, które miało – biznesowo i technologicznie – cementować polsko-amerykańskie partnerstwo.

Prezydent Duda poszedł zatem śladem poprzedników, a także oczekiwań większości polskiej opinii publicznej. Dla niej domknięciem wspomnianego, już ponad dwudziestoletniego procesu będą stałe bazy US Army w Polsce – największa gwarancja bezpieczeństwa, jaka istnieje we współczesnym świecie. Ale tutaj prezydent Duda zderzył się ze ścianą.

To nie brak postępu jest jednak problemem. Problemem jest to, że nadal angażujemy 99 proc. zasobów w kwestię, która nie powinna być już priorytetem.

Bez automatyzmu

„Jaka jest najmniejsza brytyjska jednostka wojskowa, która stanowiłaby dla pana praktyczną pomoc?" – miał zapytać francuskiego generała (późniejszego marszałka) Ferdinanda Focha w 1910 r. komendant brytyjskiej Akademii Sztabu, gen. Henry Wilson. W relacjach brytyjsko-francuskich trwały wtedy gorące dyskusje nad tym, jak Londyn powinien pomóc Paryżowi w razie niemieckiego ataku (i wcale nie było oczywiste, że Brytyjczycy zaangażują się w pełni). „Jeden brytyjski żołnierz. A my już dopilnujemy, żeby został zabity" – miał odpowiedzieć Foch.

Ta anegdota, którą słyszałem setki razy na debatach o obronności (cytat podaję za „Sierpniowymi salwami" Barbary Tuchman, klasyczną już książką opowiadającą o początku I wojny światowej), urosła nad Wisłą do rangi strategicznej mądrości. Nie ma ona jednak żadnego związku z realną polityką, w której fakt przyjścia z pomocą (lub nie) jest funkcją bieżącego interesu politycznego, a nie śmierci żołnierza czy traktatów. A im potężniejszy sojusznik, tym więcej kalkulacji przeprowadza, zanim podejmie decyzje.

W realnych scenariuszach atak na Polskę będzie zawsze zagrożeniem dla interesów politycznych Stanów, lecz nie dla ich bezpieczeństwa. Dopiero wejście w konflikt (czyli udzielenie pomocy wojskowej) naraża Amerykę na retorsje, z użyciem broni nuklearnej włącznie. Tak to widzi każda administracja waszyngtońska, zresztą od początku istnienia NATO (przy czym w czasie zimnej wojny takim krajem frontowym były Niemcy Zachodnie). W skrajnym wypadku usłyszymy więc, że mamy negocjować z najeźdźcą – albo zostaniemy sami.

Polska ma gwarancje

Gonienie za dodatkowymi gwarancjami i stałymi bazami USA w Polsce może zatem jedynie wzmocnić nasze poczucie bezpieczeństwa. Ma się jednak nijak do pewności, że staną się one wystarczającą zaporą przed potencjalnym konfliktem. Po co więc gonić?

I co z tego, powie ktoś, przecież lepiej mieć te bazy, niż nie mieć. To prawda. Pod warunkiem wszakże, że jest na to szansa. Jeśli nie, a to nie my decydujemy, tylko Kongres, to lepiej nie stawiać tego jako celu współpracy. Czyni to ją nie tylko z gruntu bezcelową, ale też sprzyja, paradoksalnie, obniżaniu znaczenia obecnych gwarancji. Rodzi bowiem przekonanie, że to, co do tej pory osiągnęliśmy, jest niewiele warte.

Tymczasem jest dokładnie na odwrót. Polska ma gwarancje bezpieczeństwa – i jest bliskim sojusznikiem USA, razem z Niemcami, Francją i Wielką Brytanią. To jest konkret oraz punkt odniesienia realnej polityki. Wszystko inne jest czczym gadaniem.

Ponadto – patrząc z militarnego punktu widzenia – obecność amerykańskich żołnierzy w Polsce może być elementem uzupełniającym, który nie zastąpi własnego, polskiego potencjału obronnego. Obserwując zmagania kolejnych rządów z kupnem uzbrojenia i nie tyle reformy, co budowy realnej siły wojskowej, można powątpiewać, aby prawda ta była powszechnie podzielana.

„Spoczywanie na laurach" nie jest nam kulturowo obce. Im więcej US Army w Polsce, tym mniej naszego własnego wysiłku wojskowego – taka jest, niestety, polska polityka.

Stracona okazja

W idealnym świecie polskich marzeń Stany Zjednoczone to bezpieczeństwo, a Unia Europejska to rozwój. Tyle tylko że tak mogliśmy myśleć w latach 90. XX w. Dzisiaj takie podejście jest anachroniczne. Bez rozwoju gospodarczego musimy wybierać między wydatkami: albo na wojsko, albo na służbę zdrowia.

Skutek takiego myślenia jest również taki, że o ile w Europie przekonujemy innych do potrzeby wzmacniania sojuszu z USA, o tyle z trudem przychodzi nam bycie adwokatem Europy w Waszyngtonie.

Prezydent Duda nie odniósł się na konferencji prasowej do oskarżeń Donalda Trumpa wobec Unii. A przecież wojna handlowa Trumpa z Unią uderzy także we wzrost gospodarczy Polski. Pozbawi nas środków nie tylko na kupowanie amerykańskiego uzbrojenia, ale też ↦

KEVIN LAMARQUE / REUTERS / FORUM

Prezydenci Trump i Duda w Białym Domu. Waszyngton, 18 września 2018 r.

↦ na rekompensowanie kosztów potencjalnej stałej obecności wojskowej USA w Polsce. Jest więc do czego przekonywać. Szkoda wybornej okazji, niestety straconej.

Mniej przymiotników

Czas więc już najwyższy, aby wejść w nową erę.

Potrzebujemy polsko-amerykańskiej dyskusji nie tylko na tematy dwustronne i tematy dotyczące naszego regionu, lecz także na tematy ponadregionalne i globalne. Potrzebujemy rozmowy o bezpieczeństwie świata zachodniego, a nie tylko „przesmyku suwalskiego" (choć oczywiście to miejsce, kluczowe dla obrony naszych bałtyckich sojuszników przed ewentualną agresją, wymaga nadal wzmocnienia militarnego – jeden batalion NATO to za mało).

Potrzebujemy wreszcie polsko-amerykańskiej rozmowy o naprawie globalnej gospodarki i handlu, których częścią jesteśmy – mimo przekonania, że polski cud gospodarczy ma wyłącznie źródła w naszej ciężkiej pracy, a nie w liberalnym porządku światowym, dziś zagrożonym.

I potrzebujemy też nowego języka, w którym kwestie polityki, sojuszów oraz wartości mają osobne miejsce od kwestii biznesu – choć jedno drugiemu sprzyja. Potrzebujemy mniej przymiotników. Inaczej hasło „bezpieczeństwa energetycznego" będzie wstępem do przepłacania za gaz, tyle że płynący z innego niż dotąd kierunku.

Musimy spojrzeć na Amerykę jako na źródło sukcesów (oraz porażek) naszej współczesności, a nie jako na schronienie przed wyzwaniami realnego świata. Inaczej zmarnujemy tę współpracę. A nie jest ona dana raz na zawsze.

Może następna wizyta polskiego prezydenta w Białym Domu będzie krokiem w tę stronę?

© OLAF OSICA

Autor jest dyrektorem ds. międzynarodowych Europejskiego Kongresu Gospodarczego w Katowicach. Był dyrektorem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia w Warszawie. Stale współpracuje z „Tygodnikiem".

Cisza przed nawałnicą

JAN SMOLEŃSKI

Czy specjalny prokurator badający „Russiagate" zdąży dopaść prezydenta, zanim skończy się jego kadencja? Były szef sztabu Donalda Trumpa może skrywać odpowiedź na to pytanie.

Informacji, że były szef sztabu wyborczego Trumpa, Paul Manafort, zaczął współpracę ze śledczymi FBI, badającymi domniemaną zmowę sztabu obecnego prezydenta z Rosją, towarzyszyła zaskakująca cisza. Choć w mediach trwała burza, to Twitter Donalda Trumpa milczał – choć współpraca Manaforta z FBI może oznaczać dla prezydenta duże problemy. To dziwne: Trump na Twitterze komentuje mniej istotne sprawy. Gdy wcześniej na układ z wymiarem sprawiedliwości poszedł jego były prawnik Michael Cohen, prezydent oburzał się, że takie praktyki powinny być nielegalne.

Decyzja Manaforta o współpracy była niespodziewana. Nastąpiła na moment przed wyborem ławy przysięgłych do jego drugiego procesu, który miał się odbyć we wrześniu w Waszyngtonie. W poprzednim, w Wirginii, lobbysta został uznany winnym ośmiu z osiemnastu zarzucanych mu czynów – chodziło głównie o przestępstwa finansowe.

Manafort był dotąd jedynym Amerykaninem spośród oskarżonych przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera (prowadzącego śledztwo w sprawie „Russiagate"), który nie przystawał na ugodę i utrzymywał, że jest niewinny. Trump chwalił go za – jak pisał – twardość charakteru. Teraz prezydentowi trudno będzie go atakować jako kłamcę. Coraz trudniej będzie też Trumpowi twierdzić, że śledztwo Muellera to marnowanie pieniędzy podatników. Okazuje się, że dochodzenie zarobi na siebie: w ramach ugody Manafort zgodził się, aby na rzecz państwa przepadł jego majątek o wartości ponad 46 mln dolarów – tymczasem dotychczasowe koszta śledztwa szacowane są na 20 mln dolarów.

Wątek rodzinny i polski

Gdy jeszcze Manafort odmawiał współpracy, media spekulowały, że w razie skazania spodziewa się on ułaskawienia przez prezydenta. Ale Mueller najwyraźniej miał mocniejszą kartę – i mogła nią być rodzina. Wcześniej taka metoda skutkowała: jednym z powodów, dla których na współpracę z FBI poszedł były prezydencki doradca ds. bezpieczeństwa, generał Michael Flynn, było odstąpienie od postawienia zarzutów jego synowi.

Teraz może chodzić o Colina Bonda: niespełnionego prawnika i lobbystę, a dziś agenta nieruchomości w Nowym Jorku, który wraz z wujem – tj. Manafortem – robił interesy na Ukrainie. Bond w swoim profilu na portalu branżowym LinkedIn ma dziś „dziurę" w życiorysie między rokiem 2008 a 2010. Przed tą „dziurą" jego doświadczenie zawodowe to tylko letnie praktyki w kancelariach prawniczych i Sądzie Najwyższym. Z kolei po 2010 r. nie ma żadnej przerwy w życiorysie (pracę zmieniał często: najpierw w firmach prawniczych, potem jako agent nieruchomości).

Jednak po internecie krąży zrzut z ekranu, według którego Bond chwalił się wcześniej, że w latach 2005-10 pracował jako prawnik od prawa wyborczego dla Davis Manafort Partners – firmy, przez którą Manafort prowadził podejrzane interesy z prorosyjskimi oligarchami na Ukrainie.

To, że Bond pracował wraz z wujem na Ukrainie, potwierdzają też znajomi Bonda sprzed lat, do których udało się „Tygodnikowi" dotrzeć. Bonda wspominają jako niezbyt bystrego: jako kogoś, komu imponowały władza i pieniądze – zależało mu na przebywaniu wśród bogatych i potężnych. Niewykluczone, mówią dawni znajomi, że wplątał się – niekoniecznie świadomie – w jakieś nielegalne działania.

Możliwe zatem, że wyrok skazujący z Wirginii pokazał Manafortowi, iż Mueller jest zdeterminowany, by winnych wsadzać na długie lata, i chciał tego oszczędzić młodszemu krewnemu.

Cała ta sprawa ma też polski wątek: w portfolio Manaforta znajdował się także

JONATHAN ERNST / REUTERS / FORUM

Paul Manafort przybywa na przesłuchanie do sądu w Waszyngtonie, 15 czerwca 2018 r.

były prezydent Aleksander Kwaśniewski. Z przygotowanych przez zespół Muellera akt, które trafiły do sądu w Waszyngtonie, wynika, że Kwaśniewski wraz z byłym premierem Włoch Romano Prodim i byłym kanclerzem Austrii Alfredem Gusenbauerem lobbowali na rzecz ówczesnego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza w USA i Unii Europejskiej.

Jak wspomniano w poprzednim wydaniu „Tygodnika", trzej ekspolitycy – zwani Grupą Habsburg – twierdzili, że nie wiedzieli, iż opłaca ich Manafort. Ale nawet jeśli tak było, działania Kwaśniewskiego ocierały się co najmniej o konflikt interesów: w czasie, gdy Manafort płacił mu za lobbing, współprzewodniczył on misji Parlamentu Europejskiego, która monitorowała i oceniała sytuację na Ukrainie. Komentator szwajcarskiego dziennika „NZZ" pisze dziś wprost, że to korupcja.

Co może wiedzieć Manafort

Ugody z wymiarem sprawiedliwości mają swoje reguły: lobbyście odpuszczono większość zarzutów, których miał dotyczyć nowy proces. To zaś sugeruje, że informacje, jakie posiada, mogą być naprawdę istotne dla śledztwa Muellera.

Po pierwsze, to Manafort zwrócił się do sztabu Trumpa z propozycją współpracy. Być może przekonał Trumpa urokiem osobistym. Ale być może do przyszłego prezydenta bardziej przemówiły wizje wspaniałych relacji z Kremlem i budowa Trump Tower w centrum Moskwy (projekt, który nie wyszedł, a o którym Trump marzył). Mogłoby to nadszarpnąć wizerunek prezydenta, który powtarza, że nie było żadnej współpracy między jego sztabem a Rosją.

Po drugie, Manafort był szefem sztabu wyborczego. Tym samym może być żywym dowodem, że z Rosją próbowali współpracować nie tylko sztabowcy niskiego szczebla (taką wersję utrzymują obrońcy Trumpa), ale też osoby z jego bliskiego otoczenia.

Po trzecie, Manafort może znać odpowiedzi na szereg pytań kluczowych dla śledztwa. W jaki sposób z programu Partii Republikańskiej zniknął zapis o wojskowym wsparciu dla Ukrainy w jej wojnie z Rosją? Wiadomo, że uważany za agenta GRU były współpracownik Manaforta, Konstantyn Kilimnik, przedstawiał to jako swój sukces. Dalej: co działo się na słynnym spotkaniu w Trump Tower, gdy Trump junior spodziewał się otrzymać od bliskiej Kremlowi rosyjskiej prawniczki „kompromaty" na Hillary Clinton? Do tej pory jedyne informacje o tym spotkaniu pochodziły od osób lojalnych wobec Trumpa, a Manafort był jednym z jego uczestników. Wreszcie, Manafort może posiadać wiedzę na temat tego, ile sam Trump wiedział o rosyjskich próbach wpłynięcia na prezydenckie wybory.

Czy Mueller zdąży

Problemy ma Trump również w swoim otoczeniu.

Z wydanej właśnie książki „Strach" Boba Woodwarda i niedawnego anonimowego artykułu w „New York Timesie" wynika, że ludzie z jego administracji darzą go coraz mniejszym zaufaniem i sabotują najszkodliwsze jego działania. Woodward, weteran dziennikarstwa (kilka dekad temu współautor tekstów, które doprowadziły do rezygnacji prezydenta Nixona po aferze „Watergate"), opisuje obecny Biały Dom jako – by użyć słów przypisywanych szefowi prezydenckiego personelu Johnowi Kelly'emu – „dom wariatów". Kelly podobno nazwał Trumpa „idiotą". Według innej relacji, po rozmowie z prezydentem sekretarz obrony James Mattis miał – po odłożeniu słuchawki – powiedzieć współpracownikom, że nie wykona rozkazu prezydenta. Z kolei były główny doradca gospodarczy Gary D. Cohn miał zabrać z prezydenckiego biurka kartkę z czekającą na podpis decyzją o wycofaniu USA z umowy handlowej z Koreą Południową; choć był to pomysł Trumpa, nie zauważył on braku kartki (Mattis i Kelly zaprzeczyli tym doniesieniom).

W podobnym tonie przedstawia sytuację w Białym Domu tekst z „New York Timesa". Według autora, ważnego członka administracji, w otoczeniu Trumpa jest wiele osób, które starają się ograniczać negatywne skutki prezydenckich decyzji, czasem działając wbrew niemu; jako przykład autor podaje sankcje nakładane wbrew Trumpowi na Rosję. Autor „NYT" pisze, że prezydentowi brakuje jakichkolwiek zasad. Rzadkie sukcesy administracji, do których autor zalicza deregulację i reformę systemu podatkowego, udają się „pomimo, a nie dzięki stylowi rządzenia prezydenta, który jest porywczy, konfliktowy, małostkowy i nieefektywny".

Sam Trump zbył książkę i artykuł, twierdząc, że to wyssane z palca bzdury. Zaatakował też ponownie prokuratora generalnego Jeffa Sessionsa zarzucając mu, że nie chroni go przed atakami. Trump zachowuje się przy tym tak, jakby nie rozumiał, że chronienie prezydenta nie jest zadaniem prokuratora generalnego, a zarazem miał coś do ukrycia – utwierdzając wszystkich dookoła w przekonaniu, że oddanie mu realnej władzy może być groźne.

W tekście z „New York Timesa" pojawia się odwołanie do artykułu 25. konstytucji USA, którego sekcja czwarta dotyczy usunięcia prezydenta w sytuacji, gdy nie może wykonywać swych obowiązków. Jednak strategią Republikanów pozostaje „przeczekanie Trumpa".

W tej sytuacji Manafort może skrywać odpowiedź na pytanie, czy Mueller dopadnie Trumpa, zanim w 2020 r. skończy się prezydencka kadencja. ©

Hindusi sięgają gwiazd

TOMASZ AUGUSTYNIAK Z BANGALURU (INDIE)

Ze swoimi wielkimi problemami cywilizacyjnymi Indie próbują sobie radzić z kosmosu. Po sukcesie programu satelitarnego przygotowują się do wysłania ludzi na orbitę.

Tłum jest bardzo kolorowy: uczniowie w mundurkach szkolnych, wielopokoleniowe rodziny, studenci – wszyscy tłoczą się w holu Planetarium imienia Jawaharlala Nehru w Bangalurze na południu Indii.

Grupki dwudziestoparolatków pozują do *selfie*, rodzice fotografują dzieci na tle modelu sztucznego satelity i instalacji przedstawiającej Marsa. Na barwnych tablicach planety i ewolucja gwiazd. Obok – przegląd teleskopów kosmicznych. Czekający w długiej kolejce pasjonaci astronomii w końcu docierają do sali i zajmują miejsca w fotelach. Po chwili światła gasną, odzywa się lektor, a projektor wypełnia kopułę planetarium tysiącami gwiazd.

Podczas gdy w planetarium trwają pokazy, w oddalonej o kilka kilometrów siedzibie Indyjskiej Organizacji Badań Kosmicznych (ISRO) trwają intensywne dyskusje i loteria nazwisk. Po miesiącach zakulisowych uzgodnień z Delhi przyszło zielone światło, a podczas sierpniowego święta niepodległości premier Narendra Modi ogłosił: do 2022 r. Indie, które będą wtedy obchodzić 75. rocznicę niepodległości, wyślą w kosmos astronautów.

Miejscowe media na kilka dni oszalały, mnożąc pytania. Czy kraj jest technologicznie gotowy? Czy termin nie za bliski? Kto pokieruje programem lotów i co można na nim zyskać? Jak zostanie wybrana załoga? Wreszcie, ile w tej odważnej deklaracji dbałości o przyszłość kraju, a ile politycznej gry obliczonej na zdobycie głosów w nadchodzących wyborach?

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Indie zostaną czwartym – po Rosji, USA i Chinach – państwem zdolnym do samodzielnego wysyłania załóg w kosmos. Tylko do czego krajowi rozwijającemu się, którego PKB na mieszkańca nie przekracza 2 tys. dolarów, może się przydać program kosmiczny?

Konieczność, nie kaprys

Od swoich początków w latach 60. XX w. indyjski program kosmiczny był przykrojony do miejscowych potrzeb. Młodemu państwu zależało raczej na samowystarczalności w zakresie orbitalnych technologii niż na wyścigu z ówczesnymi mocarstwami. Trzeba było zapewnić sobie bezpieczeństwo i spróbować rozwiązywać piętrzące się problemy cywilizacyjne. Częste susze i powodzie, klęski głodu i huragany, przeludnienie, zanieczyszczenie przemysłowe, niedobory energii i kłopoty z dystrybucją zasobów – to tylko niektóre wyzwania, przed którymi stały władze.

P. RAVIKUMAR / REUTERS / FORUM

– Dla tak rozległego kraju stworzenie własnego programu kosmicznego nie było kaprysem, lecz koniecznością. To było równie ważne jak dostęp do wody, pożywienia, zapewnienie ludziom dachu nad głową czy edukacji – przekonuje dr Susmita Mohanty, współzałożycielka Earth2Orbit, pierwszej indyjskiej firmy konsultingowej działającej na rynku kosmicznym. – Poza tym w świecie ciągłych konfliktów politycznych mądrze jest być niezależnym technologicznie – dodaje.

Agencja kosmiczna ISRO za cel postawiła sobie poprawę jakości życia obywateli. Powstały kolejne generacje rakiet i pierwsze sztuczne satelity. Ostatecznie zdecydowano się na budowę dwóch systemów satelitarnych, które dziś mają dziesiątki zastosowań: począwszy od akcji ratunkowych i zarządzania skutkami klęsk żywiołowych, przez telemedycynę, aż do zapewniania łączności sieci ponad 200 tys. bankomatów. Orbitalna maszyneria ułatwia też zarządzanie rolnictwem (np. prognozuje zbiory), obserwuje lasy, bada gleby, przydaje się przy planowaniu miast, tworzeniu map zasobów, monitorowaniu szlaków morskich i granic.

Ma też znaczenie dla bezpieczeństwa narodowego: pomaga w operacjach wojskowych i antyterrorystycznych. Dzięki satelitom szpiegowskim rząd w Delhi ma oko na to, co się dzieje w skonfliktowanych z nim krajach regionu – zwłaszcza Pakistanie i Chinach.

Rozpalić wyobraźnię

– Nikt w Indiach nie kwestionuje już potrzeby posiadania floty satelitów. Nawet zwykli obywatele wiedzą, że bez niej nie mieliby dostępu do większości kanałów telewizyjnych, wiarygodnej prognozy pogody i geolokalizacji, że nie byłoby też systemów wczesnego ostrzegania przed klęskami żywiołowymi – wylicza Arun Ram, redaktor dziennika „The Times of India", od lat zajmujący się przemysłem kosmicznym.

Zwykli Hindusi coraz częściej bezpośrednio korzystają z orbitalnych technologii. Np. w 2016 r. powstała smartfonowa aplikacja dla rybaków, bazująca na GPS (ISRO pracuje nad uruchomieniem własnego systemu nawigacji satelitarnej NAVIC). Pokazuje nie tylko aktualną pozycję kutra i łowiska, ale też przesyła użytkownikom ostrzeżenia przed sztormami i alarmuje, gdy statek zbliża się do międzynarodowych granic morskich.

Ta ostatnia funkcja jest szczególnie przydatna, bo spory o łowiska często prowadzą do konfliktów z sąsiadami, zwłaszcza ze Sri Lanką i Pakistanem. W ostatnich latach na głębokiej prowincji ISRO ufundowała też setki centrów, w których mieszkańcy mogą korzystać z dobrodziejstw telemedycyny, mają dostęp do prognozy pogody i internetowych szkoleń zawodowych.

– Dzięki danym satelitarnym odnotowujemy mniej ofiar klęsk żywiołowych, takich jak cyklony, bo dokładnie wiemy, gdzie i kiedy nadciągną. Z kolei materiały używane do konstrukcji rakiet znalazły zastosowanie w medycynie, obniżając koszty choćby zabiegów kardiologicznych. I nie dzieje się to gdzieś za oceanem, w wysoko rozwiniętych krajach Zachodu, ale tu, na miejscu – ekscytuje się Arun Ram.

Korzyści z posiadania narodowego programu kosmicznego są więc bezsprzeczne. Ale ISRO długo brakowało „wartości dodanej": tego nimbu, którym cieszą się agencje kosmiczne takich krajów jak USA czy Rosja. Czysto gospodarcze użytkowanie orbity nigdy nie rozpalało ludzkiej wyobraźni.

A to potrzebne do niezbędnej – tak uważa Arun Ram – publicznej debaty na temat tego, do czego Indie chcą i do czego powinny dążyć w kosmosie.

Wielki kraj, wielkie ambicje

Dyrektor planetarium w Bangalurze, Pramod Galgali, mówi, że jego instytucja jest oblegana przez tłumy, odkąd niecałe dwa lata temu przeszła gruntowny *lifting*. – Zainstalowaliśmy hybrydę łączącą cyfrowe projektory 3D z analogowym, który zapewnia najbardziej realistyczne efekty – mówi.

Wszystko po to, aby skuteczniej popularyzować naukę. – Na co dzień nasi edukatorzy rzadko wspominają o narodowym programie kosmicznym, ale gdy sonda Mangalyaan zaczęła badać Marsa, zorganizowaliśmy trzytygodniowy festiwal z marsjańskimi wykładami i warsztatami – opowiada Galgali.

Mangalyaan to nieformalna nazwa orbitera, który od czterech lat krąży wokół Marsa. Indie jako pierwszy kraj na świecie zdołały umieścić tam wytwór swojej inżynierii już przy pierwszej próbie, w dodatku wydając na to raptem równowartość 74 mln dolarów: dziewięć razy mniej, niż kosztowała misja amerykańskiej sondy MAVEN.

Ale o ISRO zaczęło się robić głośno już wcześniej, w 2009 r., gdy jej naukowcy z pomocą księżycowej sondy Chandrayaan-1 odkryli na powierzchni Srebrnego Globu wodę. Ta wyprawa była również przełomem w dziedzinie indyjskich ambicji w kosmosie. ↦

Start indyjskiej rakiety GSLV-F08 z satelitą komunikacyjnym. Sriharikota, 29 marca 2018 r.

Mniej więcej w tym samym czasie zaczął się *boom* na rynku komercyjnego wystrzeliwania satelitów. Firma Antrix, komercyjne ramię ISRO (jej nazwa to zlatynizowana wersja słowa „antariksz", które w hindi i sanskrycie oznacza przestrzeń kosmiczną), zaczęła bić rekordy w liczbie wynoszonych ładunków, efektywności i niskiej cenie swych usług. Dziś korzystają z nich najbogatsze państwa świata. Od 1999 r. firma umieściła na orbicie ponad 200 zagranicznych ładunków dla klientów z 28 krajów, a Indie zaczęły zyskiwać uznanie w globalnym sektorze kosmicznym.

Wreszcie także i miejscowa klasa średnia zauważył, że ISRO jest jedną z niewielu efektywnie zarządzanych dużych indyjskich organizacji, której w dodatku udało się zaangażować najbardziej światłych i wykształconych specjalistów w kraju.

– Ambitna i inteligentna młodzież chce tam pracować także ze względu na godną podziwu i stale rosnącą listę dokonań. Nie bez znaczenia jest poczucie dumy, nieodłączny urok i ekscytacja, które łączą się ze wszystkim, co kosmiczne – ocenia Susmita Mohanty, szefowa Earth2Orbit.

Nad chmurami

Wprawdzie Hindusom nadal daleko do powszechnej kosmicznej euforii, ale zainteresowanie tą tematyką rośnie.

W 2016 r. wizerunek sondy Mangalyaan znalazł się na rewersie banknotów o najwyższym nominale 2 tys. rupii. O rosnącej potrzebie kontaktu z kosmosem świadczy też ostatnia aktywność filmowców. Dotąd indyjskie kino prawie nie podejmowało kosmicznych wątków i dopiero w tym roku zmienił to tamilski film „Tik Tik Tik". Grupa śmiałków wyrusza w nim z Ziemi na pokładzie statku przypominającego amerykański wahadłowiec, żeby z pomocą głowicy nuklearnej zniszczyć planetoidę zagrażającą Azji Południowej.

Producenci filmowi badają grunt, zapowiadając kolejne kosmiczne obrazy, z których co najmniej trzy są w fazie produkcji. Należy do nich biograficzny film o Rakeshu Sharmie, jedynym obywatelu Indii, który poleciał w kosmos. Jego postać ma zagrać bollywoodzki gwiazdor Shah Rukh Khan.

> Od swoich początków w latach 60. XX wieku indyjski program kosmiczny był pragmatycznie przykrojony do miejscowych potrzeb. **Dzisiaj Indie chcą więcej.**

Tymczasem ISRO, która dotąd nie robiła zbyt wiele dla komunikacji z szeroką publicznością, dziś zapowiada utworzenie telewizji naukowej i inkubatora przedsiębiorczości.

Z danych agencji wynika, że zabezpieczyła ok. 270 patentów i dokonała transferu ponad 300 technologii do miejscowego przemysłu. Niedawno zleciła montaż satelitów trzem zewnętrznym firmom, a państwowej spółce – produkcję fotoogniw słonecznych, dotąd sprowadzanych z USA.

Dr Mylswamy Annadurai, człowiek stojący za sukcesem wielu misji satelitarnych oraz sond Mangalyaan i Chandrayaan, uważa, że zlecanie rutynowych zadań na zewnątrz umożliwi kosmicznym inżynierom skupienie się na ambitniejszych celach. Np. na kolejnej misji księżycowej Chandrayaan-2, która – dwukrotnie odkładana – ma zostać wystrzelona na początku 2019 r.

Uczeni w Bangalurze mają zresztą gotowe koncepcje kolejnych: orbitera służącego do badań Słońca, sondy krążącej wokół Wenus i analizującej jej atmosferę. Mówią też o lądowniku, który prześle na Ziemię próbki marsjańskich lub księżycowych skał.

Jednak jeśli idzie o efekt propagandowy, nic nie będzie się mogło równać ze zdjęciami indyjskich astronautów kilkaset kilometrów nad chmurami.

Lot w przyszłość

Krytycy lotów załogowych powtarzają wprawdzie, że nie przyniosą one namacalnych korzyści tu, na Ziemi, ale entuzjaści przekonują, że najwyższy czas pchnąć indyjski program kosmiczny na nowe tory.

Gopalan Madhavan Nair, szef ISRO w latach 2003-09, uważa, że agencja zrealizowała już cele sformułowane przed półwieczem i powinna zrobić krok naprzód. – To nie prestiż jest tutaj najważniejszy, lecz osiągnięcie jeszcze wyższego poziomu niezawodności technologii rakietowych i satelitarnych. W mikrograwitacji astronauci przeprowadzą eksperymenty naukowe, można się więc spodziewać efektów w postaci nowych rozwiązań, zwłaszcza w naukach medycznych – mówi.

Program „Gaganyaan" (tę nazwę opracowywanej kapsuły załogowej można przetłumaczyć jako „Podniebny statek") w swojej pierwszej fazie ma kosztować 90 mld rupii (równowartość 1,2 mld dolarów). Chodzi o dwie misje testowe bez udziału ludzi i tę najważniejszą: lot na niską orbitę okołoziemską trójki astronautów, którzy mieliby tam spędzić około tygodnia. Dodatkowe 1,7 mld rupii pochłonęła już praca nad testowanymi wcześniej technologiami.

Razem jest to kwota porównywalna z tym, co Chińczycy wydali na pierwsze misje statków Shenzhou. W indyjskich mediach zdarzają się komentarze sugerujące, że ogłaszając swoje orbitalne zamierzenia, rząd Modiego pręży muskuły właśnie przed Chinami. Jednak Pekin ma potencjał wielokrotnie większy od indyjskiego (nie tylko w dziedzinie lotów kosmicznych). Pozaziemskie podróże odbyła już jedenastka chińskich astronautów, a w kolejnej dekadzie Pekin planuje budowę stałej orbitalnej stacji kosmicznej.

– W kosmosie z nikim się nie ścigamy – podkreśla dr Mylswamy Annadurai. – Każdy ma swoje aspiracje, potencjał i cele.

I dodaje, że bardziej niż o wyścigu należy myśleć o przyszłości odległej o kilkadziesiąt lat, gdy na Księżycu mogą stać już stałe bazy, a jego eksploracja może być ważną częścią światowej gospodarki.

© TOMASZ AUGUSTYNIAK

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego, nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

Hinduskie wartości w kosmosie

RAKESH SHARMA, JEDYNY INDYJSKI KOSMONAUTA:

Nasz głos nie będzie ignorowany przy wypracowywaniu międzynarodowej polityki kosmicznej.

TOMASZ AUGUSTYNIAK: Indyjska agencja kosmiczna ISRO przetestowała już kilka technologii potrzebnych do lotów załogowych, ale rok 2022 to ciągle ambitny termin pierwszej takiej misji. Czy realistyczny?

RAKESH SHARMA: Dotąd z sukcesem testowano prototyp kapsuły załogowej i system ewakuacji. Teraz trzeba przeprowadzić loty próbne nowej rakiety GSLV Mk III i udowodnić, że jest bezpieczna dla ludzi. Gdy załoga zostanie już wybrana, podstawowe szkolenie przejdzie za granicą. To sposób na zredukowanie do minimum potrzebnego czasu. Ale trening dotyczący pojazdu, którym astronauci polecą, trzeba będzie prowadzić już w Indiach. Terminarz faktycznie będzie napięty, ale plan jest możliwy do zrealizowania, w najgorszym wypadku z lekkim poślizgiem.

Indyjski program kosmiczny długo miał pragmatyczne cele. Czy ISRO przechodzi od praktycznego wykorzystania kosmosu do bardziej spektakularnych przedsięwzięć?

Dokonania ISRO każą wierzyć, że nadal będzie wykorzystywać kosmos dla dobra społeczeństwa. Nie wiemy dokładnie, jak w przyszłości będzie można użyć technologii i wiedzy pozyskanej podczas lotów załogowych do pomnażania majątku narodowego. Ale ostatecznie na pewno pomoże to naszym obywatelom. Nie uważam, że spektakularne misje to cel sam w sobie, bo zwykli ludzie nie są specjalnie zainteresowani tym, co wysyłamy z kosmodromu w Sriharikocie. Zmagają się z codziennymi problemami: chcą zabezpieczyć rodzinom pożywienie, opiekę zdrowotną, edukację. Inżynierowie i naukowcy po prostu konsekwentnie, krok po kroku rozwijają technologie.

Czy program lotów załogowych służy też celom politycznym? Premier Modi i jego Indyjska Partia Ludowa (BJP) w 2019 r. będą się ubiegać o reelekcję.

Premier Narendra Modi, któremu podlega rządowe biuro ds. przestrzeni kosmicznej, z pewnością chce się pokazać przed wyborami jako człowiek z wizją. Cieszę się, że dał programowi zielone światło, bo niezależnie od motywów politycznych, naukowcy i inżynierowie mogą teraz przystąpić do konkretnej pracy: po sformowaniu zespołu rozbudują wyrzutnię rakiet, zbudują centrum kontroli misji i zaczną dobór i trening astronautów.

Dlaczego Indie w ogóle powinny wysyłać w kosmos ludzi, skoro to przedsięwzięcia satelitarne przynoszą dziś realne korzyści?

Kiedy Indie staną się pełnoprawnym mocarstwem kosmicznym – mam na myśli posiadanie tych wszystkich kompetencji, które mają kraje z załogowymi programami – ich głos nie będzie mógł być ignorowany, gdy przyjdzie czas wypracowywania przyszłej międzynarodowej polityki związanej z zarządzaniem przestrzenią kosmiczną. Nie chodzi tylko o korzyści dla mojego kraju. Indyjski etos jest u swoich korzeni inkluzywny, konfrontacja nie leży w naszej naturze, będziemy więc mogli zgodnie z naszymi wartościami dążyć do wypracowania bardziej otwartej polityki kosmicznej. Liczę, że skorzystają na tym inne kraje rozwijające się. Indie nigdy nie podjęły z nikim kosmicznego współzawodnictwa, nasze przedsięwzięcia zawsze skupiały się na rozwoju.

Są pomysły, by Indie dzieliły się doświadczeniem zdobytym w kosmosie z innymi krajami. Pierwszym przedsięwzięciem jest wystrzelony w 2017 r. satelita telekomunikacyjny GSAT-9, przeznaczony dla Azji Południowej.

Takich inicjatyw powinno być więcej. Szefowa Biura ONZ ds. Przestrzeni Kosmicznej zwróciła uwagę na pogłębiającą się przepaść między krajami zdolnymi do wykorzystywania potencjału, jaki daje kosmos, i tymi, które nie mają takich możliwości. Możemy pomóc innym, zwłaszcza w Azji Południowej i Afryce, w tanim dostępie do ziemskiej orbity i dzielić się danymi. Nie tylko zdobędziemy sojuszników, ale pokażemy, że współpraca w kosmosie prowadzi do pokoju.

Ostatnio wiele krajów skupia się na badaniach Księżyca. Wkrótce poleci tam chiński lądownik, a w 2019 r. Chandrayaan-2, kolejna indyjska misja robotyczna. ESA i NASA przymierzają się do budowy na Księżycu stałej bazy. Jaka jest rola Indii w jego eksploracji?

Wiele zależy od tego, czy indyjski program kosmiczny będzie nadal takim sukcesem jak do tej pory. Oraz czy wypracujemy konsens z innymi. Po raz pierwszy w historii ludzie chcą opuścić Ziemię z zamiarem osiedlenia się poza nią. Tylko garstka państw doprowadzi do ponownego lądowania i budowy bazy na Księżycu i to wyłącznie, jeśli będą współpracować, bo to przedsięwzięcie poza czyimkolwiek indywidualnym zasięgiem. Powinniśmy wziąć w tym udział. Byłbym szczęśliwy, gdyby Indie znalazły się przy stole, przy którym zdecydują się przyszłe traktaty kosmiczne. Inaczej zostaną one napisane w sposób stary, konfrontacyjny. Dlatego musimy być pełnoprawnym członkiem kosmicznej wspólnoty, co m.in. oznacza loty załogowe. ©

Rozmawiał w Indiach
TOMASZ AUGUSTYNIAK

TOMASZ AUGUSTYNIAK

RAKESH SHARMA jest emerytowanym oficerem indyjskiego lotnictwa, pilotem doświadczalnym, rzecznikiem załogowej eksploracji kosmosu. W 1984 r. wziął udział w orbitalnej misji Sojuz T-11 w ramach sowieckiego programu „Interkosmos", zostając pierwszym obywatelem Indii, który poleciał w przestrzeń kosmiczną.

MAURO PIMENTEL / AFP / EAST NEWS

Widok z drona na Muzeum Narodowe w Rio de Janeiro, 3 września 2018 r.

Pożar jak kraj

TOMASZ PINDEL

Ogień w Muzeum Narodowym w Rio de Janeiro strawił zbiory o trudnej do oszacowania wartości. Ale katastrofa pokazała też, z czym boryka się Brazylia.

Te obrazy obiegły cały świat: ściana pałacowego gmachu, a za nią pomarańczowy blask ognia, jasna poświata na tle nocnego nieba. A nazajutrz płaczący albo gniewni ludzie przy taśmie zagradzającej wstęp do zgliszcz. Świat przejął się, poruszył, złościł i solidaryzował z Brazylijczykami.

2 września, krótko po zamknięciu dla zwiedzających, na terenie Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro wybuchł pożar. Strażacy otrzymali wezwanie około 19.30, ale mimo natychmiastowej reakcji niewiele udało się zdziałać. Po półtorej godziny pożar trawił już cały budynek. Komentujący transmisję akcji dziennikarze nie mieli wątpliwości, że szanse na ocalenie choćby cząstki zbiorów są żadne.

I rzeczywiście, miażdżąca większość zasobów tego najważniejszego w Brazylii i jednego z kluczowych na kontynencie muzeów spłonęła doszczętnie. Zbiory szacowało się na 20 mln eksponatów. Ocalałe resztki – stojący u wejścia słynny meteor Bendegó, ważący ponad 5 ton, czy ryby, które uchowały się w zbiorniku z wodą – zamiast stanowić pocieszenie, raczej podkreślały katastrofalny rozmiar zniszczeń.

Reakcje

Michel Temer, urzędujący – jeszcze, bo wybory już w październiku – prezydent Brazylii, wydał utrzymane w stosownym tonie oświadczenie: „Utracono dwieście lat pracy, badań i wiedzy. (...) To smutny dzień dla wszystkich Brazylijczyków”.

A że kampania wyborcza w Brazylii toczy się na wysokich obrotach, w podobnym tonie wypowiedzieli się prawie wszyscy kandydaci, np. Marina Silva nazwała ów pożar „lobotomią na brazylijskiej pamięci". Jednak Jair Bolsonaro, kandydat skrajnej prawicy, zasłynął zgoła innego rodzaju repliką. „No i co? To już się stało, wybuchł pożar, czego niby ode mnie chcecie? Może i mam na drugie imię Messias, ale cudów czynić nie umiem" – odparował, wykorzystując tę historię do ataków na lewicę. Inna sprawa, że zważywszy na zwyczajowe wypowiedzi Bolsonara – znanego jako przeciwnik demokracji, sympatyk dyktatury wojskowej, ksenofob i homofob – ta zdawała się wcale nie odbiegać od normy.

Świat naukowy rzecz jasna załamał ręce. „To utrata fundamentów naszej historii społecznej i kulturalnej, utrata kluczowych symboli i nośników pamięci dokumentujących życie różnych ludów Brazylii. I nie tylko Brazylii" – stwierdza Antonio Carlos de Souza Lima, jeden z najważniejszych antropologów i etnografów w Brazylii, blisko związany z Muzeum Narodowym w Rio.

– To tak, jakby w Polsce spalił się Kraków w całości, razem Uniwersytetem Jagiellońskim i Wawelem. Oraz opactwem w Tyńcu. Albo Biblioteka Narodowa – mówi Wojciech Charchalis z portugalistyki Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, tłumacz i redaktor serii brazylijskiej w wydawnictwie Rebis, dodając, że strata ta jest o tyle dotkliwsza, że historia Brazylii i narodu brazylijskiego jest o 800 lat młodsza niż nasza.

Brazylijczycy oraz Polacy związani z tym krajem, których pytam o reakcje, powtarzają zgodnie: szok, smutek, oburzenie, wstyd. Piotr Kilanowski, od 28 lat mieszkający w Brazylii i obecnie pracujący na polonistyce w Kurytybie, podsumowuje: – Od niewiary, przez bunt przeciw sytuacji, po czystą rozpacz w przypadku tych, którzy z Muzeum byli związani osobiście.

– Pochodzę z biednej rodziny, moi krewni nigdy nie byli w żadnym muzeum. A mimo to, jako że są przecież brazylijskimi obywatelami i stracili część dziedzictwa, zasmuciła ich ta tragedia, a nieodpowiedzialność rządzących wzbudziła gniew – mówi Keli, absolwentka prawa ze stanu Rio Grande do Sul.

Nazajutrz po pożarze, od samego rana, zaczęły się zbierać pod Muzeum grupki protestujących, najpierw kilkaset, pod koniec dnia już kilka tysięcy. Interweniowała policja.

Kronika zapowiedzianej śmierci

W brazylijskiej dyskusji o tragicznym pożarze przebija przede wszystkim wątek skandalicznych zaniedbań, które doprowadziły obiekt do fatalnego stanu. Od lat wiadomo było, że budynek nie spełnia większości kryteriów bezpieczeństwa przeciwpożarowego, brakuje w nim systemów ostrzegania i gaśniczych, a także koniecznego personelu. Stan ten wynikał przede wszystkim z permanentnego niedofinansowania instytucji.

Dotacja rządu federalnego dla tej placówki w 2017 r. wyniosła mniej niż 600 tys. zł; Muzeum Narodowe w Warszawie otrzymuje rocznie ok. 40 mln zł plus środki na różne projekty. Jednak komentatorzy zauważają, że nie można całej winy zrzucać na aktualny kryzys gospodarczy, toczący Brazylię – grzechy popełniano od znacznie dłuższego czasu.

„To wielka hipokryzja – grzmi Edmundo Pereira, związany z placówką ceniony antropolog – od lat prosiliśmy o wsparcie. I nie chodzi o zwykłe pisanie próśb, tylko o tworzenie projektów, zebrania, powoływanie komisji, to wszystko, co wiąże się ze staraniami o środki z administracji publicznej".

Jest to więc raczej kwestia stosunku do instytucji kultury i nauki w ogóle.

– Muzeum było zaniedbane przez wszystkie rządy – mówi Kilanowski. – Ostatnim prezydentem, który złożył w nim wizytę, był Juscelino Kubitschek.

Kadencja Kubitschka przypadała na lata 1956-61...

Dwa miesiące przed pożarem aktualny dyrektor placówki pokazywał przed kamerami wnętrze: łuszczące się ściany, odpadające stropy podtrzymywane rusztowaniami, urągające wszelkim zasadom instalacje elektryczne. Gorzkiej ironii dodaje fakt, że działo się to przy okazji oficjalnych obchodów dwustulecia działalności placówki.

Muzeum Narodowe 1818–2018

Ci, którzy instytucją interesowali się, jeszcze zanim spłonęła, podkreślają, że – wbrew opinii przejętych pożarem ludzi z Europy czy Stanów – Muzeum Narodowe w Rio nie da się raczej postawić w jednym rzędzie z najsłynniejszymi placówkami tego typu na świecie, jak Luwr czy British Museum. Te najszacowniejsze muzea tworzone były zazwyczaj w stolicach kolonialnych imperiów, podczas gdy Rio de Janeiro było stolicą kolonii, początki samej instytucji sięgają zaś czasów, gdy Brazylia dopiero zaczynała się odłączać od portugalskiej macierzy. Fundatorem Muzeum Narodowego był król Jan VI, który rozpoczął proces emancypacji Brazylii. Zrąb muzealnych zbiorów stanowiły eksponaty zgromadzone przez kolejnych władców – cesarzy Piotra I i Piotra II, a siedzibą instytucji – po wprowadzeniu republiki w 1889 r. – została cesarska rezydencja znana jako Pałac Świętego Krzysztofa, piękny (do niedawna) zabytek architektury XIX wieku, umiejscowiony na parkowych terenach Quinta da Boa Vista.

Po katastrofie światowe media wypełniły się zdjęciami i informacjami o skarbach, które przepadły w pożarze. Muzeum posiadało wiele wyjątkowych zbiorów. Istniała tu największa w Ameryce Południowej kolekcja obiektów z europejskiej starożytności i ciekawe zbiory paleontologiczne, a także ogromne zbiory roślin i zwierząt – sama kolekcja owadów liczyła około 5 mln egzemplarzy. Po epoce cesarstwa pozostały nie tylko meble i kluczowe dla historii kraju pamiątki, ale także ciekawostki zbierane przez Piotra II, np. słynny tron króla Adandozana z Dahomeju (dziś Benin), który cesarz otrzymał w podarunku.

Jednak największe emocje zdają się budzić przede wszystkim eksponaty związane z historią Ameryki Południowej. Te kopalne – jak słynna Luzia, liczący ponad 11 tys. lat szkielet kobiety, najstarsze szczątki ludzkie znalezione w tej części świata – jak i te z czasów znacznie nam bliższych, czyli przede wszystkim najróżniejsze przedmioty wytworzone przez tubylcze kultury Ameryki, w tym te już nieistniejące, a więc narzędzia, maski czy pióropusze.

To jednak tylko jeden wymiar strat.

– Najbardziej dziwi mnie fakt, że mówi się głównie o „martwej" części eksponatów, a pomija wagę naukową i symboliczną placówki – zauważa Piotr Kilanowski. – Tu chodzi nie tylko o cenne zbiory muzealne, ale też fakt, że spłonęły np. nagrania wymarłych już języków indiańskich i ich dokumentacja.

Muzeum Narodowe było bowiem nie tylko miejscem gromadzenia i eksponowania obiektów, ale nade wszystko placówką naukową i badawczą, podległą Federalnemu Uniwersytetowi Rio de Janeiro ↦

↦ (UFRJ), w której pracowało wielu ekspertów najróżniejszych dziedzin. Prowadzili oni badania, często na postawie zgromadzonych zbiorów i dokumentacji, a część z tych projektów wykraczała poza czysto poznawcze ambicje.

Weźmy kwestię brazylijskich Indian. Związanym z muzeum antropologom nie chodziło wyłącznie o to, by zbierać, konserwować i wkładać do gablot wykonane przez tutejszą ludność rdzenną artefakty. Angażowali się w projekty dotyczące współczesnej sytuacji wspólnot indiańskich, np. tworzenie precyzyjnych map odzwierciedlających ich występowanie. Tego rodzaju projekty przekładały się z czasem na wymierne i namacalne efekty, jak ruch związany z pojęciem „tradycyjnie zajmowanych ziem", a więc terytoriów zajmowanych przez poszczególne wspólnoty i dla przeżycia tych wspólnot kluczowe. Tym samym stały się podstawą do późniejszych roszczeń Indian i uruchomiły proces zwracania pokaźnych terenów takim wspólnotom, co oczywiście budzi sprzeciw aktualnych właścicieli (przede wszystkim rolniczych potentatów).

Smutny symbol

Spalone Muzeum Narodowe w Rio siłą rzeczy stało się symbolem. Ale czy było nim wcześniej, czy Brazylijczycy postrzegali je tak, jak dziś wszyscy o nim mówią, czyli jako skarbiec narodowej pamięci, fundament tożsamości?

Marcelo Paiva de Souza, rodowity Brazylijczyk, także związany z polonistyką na Kurytybie, mówi jasno: – Nie, bez wątpienia Muzeum nie zajmowało symbolicznego miejsca w szerszej świadomości narodowej Brazylii.

– Wydaje mi się, że Muzeum zyskało rangę prawdziwego symbolu dopiero po pożarze – mówi pisarka Eliza Piotrowska. – Jego upadek jest dużo bardziej symboliczny niż wcześniejsze istnienie. Wszyscy są zgodni: stan Muzeum to lustrzane odbicie stanu Brazylii, a jego kres to ostrzeżenie przed podobnie tragicznym kresem kraju.

Spalone muzeum stało się narodowym symbolem. Lecz wcześniej dla większości Brazylijczyków nie było ani skarbcem narodowej pamięci, ani fundamentem tożsamości.

– To wydarzenie jedynie nasiliło poczucie kryzysu politycznego i moralnego w społeczeństwie – mówi Wojciech Baczyński, były wicekonsul handlowy RP w São Paulo, dziś dyrektor generalny Polsko-Portugalskiej Izby Gospodarczej. – W sytuacji trwającego kryzysu politycznego pożar stał się symbolem niefunkcjonalności państwa brazylijskiego w ostatnich latach – co ciekawe, w równy sposób po obu stronach coraz bardziej spolaryzowanej na co dzień barykady politycznej. Jedyną potencjalnie pozytywną reakcją, z jaką miałem do czynienia, były pojawiające się spontanicznie akcje promujące wagę odwiedzania muzeów (niestety już nie Museu Nacional) przez obywateli.

Z europejskiej perspektywy takie wydarzenie powinno wstrząsnąć politycznym establishmentem i znacząco wpłynąć choćby na przebieg wyborów. Tak się jednak nie dzieje. Kandydaci, jak wiemy, wypuścili stosowne komentarze, zresztą cztery dni później prawicowiec Bolsonaro został podczas wiecu pchnięty nożem, co na wewnętrzny przebieg kampanii wydaje się mieć większe znaczenie.

– Jestem raczej sceptyczny co do możliwych efektów i reperkusji pożaru w kampanii – komentuje Marcelo Paiva de Souza. – Dla „zorientowanych" (akademików, muzeologów itd.), czyli tych, którzy na co dzień doświadczają tego, jakie są polityczne siły rządzące dziś krajem, ta wiadomość tylko trochę zaczernia już skądinąd ciemny obraz. Mam jednak poważne obawy, że środowisko kultury i nauki nie jest w stanie w żaden sposób wpłynąć na aktualny układ polityczny, ani teraz, ani w najbliższej przyszłości.

– Coraz głośniej mówi się o tym (ale na ulicach, nie w telewizji, która też jest pod kontrolą obozu rządzącego), że w Brazylii działa tylko to, co stworzyli Portugalczycy, czyli monarchia – komentuje Piotrowska. – Trudno mi się z tym nie zgodzić. Moje miasteczko do dziś korzysta z dróg i systemu kanalizacyjnego stworzonych około 200 lat temu przez Piotra II...

– Jeśli ktoś codziennie jest świadkiem strzelanin, napadów z bronią w ręku, najróżniejszych wypadków, śmierci, objawów przemocy, jeśli ktoś wciąż widzi polityków rozkradających pieniądze, malwersujących miliony reali, i tylko jednostki trafiają za to za kratki, to wie, że dbanie o rzadko odwiedzane instytucje kultury to kwestia drugorzędna – Rafael, prawnik z Rio Grande, nie ma złudzeń.

Piekło czy raj?

Masowe zainteresowanie pożarem w Rio – pełno go było w telewizji, w gazetach, w sieci, na portalach społecznościowych – także wydaje się interesujące, bo można odnieść wrażenie, że Brazylia coraz mocniej widoczna jest – także w polskich – mediach. Od czasu mundialu i igrzysk olimpijskich przez okres korupcyjnych afer po dziś powracają doniesienia z tego kraju.

– Świat obserwuje Brazylię z wielką uwagą – zauważa Piotrowska. – Był to bardzo dobrze zapowiadający się kraj, który znalazł się w punkcie zero. W czarnym punkcie. Pożar Muzeum w Rio to potwierdza. Brazylia upada. Czy powstanie z popiołów? I jak? Czy Brazylia otworzy się na świat? Czy pojawi się zdrowa konkurencja? Wolny rynek? Klasa średnia? Jak przypuszczam, wielu współczesnych „kolonizatorów" z chęcią podbiłoby Brazylię. Czy Brazylia się da? Czy może – przeciwnie – nareszcie rozkwitnie? – mnoży pytania pisarka.

Marcelo Paiva de Souza dostrzega w tym zainteresowaniu wyraźny ślad tradycyjnych już uproszczeń: – To jednak przykład często spotykanej logiki opartej na dwóch przeciwstawnych stereotypach, rzecz dość typowa dla europocentrycznego spojrzenia na Brazylię. Z jednej strony przed wiekami postrzegano „Nowy Świat" jako raj, z drugiej jako piekło na Ziemi. Najsmutniejsze – kończy – że w ostatnich czasach nie brak argumentów za tym, że ta czarna wizja brazylijskiej rzeczywistości jest jak najbardziej uprawniona.

© TOMASZ PINDEL

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".
Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Nagroda
im. Jerzego Turowicza

NAGRODA IMIENIA JERZEGO TUROWICZA ustanowiona została w 2012 roku w setną rocznicę urodzin twórcy i redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego". Przyznawana jest za wybitne i oryginalne dzieło literackie, plastyczne, muzyczne, teatralne lub filmowe bądź pracę z dziedziny nauk humanistycznych.

NAGRODA PRZYZNAWANA JEST corocznie za dzieło twórcy polskiego, żyjącego w chwili jej ogłoszenia, opublikowane bądź zaprezentowane w ciągu dwóch lat kalendarzowych poprzedzających rok jej przyznania. Tegoroczna edycja obejmuje dzieła z lat 2016–2017.

Nagrodę stanowią: statuetka pomysłu Krystyny Zachwatowicz-Wajdowej, wykonana przez Macieja Plewińskiego, oraz nagroda pieniężna w wysokości ogłaszanej co roku przez Zarząd Fundacji. Wyboru laureata dokonuje Kapituła, której członków powołują Zarząd i Rada Fundacji Jerzego Turowicza.

W poprzednich latach Nagrodę otrzymali Joanna Olczak-Ronikier, Marcin Zaremba, Andrzej Brzeziecki, Monika Sznajderman i Paweł Machcewicz.

ZGŁASZAĆ KANDYDATURY do Nagrody mogą członkowie Kapituły, Zarządu i Rady Fundacji Jerzego Turowicza, redakcje „Tygodnika Powszechnego", „Znaku" i innych czasopism kulturalnych, wydawcy, związki twórcze oraz wcześniejsi laureaci.

ZGŁOSZENIA NA PIŚMIE
prosimy wysyłać do 1 listopada br.
na adres: Fundacja Jerzego Turowicza,
ul. Dunajewskiego 1, m. 7B,
31-133 Kraków
lub fundacja@turowicz.org

KONKURS SKŁADA SIĘ Z DWÓCH ETAPÓW:
w etapie pierwszym Kapituła dokonuje wyboru siedmiu nominacji, które ogłasza się przed terminem wręczenia Nagrody, w etapie drugim Kapituła wyłania laureata spośród tych nominacji.

WRĘCZENIE TEGOROCZNEJ NAGRODY
odbędzie się 26 stycznia 2019 roku, w przeddzień 20. rocznicy śmierci Jerzego Turowicza.

REKLAMA

Drugi numer
NIEZBĘDNIKA
WSPÓŁCZESNEGO
już w sprzedaży

108 stron

Do kupienia
w dobrych punktach
sprzedaży prasy i na
sklep.polityka.pl

Dostępny na iPadzie
oraz dla abonentów
POLITYKI Cyfrowej na
polityka.pl/cyfrowa

Bendyk • Hartman • Szlendak • Szostkiewicz • Walewski • Wilk • Zagajewski i inni

ŚMIERĆ W BURZY

Był jednym z najwybitniejszych rosyjskich poetów. Jego spuścizna mogła być większa, gdyby 27-letni Michaił Lermontow nie zginął w kontrowersyjnym pojedynku.

KAROL FRYTA Z PIATIGORSKA (ROSJA)

Jest 25 lipca 1841. W domu generała Piotra Wierzilina w Piatigorsku odbywa się wieczorek taneczny. Pod nieobecność gospodarza bawią się Emilia, pasierbica generała, jego córka Nadieżda, Lew Puszkin (brat nieżyjącego już poety Aleksandra), książę Siergiej Trubieckoj, zdymisjonowany major Mikołaj Martynow i Michaił Lermontow, zwany już „drugim poetą Rosji".

W rozmowie z Puszkinem Lermontow dworuje sobie z Martynowa, który – mimo degradacji za oszustwo karciane – wciąż chodzi dumnie w mundurowej czerkiesce i z kindżałem. Uwaga dociera do byłego majora. Wściekły podchodzi do Lermontowa i mówi, że nie życzy sobie złośliwości, zwłaszcza w obecności dam.

Po zakończonym wieczorze, za progiem dochodzi do nowej rozmowy. Wydaje się, jakby były oficer dążył do konfrontacji. Poeta pyta, czy Martynow życzy sobie satysfakcji. Ten potwierdza. Pojedynek ma się odbyć 27 lipca na leśnej polanie u podnóża Maszuka, szczytu nad Piatigorskiem.

Nikt nie sądzi, że kula eksmajora odbierze życie poecie – i wywoła trwające do dziś spory historyków i literaturoznawców. Będą roztrząsać, czy do pojedynku musiało dojść, i czy Martynow złamał jego zasady.

Dandysów zastąpili turyści

Stoję na miejscu pojedynku. Zbudowano tu pomnik upamiętniający poetę. Ciągną wycieczki z całej chyba Rosji. Dla rozkrzyczanych dzieciaków to pewnie ulga, wyrwały się ze szkolnej ławki. Zapewne pojadą potem do domku, w którym mieszkał Lermontow podczas pobytu w Piatigorsku.

W tym 140-tysięcznym mieście w Kraju Stawropolskim (dziś stolicy Północnokaukaskiego Okręgu Federalnego) trudno uciec od wspomnień o poecie, otoczenie jest nim przesiąknięte: wszędzie są pomniki lub miejsca, które odwiedzał.

Jest leniwie, wszyscy ciągną do rozsianych po mieście istoczników (ujęć), w których chłepczą wodę bogatą w mikroelementy, choć obezwładniającą niemiłą wonią.

Atmosfera uzdrowiska przypomina tę, którą zaobserwował Pieczorin w „Bohaterze naszych czasów", pierwszej rosyjskiej powieści psychologicznej autorstwa właśnie Lermontowa: „Idąc pod górę wąską ścieżką do źródła Elżbiety, minąłem gromadę mężczyzn cywilnych i wojskowych, którzy, jak się później dowiedziałem, stanowią specyficzną kastę wśród oczekujących na działanie wód. Piją oni – jednak nie wodę, spacerują mało, asystują damom tylko od niechcenia; grają w karty i skarżą się na nudy. Są to dandysi: zanurzając swoją oplataną szklankę w studzienkę siarczanej wody przybierają akademickie pozy: cywile noszą jasnobłękitne krawaty, a wojskowi wypuszczają zza kołnierza bryże! Wyrażają głęboką pogardę dla dam z prowincji i wzdychają do stołecznych, arystokratycznych salonów, do których nie są dopuszczani".

Z miejsca pojedynku ruszam piatigorskimi śladami poety.

Pod pachą z Byronem

Lermontow przyszedł na świat w 1814 r. w Moskwie (blisko domu, gdzie 15 lat wcześniej urodził się Aleksander Puszkin). Matka zmarła, gdy miał trzy lata. Jego wychowaniem zajęła się kochająca i nadopiekuńcza babcia Jelizawieta Aleksiejewna Arsienjewna. Wywalczyła opiekę nad Miszą, płacąc za to zięciowi Jurijowi, którego obarczała winą za śmierć córki.

Wnuk stał się oczkiem w głowie babci, która zatrudniała najlepszych guwernerów. Od młodych lat Misza interesował się rysunkiem i teatrem: malował akwarele, lepił figurki teatralne, urządzał przedstawienia. Po matce odziedziczył wątłe zdrowie, co zaczęło objawiać się krzywicą. Trzykrotnie, w latach 1818-25, jeździł z babcią na Kaukaz, by reperować zdrowie. Region ten wielokrotnie będzie wracał w życiu Lermontowa i jego poezji.

W 1827 r. nastolatek trafił do moskiewskiego Uniwersyteckiego Pensjonatu Szlacheckiego. Szkoły elitarnej, gdzie zajęcia trwały po 10 godzin dziennie. Spotkał tu kilku mentorów, którzy zabiorą go w intelektualną podróż. Poznał dzieła Szekspira, Goethego, Schillera i twórców rodzimych: Kryłowa, Żukowskiego, Puszkina.

Tu także zaczęła się jego fascynacja Byronem, którego w przyszłości będzie czytał w oryginale, nie rozstając się z opasłym tomem jego dzieł. Zetknął się tu także z ideami dekabrystów – szlacheckich buntowników, autorów nieudanego powstania antycarskiego w 1825 r. Będzie z nimi sympatyzował. Jako uczeń napisze pierw-

RIA NOVOSTI

Michaił Lermontow, drzeworyt Fiodora Denisowicza Konstantinowa, 1964 r.

sze próbki literackie – to „Czerkiesi", „Jeniec Kaukazu", „Korsarz", inspirowane Puszkinem.

W marcu 1830 r. car Mikołaj I niespodziewanie odwiedził szkołę, bez asysty. Trafił na przerwę, atmosfera na korytarzach odbiegała od wyobrażeń o elitarnej placówce. W dodatku nikt nie rozpoznał imperatora... Ten, poirytowany, zwołał zebranie w jednej z sal, skarcił kadrę i uczniów, a wkrótce potem wydał decyzję o pozbawieniu Pensjonatu elitarnego statusu i wprowadzeniu kar cielesnych. Rodzice zaczęli wycofywać dzieci ze szkoły. Z nauki zrezygnował też Lermontow.

Latem 1830 r. babcia Jelizawieta wywalczyła stałą opiekę nad nastolatkiem. Ślad po tym widać w wierszu „1830 rok. 15 lipca (Moskwa)", w którym chłopiec z goryczą pisze o uprzykrzaniu mu dzieciństwa. Jego ojciec już go nie zobaczył, zmarł w 1831 r.

Niechciany debiut

We wrześniu 1830 r. Michaił zdał na Uniwersytet Moskiewski. Mówił już płynnie po francusku i niemiecku, radził sobie z angielskim. Studia zaczął na wydziale prawa, ale szybko przeniósł się na wydział filologiczny i... zaczął nagminnie opuszczać zajęcia. Zniechęciła go rutyna i poziom nauczycieli.

Ostatecznie rozczarowany uniwersytetem, przed sesją egzaminacyjną w 1832 r. złożył podanie, by zwolnić go z uczelni. Decyzja ta zaważyła na jego życiu, a rok 1832 jest dlań ważny także z innego powodu: Michaił pisze wiersz „Żagiel", oddający nastrój romantycznej inteligencji rosyjskiej.

Coś trzeba jednak robić. W październiku 1832 r. początkujący poeta wstępuje do szkoły podchorążych gwardii w Petersburgu. Stało się tak, gdyż po reformie edukacji władze Uniwersytetu Petersburskiego nie chciały uznać przedmiotów, których wcześniej wysłuchał w Moskwie. Nie chciał zaczynać wszystkiego od początku, więc wybrał krótszą – dwuletnią – szkołę wojskową. Zaczął w niej naukę ze swoim o dwa lata młodszym wujkiem Aleksym Stołypinem-Mongo, który odtąd będzie jego cieniem i jako sekundant weźmie udział w dwóch jego pojedynkach. A po jego śmierci przetłumaczy na francuski „Bohatera naszych czasów".

Surowy regulamin zabraniał czytania beletrystyki i uprawiania własnej twórczości. Szkoła była elitarna, ale tłumiono w niej niezależność, a zwłaszcza reformatorskie idee. Absolwenci mieli być oddani monarchii. Lata tej szkoły, zwieńczonej w 1834 r. uzyskaniem stopnia korneta, Lermontow określił potem jako „straszne".

W 1835 r. zadebiutował w druku – wbrew swojej woli. Daleki krewny Mikołaj wykradł jego poemat „Chadżi-Abrek" i przekazał do publikacji. Lermontow był wściekły, choć utwór przyjęto dobrze.

Już wczesny okres twórczości młodego twórcy zapisał się wspaniałymi liczbami. Do 1836 r. napisał ok. 300 utworów lirycznych, 19 poematów i kilka dramatów.

Pierwsze zesłanie na Kaukaz

W latach 1836-37 Lermontow mieszkał w Petersburgu. Pracował tu nad jednym ze swoich arcydzieł, poematem „Demon". ↦

↦ Tekst szlifował całe życie, tworząc kilka jego redakcji. Być może pracowałby nad nim dalej, gdyby nie pojedynek z Martynowem. W Petersburgu pisał też powieść „Księżna Ligowska", opartą na wątkach autobiograficznych, na kanwie której powstał „Bohater naszych czasów".

W grudniu 1836 r. przeziębił się, choroba się ciągnęła. 8 lutego 1837 r., gdy leżał jeszcze w łóżku, pod Petersburgiem doszło do pojedynku między Aleksandrem Puszkinem i Georges'em d'Anthèsem. Wieczorem miastem wstrząsnęła wiadomość: poeta jest śmiertelnie ranny.

Puszkin zmarł dwa dni później, a na wydarzenie to zareagowała cała poezja rosyjska, tworząc okolicznościowe wiersze. Najbardziej opinię publiczną poruszyła oda Lermontowa „Na śmierć poety". Kopię przepisywano i kolportowano nie tylko w petersburskim środowisku. W wierszu tym w sugestywny sposób autor zawiera oskarżenie wobec arystokracji, której salonowe gierki doprowadziły do pojedynku i śmierci najwybitniejszego poety Rosji.

Wiersz dotarł do cara, który wściekł się i wydał nakaz aresztowania Lermontowa i zesłania na front: do niżegorodzkiego pułku dragonów, który od 30 lat walczył z góralami na Kaukazie.

Jeszcze przed wyjazdem poeta świadomie zadebiutował w druku głośnym wierszem „Borodino", w którym z prostych ludzi – walczących na pierwszej linii tej pamiętnej bitwy z Napoleonem w 1812 r., na przedpolach Moskwy – uczynił bohaterów, stawiając ich w kontrze do ludzi wykształconych, pustych, niezdolnych do heroicznych czynów.

Podczas pobytu na Kaukazie Lermontow odwiedził Gruzję, a okolice pierwszej stolicy tego kraju, Mcchety, uwiecznił w poemacie „Mcyri". Ekspedycja była okazją poznania wielonarodowego regionu, zetknięcia się z kulturalnymi wpływami z Kaukazu Południowego.

Wybłagane przez babcię ułaskawienie oderwało wręcz poetę od uciech duchowych i budziło jego smutek. Do przyjaciela pisał: „Górskie powietrze to dla mnie balsam, do diabła z chandrą, serce ożywa, pierś bierze pełny oddech – niczego mi nie trzeba w takiej chwili, siedziałbym tak i patrzył przed siebie całe życie".

Zabawa w Grocie Diany

Natalia, mieszkanka Piatigorska, oprowadza mnie po miejscach, które odwiedził poeta lub uwiecznił w utworach.

KAROL FRYTA

Domek, w którym mieszkał Lermontow ze Stołypinem-Mongo tuż przed pojedynkiem, 2018 r.

Jak Prował – podziemne jezioro, o którym pisał w noweli „Księżniczka Mary", jednym z rozdziałów „Bohatera naszych czasów". Spacery do Prowału były dla kuracjuszy jedną z ulubionych aktywności, choć mogli jedynie popatrzeć na jezioro z góry. Dopiero po śmierci Lermontowa, w 1858 r., przebito kilkudziesięciometrowy tunel i dostęp do turkusowego oczka został ułatwiony. Dziś trudno się tu przepchać, tak chętnie jest odwiedzane.

Po drodze mijamy łaźnie, z których korzystał poeta na kuracji w 1837 r., podczas pierwszego zesłania. W liście do przyjaciela wspominał, że gdy przybył do miasta, był tak słaby, że z powozu został wyniesiony na rękach. Z dokumentów wynika, że wziął ok. 20 leczniczych kąpieli.

Kolejnym punktem na naszej trasie jest Grota Diany, położona blisko łaźni.

– Lubił tu przebywać, spotykać się ze znajomymi – wskazuje grotę Natalia. – Bawił się tutaj jeszcze tydzień przed śmiercią. Kiedyś to musiało być urokliwe miejsce.

To prawda. Przyjaciel poety Mikołaj Lorer wspominał, że grota była przystrojona kolorowymi chustami, perskimi dywanami i kwiatami. Pamiętnikarz zanotował obraz z jednej z ostatnich zabaw poety: „Lermontow bardzo dużo tańczył, w ogóle towarzystwo bawiło się świetnie. Po jednym z walców Lermontow dysząc ze zmęczenia podszedł do mnie i spytał szeptem: czy widzi pan damę Dmitrijewskiego? Czyż nie jest piękna?".

Zwiedzamy miasto niechronologicznie. Przypomina to trochę czytanie najsłynniejszej powieści Lermontowa, który z wywróconej chronologii „Bohatera naszych czasów" uczynił środek wyrazu pomagający zrozumieć charakter Pieczorina. Tym sposobem docieramy do miejsca pierwszego pochówku poety na starym cmentarzu.

Pogrzeb odbył się dzień po pojedynku, w asyście przedstawicieli czterech pułków. Ciało spoczywało w piatigorskiej ziemi osiem miesięcy, zanim babcia wystarała się o zgodę na przeniesienie szczątków do rodzinnego majątku w Tarchanach. Spoczął w krypcie obok matki.

Powieść jak oskarżenie

Ale nie wybiegajmy zanadto naprzód.

W kwietniu 1838 r. Lermontow wrócił do pułku huzarów do Carskiego Sioła, gdzie zamieszkał ze Stołypinem-Mongo. Podczas pobytu w Petersburgu był gorąco przyjmowany przez przyjaciół Puszkina, pojawiał się na salonach, brał udział w arystokratycznych balach. Stał się modny, damy naciskały, by zapraszać go na wieczorki i rauty.

Życie towarzyskie łączył z pracą. Pisał „Bohatera naszych czasów", w którym sportretował współczesne środowisko, a jego główny bohater, Pieczorin, został symbolem bezsilności pokolenia żyjącego po powstaniu dekabrystów, z jego zmarnowanymi możliwościami. Powieść była oskarżeniem systemu politycznego w Rosji, a jej nowatorska forma wniosła świeży powiew do literatury rosyjskiej.

Pobyt w Petersburgu sprawił, że Lermontow stał się rozpoznawalny, a sukcesy towarzyskie wśród dam sprawiły, że

część mężczyzn była do niego wrogo nastawiona. Salonowa intryga z damsko-męskimi relacjami w tle spowodowała, że starł się słownie z synem francuskiego ambasadora Ernestem de Barante.

Konsekwencją sporu był pojedynek. Odbył się 1 marca 1840 r. Najpierw walczono na szpady. Lermontow został draśnięty w łokieć, po czym złamał szpadę na rękojeści szpady Francuza. Broń zamieniono na pistolety. Strzały przeciwnicy mieli oddać naraz, ale de Barante ugrzązł w śniegu i chybił. Widząc to, poeta oddał swój strzał w powietrze. Przeciwnicy podali sobie ręce i odjechali każdy w swoją stronę.

Pojedynki były zakazane i traktowane jako przestępstwo. Wiadomość o starciu dotarła do cara, który znów kazał aresztować Lermontowa. 25 marca wierny druh Stołypin-Mongo przyznał się, że był sekundantem, i wyraził gotowość, by także odbyć karę. W kwietniu car zadecydował o ułaskawieniu Stołypina-Mongo i wysłaniu Lermontowa znów na Kaukaz, do tengiskiego pułku piechoty.

Kolejne kaukaskie zesłanie

Podczas drugiego pobytu na Kaukazie, w 1841 r., poeta wziął udział w wyprawie do Dagestanu i kilku bitwach, m.in. nad rzeką Waleryk, która zaowocowała wierszem utrzymanym w tonie listu poetyckiego; pięknego i obrazowego w wojennym opisie. Lew Tołstoj traktował ten wiersz jako przyczynek dla swojej „Wojny i pokoju". Przytoczmy fragment:

O drzewo, na swym płaszczu konał
Kapitan ich. Z dwóch ran otwartych
Na piersi nitka krwi czerwona
Ledwo sączyła się... Wysoko
Pierś jego falowała, oko
Błądziło strasznie, gdy spozierał
Spojrzeniem konającym, obcym
I szeptał: – Wloką w góry... Chłopcy,
Ratujcie – ranny nasz generał...
Nie słyszą... – Długo on umierał.

(przeł. Włodzimierz Swobodnik)

W czerwcu, dzięki wstawiennictwu dowódcy i ordynatora szpitala wojskowego w Piatigorsku, udało się Lermontowowi uzyskać zgodę na zatrzymanie się w kurorcie i leczenie wodami mineralnymi przez całe lato 1841 r.

W Piatigorsku 27-latek odpoczywał i korzystał z uciech życia towarzyskiego. Spędzał czas wśród rówieśników o podobnych poglądach. W mieście bawiła też arystokracja zadowolona z politycznego *status quo*, niechętna zdobywającemu uznanie Lermontowowi, która wiedziała o jego zatargu z carem. To ona – zdaniem Antoniego Semczuka, badacza twórczości Lermontowa – miała stać za podjudzaniem Martynowa do pojedynkowania się z poetą. Spodziewano się, że władze zareagują ostro na wieść, iż Lermontow znów złamał zakaz pojedynków.

Śmierć w deszczu

Dwa dni po utarczce z Martynowem, 27 lipca 1841 r., około godziny osiemnastej, Lermontow jedzie konno na wyznaczone miejsce pojedynku na zboczu Maszuka.

Sekundantami poety mają być Stołypin-Mongo i książę Trubieckoj. W obozie przeciwnym będzie to młodziutki kornet Michał Glebow i książę Aleksander Wasilczykow, który skrycie żywi urazę do Lermontowa. Warunki pojedynku są surowe i wieszczą rychłą śmierć któregoś z walczących: mogą oddać po trzy strzały, zacięcie broni należy uważać za oddany strzał, a po niecelnym strzale walczący może poprosić drugiego, by ten podszedł do bariery, co praktycznie wystawi rywala na niechybną śmierć.

Nad polanę nadciąga burza, niebo pokrywa się grafitowymi chmurami. Lermontow chyba do końca nie wie, co go czeka. Jeszcze dzień wcześniej deklarował, że może przeprosić Martynowa. Poeta mówił też – o czym Martynow ponoć został poinformowany – że nie podniesie ręki na przeciwnika i odda strzał w powietrze.

Zaczyna padać, trzaskają pioruny, a Stołypina-Mongo i Trubieckoja wciąż nie ma, co może być poczytane jako niehonorowe uchylenie się od walki. Brak sekundantów znaczy, że do starcia nie powinno dojść. Ale Wasilczykow wywiera presję na Glebowa, by zacząć pojedynek, choć to złamanie zasad. Zostaje wyznaczona bariera, pas neutralny, a walczący rozchodzą się na 15 kroków, dzierżąc w dłoniach pistolety marki Küchenreuter.

Na komendę „Naprzód!" Lermontow nie reaguje. Podnosi tylko broń i oddaje strzał w powietrze. W tym momencie sekundanci powinni przerwać pojedynek i nakazać rozbrojonemu poecie ponowne nabicie broni. Nie robią tego. Nie powstrzymują też Martynowa, który dochodzi do bariery i strzela. Lermontow pada jak ścięty. Umiera na miejscu. Ciało będzie leżeć parę godzin w deszczu, bo sekundanci nie pomyśleli o zapewnieniu transportu.

Spory o pojedynek

Chodzę po salonach domu Wierzilina, który został włączony do kompleksu tworzącego muzeum „drugiego poety Rosji". Myślę o pojedynku. Badacze nie są zgodni co do jego przebiegu, bo biorący w nim udział sekundanci milczeli przez długie lata lub zabrali tajemnicę do grobu. Sam zabójca przez dziesiątki lat unikał zdania szczegółowej relacji. Po 30 latach zdobył się na list, z którego nic nie wynikało.

Według części historyków Lermontow wystrzelił. Inni twierdzą, że nie. Niektórzy sugerują, że Martynow przekroczył barierę.

Wyjaśnienia tajemnicy podejmowali się nawet profesjonalni detektywi, ale nikt nie potrafi z przekonującą pewnością odtworzyć tego, co tak naprawdę się wydarzyło.

Jedno jest pewne: Martynow zabił 27-letniego poetę, który mimo młodego wieku zostawił wspaniałą spuściznę i przeszedł do historii literatury, nie tylko rosyjskiej. Można spekulować, co jeszcze mogłoby wyjść spod pióra Lermontowa, gdyby przeżył.

Widok na krzyżową górę

Obok domu Wierzilina stoi bielony i kryty strzechą domek, w którym w ostatnich dniach życia Lermontow mieszkał ze Stołypinem-Mongo. Miał dobrą lokalizację: blisko źródeł, łaźni i deptaku.

W pokoju, w którym spał i pracował Lermontow, uwagę przykuwa jego biurko. – Pierwotny mebel nie zachował się, a biurko trafiło do nas z domu, w którym mieszkał w Petersburgu – mówi Mikołaj Markelow, główny kurator muzeum. – Prócz akwareli poety „Widok na krzyżową górę" to nasz najcenniejszy eksponat. Warto dodać, że podczas II wojny światowej, gdy Niemcy zajęli Piatigorsk, eksponaty zostały ukryte na terenie muzeum, choć okupanci nie przywiązywali wagi do jego istnienia.

Pod domkiem Lermontowa kręcą się leniwie turyści, z wysokozmineralizowaną wodą w plastikowych butelkach, którą przynieśli z istoczników. Pewnie wracają, jak niegdyś Lermontow, z kuracji lub spaceru urokliwymi uliczkami kurortu.

Zostało do zadania jedno pytanie. Czy pojedynek nie zamienił się w niehonorowe zabójstwo poety?

Markelow: – W naszej opinii kodeks pojedynku i jego zasady nie zostały złamane.

© KAROL FRYTA

WSZYSTKIE KOLORY PIASKU

Wydmy można znaleźć na powierzchni Ziemi, Marsa i Wenus, ale też małych i zimnych ciał, takich jak księżyce Saturna czy Pluton. Dlaczego właściwie powinno nas to interesować?

ANNA ŁOSIAK

Wydmy to w pierwszym przybliżeniu asymetryczne pagórki zbudowane z piasku przenoszonego przez wiatr. Ale w nauce, a już szczególnie w geologii, nic nie jest tak proste.

Najbardziej charakterystyczną cechą wydmy jest asymetryczność jej stoków – jedna strona pagórka jest zawsze krótsza i bardziej stroma od drugiej. Kształt bezpośrednio wynika ze sposobu ich powstawania: ziarenka przemieszczają się zgodnie z przeważającym kierunkiem wiatru i przy napotkaniu przeszkody, nawet małego kamienia, zaczynają się gromadzić. Po jakimś czasie kupka piasku staje się na tyle wysoka że „tylna" (zawietrzna) część stoku staje się niestabilna i stacza się w formie miniosuwiska. Tak wykształca się zasadnicza struktura tzw. wydmy poprzecznej: piasek mozolnie wspina się, popychany wiatrem, po stronie nawietrznej, jego strona zawietrzna zaś to tak naprawdę stale odnawiające się osuwisko. Wydma taka jest więc, czego być może nie widać na pierwszy rzut oka, niestrudzonym wędrowcem, pełzającym w kierunku wyznaczanym przez wiatr.

Dzięki asymetryczności stoków możemy łatwo odczytać kierunek przeważających wiatrów w danym miejscu: wystarczy spojrzeć, w którą stronę kieruje się stroma część wydmy. Co więcej, tej samej zależności można użyć do określenia, w którą stronę wiał wiatr miliony lat temu, i to nawet jeżeli same wydmy już dawno przestały istnieć. Wszystko dzięki temu, że skały powstałe w wyniku sklejenia ziarenek piasku tworzących wydmę – czyli piaskowce – często mają w swojej strukturze cieniutkie, równoległe warstewki, nachylone do poziomu pod kątem ok. 33 stopni. To ślady po stokach zawietrznych, doskonale widoczne nie tylko w ziemskich skałach, ale także w piaskowcach fotografowanych przez łaziki marsjańskie.

Czasem dane jest nam zmierzyć dawne kierunki wiatrów na Marsie dzięki studiowaniu wydmowych zjaw, czyli przypadku, gdy wydm już nie ma, ale nadal możemy widzieć ich „odciski". Te zaobserwowane kilka miesięcy temu na dnie największego krateru na Marsie, basenu uderzeniowego Hellas, są szczególnie dziwne. Powstały, gdy pole wydm poprzecznych, rogalikowatych barchanów, zostało zalane lawą. Następnie same wydmy wywiały wiatry i zachowały się tylko ich „odlewy". Można jednak na ich podstawie stwierdzić że wydmy miały ok. 75 m wysokości i poruszały się z północy na południe – inaczej niż obecnie aktywne wydmy w tym rejonie.

Jak to się robi na Wenus

Wydmy mogą być bardzo różnych rozmiarów, od malutkich, centymetrowych ripplemarków, czyli zmarszczek na piaszczystych powierzchniach, aż do gigantycznych, wysokich na kilkaset metrów gór piachu. Co ciekawe, mimo tak dużych różnic w ich wielkości, w niemal wszystkich ziemskich wydmach kąt świeżego stoku zawietrznego jest dokładnie taki sam i wynosi 33 stopnie. Jest to kąt naturalnego spoczynku dla suchego piasku, czyli maksymalna stromość stabilnego stoku zbudowanego z tego materiału. Gdy spróbujemy dosypać choć trochę więcej piasku, zsunie się on w postaci minilawiny.

Wielkości wydm zaobserwowanych na Wenus do niedawna wydawały się nie pasować do naszego zrozumienia procesu tworzenia tych form – były one zdecydowanie za niskie w stosunku do naszych oczekiwań. Ich badania nadal stanowią ogromne wyzwanie. Z powodu nieprzeniknionej warstwy chmur robienie normalnych zdjęć tej planety jest niemożliwe, a piekielne warunki na powierzchni (typowa prognoza pogody na Wenus to temperatura 462 st. C, ciśnienie 92 razy większe niż na Ziemi, możliwość opadów stężonego kwasu siarkowego) uniemożliwiają wysłanie tam łazików. Na szczęście sygnał radarowy przenika przez zasłonę chmur i pozwala dojrzeć powierzchnię.

Dziwne, tajemniczo małe wydmy widoczne w postaci wałów długo stanowiły tajemnicę. Dopiero niedawno naukowcy zorientowali się, że dotychczas porównywali rzeczy niezupełnie porównywalne. Okazało się że wenusjańskie wydmy są w rzeczywistości bardzo podobne do ziemskich wydm, ale tylko tych znajdujących się na dnie morza. I w sumie nic

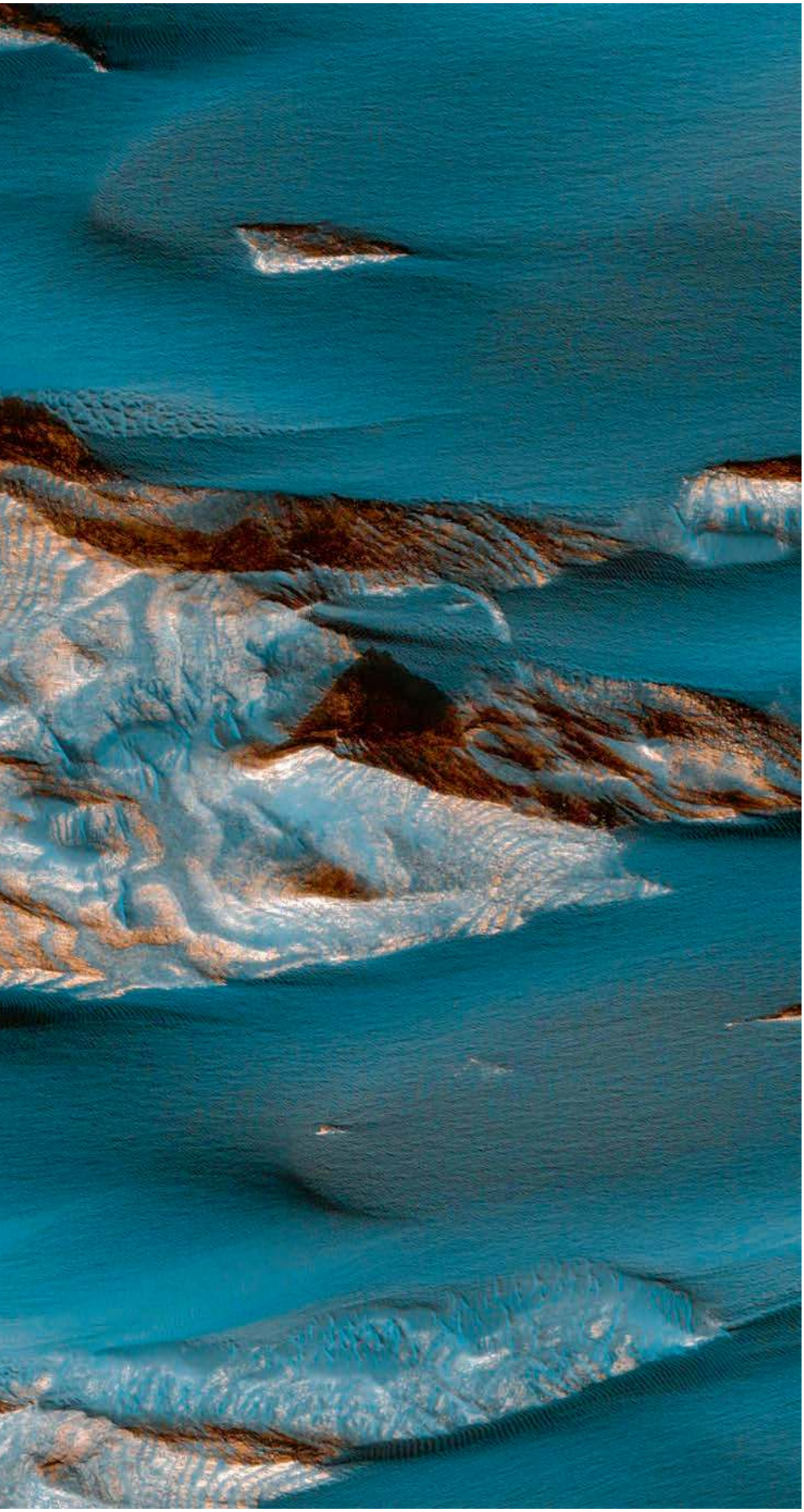

NASA / JPL-CALTECH / UNIVERSITY OF ARIZONA

Zwietrzały piasek kryjący warstwy skał osadowych w marsjańskim kanonie Ganges Chasma.

w tym dziwnego; w końcu ciśnienie na powierzchni Wenus jest podobne do tego panującego na głębokości 900 m oceanu.

Z kwarcu, bazaltu i lodu...

Materiał, z którego zbudowane są wydmy, to zwykle białawy kwarc – taki tworzy nasze bałtyckie plaże. Na Ziemi kwarc stanowi główny materiał budulcowy wydm, ponieważ spośród powszechnie występujących minerałów jest najbardziej odporny na wietrzenie chemiczne na powierzchni naszej planety. Pozostałe składniki, z jakich zbudowane są skały, znacznie szybciej rozpuszczają się w kontakcie z wodą i w rezultacie na miejscu pozostaje tylko kwarc.

Czasem na Ziemi natknąć się można jednak na wydmy z nietypowych materiałów. W amerykańskim parku narodowym White Sands można znaleźć przeraźliwie białe wydmy zbudowane z gipsu. Gips jest niemal przeciwnością kwarcu – jest jednym z najbardziej delikatnych i bardzo łatwo rozpuszczalnych w wodzie minerałów, dlatego teoretycznie nie powinien nigdy stanowić materiału do budowy wydm. Jest to możliwe tylko ze względu na bardzo specyficzną budowę geologiczną tego obszaru. White Sands jest terenem bezodpływowym, położonym na pustyni zbudowanej ze skał bogatych w gips. Oznacza to, że za każdym razem gdy pada, woda powoli wypłukuje nowe pokłady gipsu i przemieszcza je w najniższe dostępne miejsce. Gdy woda wyparowuje, wykrystalizowują się nowe minerały gipsu, które potem mogą być rozdrobnione i przenoszone przez wiatr, aby tworzyć wydmy. Podobne pole gipsowych wydm nie mogłoby istnieć w żadnej innej konfiguracji geologicznej.

O ile wydmy na Ziemi są w większości białe lub żółte, o tyle podobne formy na Marsie i na Wenus są w niemal w stu procentach czarne. Wynika to z tego, że piasek na tych planetach składa się nie z kwarcu, ale z rozdrobnionego bazaltu – skały, w którą zastyga lawa np. na Hawajach. Dlaczego? O ile ziemskie kontynenty w dużej części składają się ze skał bogatych w kwarc, o tyle na innych planetach minerału tego prawie nie ma. Ot, kolejny subtelny sposób, na jaki nasza planeta zaznacza swoją wyjątkowość. W niektórych przypadkach również ↦

↦ na Ziemi możemy znaleźć takie bazaltowe wydmy. Jest tak np. na Islandii, gdzie skał innych niż bazalty właściwie nie ma.

Wydmy zbudowane z jeszcze dziwniejszego materiału można znaleźć na Tytanie, największym księżycu Saturna. Tytan jako jedyne ciało niebieskie poza Ziemią ma nie tylko gęstą atmosferę o ciśnieniu podobnym do ziemskiego, ale i cykl pogodowy, jednak z opadami nie wody, lecz płynnego metanu i etanu. Tam właśnie w okolicach równika znajdują się długie na dziesiątki kilometrów i wysokie na ponad sto metrów wydmy. Na powierzchni Tytana nie ma ani kwarcu, ani nawet bazaltu. Z czego więc składają się wydmy na tym księżycu? Jest tam tak zimno (-180 st. C), że woda zamienia się w odmianę lodu, której nie znamy z naszej własnej planety. Lód ten jest bardziej sztywny i zachowuje się zupełnie jak ziemskie skały – może być erodowany przez szerokie meandrujące rzeki płynnego metanu, występujące na powierzchni Tytana, oraz rozdrabniany i przesypywany wiatrem w gigantyczne wydmy.

...pod wodą i w próżni

Jeżeli dokładniej przyjrzymy się wydmom, okaże się, że nawet wiatr nie jest konieczny do ich powstania. Wystarczy jakakolwiek ciecz, np. woda. Pod powierzchnią mórz i na dnach rzek można często zaobserwować ripplemarki – podobne do tych występujących na powierzchni wydm. Tworzą się one bardzo podobnie do tych powietrznych, ale ze względu na większą gęstość wody mogą składać się nie tylko z niewielkich ziaren piasku, ale nawet ze sporych kamieni: woda może przenosić cięższe fragmenty skał niż wiatr.

Te różnice między wodą i powietrzem pozwalają rozpoznać, czy dany piaskowiec powstał w rzece czy na pustyni. Skały, które powstały w środowisku wodnym, składają się z fragmentów o różnych wielkościach – od pyłu aż do sporych kamieni. Wiatr jest znacznie bardziej wybiórczy, jeżeli chodzi o wielkość ziaren, jakie jest w stanie nieść: pył jest łatwo wywiewany na znaczne odległości (np. cząsteczki z Sahary czasami trafiają aż do Polski), a żwirki i kamienie pozostają w miejscu, tworząc tzw. bruk deflacyjny, czyli płaską powierzchnię pomiędzy wydmami, wyłożoną gęsto upakowanymi kamieniami. Jedynymi cząsteczkami, jakie może przemieszczać wiatr, są ziarenka piasku – i to też zwykle tylko te o bardzo wąsko określonym rozmiarze. W rezultacie materiał przewiewany przez wiatr składa się wyłącznie z ziaren o zbliżonych średnicach. Tę zależność można wykorzystać do stwierdzenia, z jaką prędkością wiał wiatr lub płynęła rzeka – im większy kamień, tym większa musi być prędkość ośrodka, żeby go w ogóle ruszyć z miejsca. Dzięki temu w 2013 r. łazik Curiosity był w stanie nie tylko potwierdzić istnienie rzek na Marsie, ale nawet policzyć głębokość rzeki (do maksymalnie jednego metra) i prędkość strumienia (do 0,75 m/s).

Pluton miał być martwy, pusty i zimny, tymczasem badacze ujrzeli na nim góry, lodowce, wulkany i... wydmy.

Mimo że jeszcze niedawno wydawało się to niemożliwe, wydmy mogą czasem powstać w warunkach, jakie w ziemskich laboratoriach określilibyśmy jako całkiem wysoka próżnia. A to dzięki danym wysłanym w tym samym 2015 r. przez dwie misje: New Horizons, która przeleciała koło Plutona, i Rosetta, która orbitowała dookoła komety Czuriumow-Gierasimienko, zwanej też, na szczęście, 67P.

Przed dotarciem do nas zdjęć z Plutona większość z naukowców spodziewała się zobaczyć coś w rodzaju powierzchni asteroidy – nagiej skały podziurawionej większymi i mniejszymi kraterami uderzeniowymi. Naszym oczom ukazały się jednak wysokie góry zrobione z superzimnego lodu, wulkany wyrzucające w przestrzeń kosmiczną azot, lodowce z mieszanki zestalonego azotu, dwutlenku węgla i metanu... i wydmy.

Wydmy na powierzchni planety (karłowatej), gdzie ciśnienie atmosferyczne jest sto tysięcy razy niższe niż to na Ziemi, były tak absurdalnym odkryciem, że na początku uznano, iż musi to być błąd w danych. Ale im dokładniej analizowaliśmy dane, tym bardziej wydmy wydawały się tam być. W jaki sposób ziarenka mogły zostać usypane w dobrze znane nam wydmowe kształty, gdy praktycznie nie ma wiatru, który mógłby je popychać? Badania opublikowane w maju tego roku wskazują, że dzięki specyficznemu zbiegowi okoliczności powstanie tam wydm było właściwie nieuniknione. Po pierwsze, dzięki temu, że Pluton jest tak mały, z mniejszą niż na Ziemi siłą przyciąga wszystko na swojej powierzchni: potrzeba więc znacznie mniejszej siły, żeby przenieść ziarenko z jednego miejsca na drugie. Po drugie, materiał, z którego zbudowane są wydmy, to najprawdopodobniej zamarznięty na kość metan, który jest lżejszy od podobnego ziarenka z kwarcu. I po trzecie, niektóre obszary na Plutonie nieustannie sublimują, czyli zmieniają się z ciała stałego w gaz. Dzięki temu ziarenka metanowego piasku „lewitują" bezpośrednio nad powierzchnią i wystarcza bardzo, bardzo słaby wiaterek w rzadkiej plutonowej atmosferze, żeby przepchnąć je dalej i utworzyć wydmy.

Absolutnie już niedorzeczne wydawało się odkrycie długich na kilkadziesiąt metrów, aktywnych wydm na komecie 67P w 2015 r. Kometa ta, mająca zaledwie ok. 4 km wzdłuż najdłuższej osi, nie ma wystarczającej masy, żeby móc grawitacyjnie utrzymać przy sobie znaczącą atmosferę, w której mogą wiać wiatry. Jak zmierzył to lądownik Philae misji Rosetta, nawet przy samej powierzchni maksymalne średnie ciśnienie gazów jest grubo ponad 100 tysięcy razy mniejsze niż te na Ziemi.

Tym razem odpowiedzialne okazały się wybuchające od czasu do czasu spod powierzchni dżety – gęste strumienie gazu i cząsteczek materiału tworzącego kometę: ten sam uwolniony materiał, który z Ziemi widzimy jako ogon komety. Prędkość takiego strumienia wynosi ponad sto metrów na sekundę. To wystarcza do przemieszczania nie tylko ziaren piasku, ale i sporych kamieni. Tak właśnie, w kilka sekund, może na powierzchni komety wyrosnąć długa na kilkadziesiąt metrów góra piasku. Dodatkowo okazuje się że różnica ciśnień pomiędzy oświetloną a ciemną stroną komety wystarcza do wywołania wiatru, który może przenosić drobinki piasku.

Po raz kolejny sprawdza się więc złota zasada geologii planetarnej: choć struktury występujące na innych ciałach Układu Słonecznego bywają łudząco podobne do ziemskich – i to dlatego mówimy bez wahania o „wydmach" na Tytanie czy „wulkanach" na Marsie – to jednak najbardziej interesujące są wszystkie te małe, subtelne różnice. Każda planeta, każdy księżyc i każdy okruch skalny to swoisty twór, a poznając ich indywidualne cechy, przejawiające się choćby w wydmach, coraz lepiej poznajemy własną planetę.

© ANNA ŁOSIAK

WOJCIECH

Bonowicz: *Mój głos w sprawie narzędzi*

Wiem, czego chcecie, ale ja nie będę już więcej szydził. Nie ma sensu szydzenie z kogoś, kto szydzi sam z siebie. Możliwe, że jest najśmieszniejszym prezydentem świata, tylko kogo to obchodzi poza nami? Świat aż tak bardzo się tym nie interesuje. Widział już różne rzeczy, a większości nie widział, bo akurat patrzył w inną stronę. Poza tym – wszystko jest kwestią interpretacji. Że starszy siedzi, a młodszy stoi, to jest nawet kulturalne, nieprawdaż?

Wybory coraz bliżej, więc i interpretacji przybywa. Fakty, jak wiadomo, w wyborczej walce nie mają znaczenia. Natomiast interpretacja ma znaczenie, że ho ho. Niektórzy kandydaci z owego ho ho uczynili wręcz główny motyw swoich wystąpień. Przoduje w tym premier, który wprawdzie nigdzie nie kandyduje, ale wspiera. Ho ho, jak on wspiera! Budzę się i czekam, co nowego dziś usłyszę. W domu i w szkole uczono mnie wprawdzie, że nie należy przypisywać sobie cudzych osiągnięć, ale to było dawno. Wtedy w ogóle źle uczono, za kłamstwo dostawało się karę, choćby symboliczną. Dzisiaj kłamstwo to po prostu skrót myślowy albo metafora i nie ma za co karać. Źle zrozumiałeś metaforę – twój problem. Nastały czasy postprawdy i samochwalstwa. Pogódź się z tym albo nie pogódź, wszystko jedno, bo i tak nikogo to nie obchodzi. A na pewno nie tych, którzy ho ho i na całego.

No, trochę nakłamałem w powyższym akapicie. Wcale nie budzę się i nie czekam. Powiem więcej – nie czekam tak bardzo, że wszystko dociera do mnie z opóźnieniem. Wszyscy zdążą już oburzyć się lub obśmiać, rozesłać memy i rysunkowe żarty, napisać komentarze, a nawet komentarze do komentarzy. Dziennikarze, co niegdyś nazywali siebie niepokornymi i wytykali innym, że w służbie nieprawdy pracują, dziś najpokorniej łykają nieprawdy jak kluski. Za poprzedniego rządu niektórych z nich można było czytać z pożytkiem, stać ich było nawet na krytycyzm wobec obozu, który reprezentowali. Dziś dmuchają w żagle władzy z całych sił, nie przejmując się, w którym kierunku okręt płynie. A przy tym jeden drugiego pilnują, żeby żaden dmuchać nie zapominał. Jak komuś wyrwie się, że np. reforma szkoły wcale nie wspaniała, bo dzieci po szkołach do nocy siedzą, zaraz go inni czapkami nakryją, a sami dmuchają dalej. Widok smutny, choć nie zaskakujący, niestety.

Pytacie mnie na spotkaniach, co się stało z demokracją. A demokracja to przecież tylko narzędzie – trzeba o nie dbać, czyścić, oliwić i stale przypominać sobie, do czego służy. Bo jak każdego narzędzia, także i tego można rozmaicie użyć. W pewnej wsi pod Krakowem, jeszcze za sanacji, jeden z gospodarzy kupił irygator, taki do leczenia zwierząt. Irygator był profesjonalny, z instrukcją objaśniającą, co i jak robić, i z porcją soli glauberskiej na przeczyszczenie. No ale ludzie, jak to ludzie – zaczęli go używać również w innych celach. Przybiega któregoś dnia chłopak z sąsiedniej wsi: „Matka proszą, żebyście pożyczyli tego czegoś, co to koniowi robicie lewatywę". „A co", pyta gospodarz, „koń wam zachorował?". „E nie, ino tatuś".

Złota zasada postępowania mówi: cokolwiek byś zrobił, będziesz żałował. Z wyborami, niestety, tak właśnie bywa. Idziesz, wybierasz, a potem żałujesz, że dałeś się namówić – bo wybierałeś nieprzekonany, przeciwko komuś, a nie za kimś, bo twój kandydat czy kandydatka nie przeszli albo okazali się rozczarowaniem, itd. Nie wiem, czy myśl, że wybory to ważny moment sprawdzania całego tego mechanizmu, może ten żal zmniejszyć. Ale byłoby szkoda, żeby żal decydował o tak ważnych sprawach jak to, czy lekarstwo dobre dla konia można podać człowiekowi. Bo ostatecznie ktoś przecież na taki pomysł może wpaść, a już szczególnie władza, która dla koni nie ma specjalnego zrozumienia. ©

REKLAMA

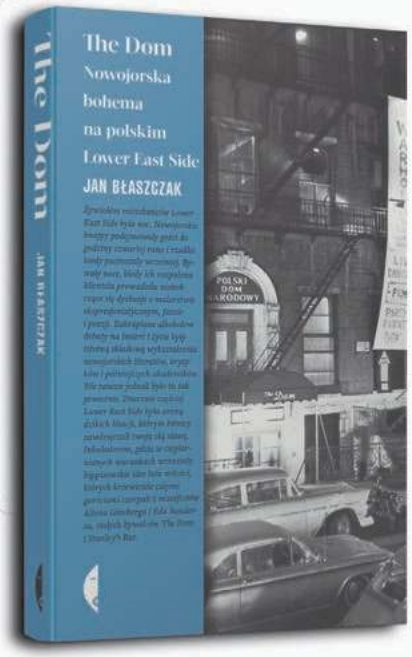

seria Amerykańska

JAN BŁASZCZAK

The Dom

Nowojorska bohema na polskim Lower East Side

Kim był Polak Stanley Tolkin, który w swoich nowojorskich klubach gościł Andy'ego Warhola i The Velvet Undergound?

Doskonałe literackie śledztwo Jana Błaszczaka, w którym pomagają bitnikowskie poetki, afroamerykańscy pisarze i potomkowie polskich emigrantów.

BOOKLIPS.PL CzasKultury CZARNE.COM.PL

NIECH ŚLEPY PROWADZI KULAWEGO

Oto wydarzenie literackie roku: obsypany najważniejszymi nagrodami „Lincoln w Bardo" George'a Saundersa. Znów okazuje się, że najlepiej naszą historię opowiadają zaświaty.

MACIEJ JAKUBOWIAK

George Saunders jest pisarzem klęski. „Bylim na dnie i jeszcze spadlim" – mówi Betsy Baron, jedna z postaci „Lincolna w Bardo", w imieniu nie tylko swoim, ale całej rzeszy bohaterów i bohaterek, którzy w książkach amerykańskiego autora doświadczają niepowodzeń, spektakularnych porażek albo zwyczajnego braku szczęścia. Nie oznacza to, że Amerykanin uprawia jakąś wyrafinowaną formę literackiego sadyzmu. Bierze on raczej – dosłownie – stronę przegranych, którym towarzyszy do samego końca (albo i dłużej). I nie stroni przy tym od śmiechu.

Skradziony czas

Nie bez znaczenia jest fakt, że sam nieprędko odniósł sukces. Urodził się w 1958 r., pierwszą książkę wydał dopiero jako 38-latek. Na początku lat 80. ukończył studia z geoinżynierii i przez pewien czas pracował w firmie poszukującej złóż ropy na Sumatrze. Po powrocie do Stanów podejmował się rozmaitych zajęć, m.in. przy remontach dachów, w sklepie i w rzeźni.

W 1986 r. rozpoczął studia z kreatywnego pisania na Syracuse University, gdzie poznał przyszłą żonę, Paulę, z którą ma dwie córki. Studia pisarskie nie przyniosły przełomu w karierze literackiej, do 1996 r. pracował jako redaktor dokumentacji technicznej, najpierw w firmie farmaceutycznej, później w branży inżynierii środowiskowej. Był tam – jak sam twierdzi – specjalistą od okładek i kserowania, ale zajmował się też streszczaniem raportów (wyabstrahowany i bezosobowy język naukowo-techniczny stanie się jego ulubionym przedmiotem parodii). W tym czasie ledwo wiązał koniec z końcem, przybierał na wadze i przyzwyczajał się do własnej klęski. Wcześniej było mu blisko do reaganowskiego neoliberalizmu, ale stopniowo docierało do niego, jak źle kapitalizm obchodzi się z tymi, którym się nie powiodło.

Nadziei na odmianę losu Saunders upatrywał w pisarstwie, ale pierwsze próby, w których usiłował naśladować mistrzów: Hemingwaya, Steinbecka, Joyce'a, Babla, Carvera – okazały się rozczarowujące. Przełom przyszedł, kiedy zdał sobie sprawę, że literatura może być zabawna. I że najlepiej mu się pisze, kiedy wykorzystuje swoje naturalne skłonności do humoru, absurdu, nieprzyzwoitości i oszczędnego języka.

Debiutanckie opowiadania tworzył – jak sam przyznaje – w czasie skradzionym firmie: czekając na ksero, w łazience albo w przerwach od kompilowania raportów. W 1992 r. „New Yorker" przyjął jego pierwsze opowiadanie, a cztery lata później pisarz doszlusował wreszcie do szczytu amerykańskiego snu w wersji dla literatów: otrzymał posadę wykładowcy kreatywnego pisania na tej samej uczelni, którą ukończył dekadę wcześniej. Opublikował w sumie cztery tomy opowiadań, zbiór esejów, książkę dla dzieci, kilka pomniejszych tekstów, a ostatnio również powieść, „Lincolna w Bardo", za którą w 2017 r. zdobył Nagrodę Bookera.

Najgorzej i jeszcze gorzej

Bohaterów, którzy wydobywają się z nędzy i osiągają szczyty, u Saundersa się nie znajdzie. Interesuje go raczej, co się dzieje po tym, kiedy ludzie upadają na dno. Jak można żyć, kiedy straciło się nie tylko pieniądze, pracę, dobre imię, rodzinę, ale przede wszystkim nadzieję. „Przychodzi w życiu taki czas, kiedy zmęczony przegrywaniem decydujesz, że przestaniesz przegrywać, i dalej przegrywasz. Wtedy decydujesz, że naprawdę przestaniesz przegrywać, i dalej przegrywasz. Przegrywanie toczy się i toczy tak długo, że w końcu zaczynasz przyglądać się z zaciekawieniem, jak nisko możesz upaść" – wyznaje bohater opowiadania „Christmas".

Narrator „The Wavemaker Falters" (z debiutanckiego tomu „CivilWarLand in Bad Decline") przez zaniedbanie w pracy doprowadza do śmierci chłopca, który teraz nawiedza go nocami. Czy może być gorzej? Życie małżeńskie bohatera stopniowo obumiera, a żona porzuca go dla jego szefa. Jeszcze gorzej? Ojciec zabitego chłopca decyduje się na zemstę i już trzyma palec na spuście strzelby. Najgorzej? Mężczyzna nie ↦

DAVID LEVENE / EYEVINE / EAST NEWS

↦ strzela, a bohater orientuje się, że posikał się ze strachu.

Czasem jednak Saunders pozwala swoim postaciom nie tyle na ratunek, ile na przedłużenie nadziei. Jeden z bohaterów tytułowego opowiadania ze zbioru „10 grudnia" (wydanego po polsku w przekładzie Michała Kłobukowskiego), cierpiący na demencję staruszek, chce odebrać sobie życie, aby oszczędzić bliskim uwłaczającej opieki. Gdy jest już gotów odejść, zauważa tonącego w jeziorze chłopca, więc znajduje w sobie ostatnie siły, by wyciągnąć go z wody. Wtedy zdaje sobie sprawę, że przyznanie się do słabości może być lepsze niż śmierć. Właśnie tak wygląda ocalenie w prozie Saundersa: ślepy poprowadzi kulawego.

Rynkowy mechanizm narracyjny

Krajobrazem literatury Saundersa jest świat późnego kapitalizmu, którego mieszkańcy nie chodzą do pracy, lecz w niej żyją, pospolite przedmioty stają się zastrzeżonymi markami, a reklama wypiera inne formy komunikacji. Figurą tej korporacyjnej rzeczywistości jest wesołe miasteczko – kiczowata, szczelnie oddzielona od reszty świata fikcja, rządząca się własną absurdalną logiką. Role są tu rozdawane arbitralnie – jednego dnia można być Woźnym, następnego już Kroczącym Wartownikiem (jak w „Moim rycerskim fiasku" ze zbioru „10 grudnia") – ale ich ścisłe odtwarzanie jest bezwzględnie egzekwowane przez sadystycznych szefów.

Rynek pracy, z autonomiczną, wypraną z moralnych dylematów racjonalnością, staje się w rękach Saundersa mechanizmem narracyjnym. Za jego sprawą można pchnąć nawet przyzwoitych ludzi do małych podłości. W tytułowym opowiadaniu z tomu „Pastoralia" (2000) dwoje bohaterów odgrywa całodobowo role jaskiniowców objadających się pieczoną dziczyzną. Podczas gdy on stara się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki, bo tylko w ten sposób może zdobyć pieniądze na leczenie syna, ona co chwilę wychodzi z roli, bo trudno jej się pogodzić z absurdem pracy. Jednak pod presją zarządu ta delikatna równowaga – on chroni ją przed szefostwem, ona zapewnia mu odrobinę człowieczeństwa – zmienia się w konflikt, z którego tylko jedna strona może ujść z życiem.

Oczywiście literatura również tworzy fikcje. Jeśli jednak kicz wesołego miasteczka i żargon korporacyjny usiłują za wszelką cenę ukryć to, co stanowi ich mroczną istotę, to literatura – przekonuje Saunders – ma przybliżać do prawdy.

Językami ludzi i zwierząt

W wykładach dla studentów Saunders powtarza, że pisarz powinien unikać słów, których inteligentni czytelnicy mogą domyślić się sami. Stąd lakoniczność jego prozy, ale również jej niebywała gęstość, pozwalająca za pomocą paru słów zarysować skomplikowane motywacje nawet pobocznych postaci. Kiedy przykłada tę metodę do swoich tekstów, efekty bywają spektakularne. Jak w „Patykach" (z „10 grudnia"), w których na zaledwie trzech stronach opowiada dzieje rodziny i ojca, który zbyt późno zaczyna żałować swojej surowości.

Nie chodzi tylko o rzemiosło. Saunders podnosi skreślanie do rangi światopoglądu. Redagowanie staje się sposobem myślenia i komunikacji. W tytułowym eseju ze zbioru „The Braindead Megaphone" pisarz przeciwstawia tę metodę mediom masowym, których pośpiech, nierzetelność, a przede wszystkim niedbałość o język sprawiają, że upraszczają obraz rzeczywistości i skłaniają (bezpośrednim kontekstem jest tu wojna w Iraku) do podejmowania pochopnych decyzji.

Stąd bierze się nieufność Saundersa wobec bezmyślnie powtarzanych klisz i banałów. Tymczasem literatura, ta wymagająca – od siebie nieustannego kwestionowania zapisanych zdań, od czytelników aktywnego uczestniczenia w tworzeniu sensów – spowalnia odruchy, skłania do myślenia, a w konsekwencji buduje bardziej złożony i niejednoznaczny obraz świata. Nie chodzi tu o żadną metafizykę, to kwestia techniki: im wolniej się pisze, tym lepiej się myśli.

Nie znaczy to, że pisarstwo Saundersa jest ascetyczne. Przeciwnie, te wszystkie dojmujące historie o porażkach i upokorzeniach bywają zarazem szalenie zabawne. Nie ma w tym sprzeczności: upadki, nawet bolesne, w swojej mechanicznej powtarzalności stają się – jak w slapstickowych tragikomediach – śmieszne. Ale humor w tej literaturze bierze się jeszcze skądinąd: Saunders mówi językami. Wykorzystuje odległe od siebie konwencje i style, przeskakuje między epokami, a każda z postaci zostaje obdarzona wyjątkową dykcją. Pisarz chętnie zderza ze sobą nieprzystawalne żargony i potrafi – bo czemu nie? – stworzyć narrację z perspektywy lisa, który nauczył się angielskiego, podsłuchując matkę czytającą dziecku powieści Dickensa („Fox 8"): „Lekcja, kturom wyniosłem z nocy spendzonych pod tym Judzkim oknem, jest taka: dobry pisasz sprawi, że dżytelnig poczuje się tak źle jak Judź w opowiadanej istorii".

Więcej literatury

Przyglądając się swoim upadającym raz po raz postaciom, Saunders obdarza je współczuciem i życzliwością. To nie tylko sentymentalne odruchy, lecz również sposoby lepszego zrozumienia pozornie jedno-

TP

Jazz nie jest martwy, a jedynie śmiesznie pachnie

– głosił w swym bon mocie Franka Zappa.

Słowa te mogłyby być hasłem tegorocznego Festiwalu Jazz Jantar. W gdańskim klubie Żak na przełomie października i listopada będziemy mogli usłyszeć to, co najnowsze, najmłodsze i, miejmy nadzieję, najciekawsze we współczesnym jazzie: nowa scena brytyjska, islandzka, litewska i polska; gwiazdy pianistyki – Vijay Iyer Sextet, George Burton Quintet i Aaron Diehl Trio, a także czołowi awangardziści: oktet gitarzystki Mary Halvorson, Quadrinity perkusisty Grega Foxa czy trio Pulverize the Sound znakomitego trębacza Petera Evansa.

Przewodnik po tym nieprzewidywalnym muzycznym świecie przedstawimy Państwu w specjalnym dodatku, w następnym numerze „TP".

znacznych zachowań. Najlepiej to widać w opowiadaniach, w których Saunders pozwala czytelnikom oglądać to samo zdarzenie z różnych punktów widzenia. W „Szczeniaku" chłopiec uwiązany łańcuchem do drzewa może być – z perspektywy klasy średniej – świadectwem barbarzyństwa amerykańskich „bidoków", ale może również okazać się przejawem nieporadnej troski okazywanej przez zniszczoną życiem matkę.

To rozumiejące współczucie może budzić konfuzję, gdy Saunders obdarza nim tych, którzy – zdawałoby się – wcale na to nie zasługują. W opowiadaniu „Isabelle" (z tomu „CivilWarLand in Bad Decline") przemocowość i rasizm pewnego policjanta okazują się odreagowaniem frustracji związanych z samotnym wychowywaniem niepełnosprawnej córki. Pisarz nie umniejsza zła, ale za każdym razem usiłuje zrozumieć jego motywacje. A do tego nie ma innej drogi niż wejście, choćby na chwilę, w buty złoczyńcy. Jest w tym pewien rys determinizmu, który za działaniami jednostki każe dopatrywać się wpływu genów, wychowania, społeczeństwa, ekonomii. Pisarz nie chce jednak uniewinniać, lecz zmieniać świat na lepsze.

Tak, Saunders jest moralistą, ale nie uprawia łatwego moralizatorstwa. W reportażach o działalności organizacji strzegących granicy amerykańsko-meksykańskiej („The Great Divider" w tomie „The Braindead Megaphone") oraz o zwolennikach Donalda Trumpa („New Yorker" z lipca 2016) przede wszystkim rozmawia. I próbuje zrozumieć, jak to możliwe, że przyzwoici i sympatyczni na co dzień ludzie potrafią zionąć nienawiścią i wykrzykiwać rasistowskie hasła. Nie rezygnuje z prób przekonywania, tyle że nie przy użyciu abstrakcyjnych argumentów, lecz narracyjnego konkretu.

Kiedy opowiada historie meksykańskich rodzin, które zdecydowały się nielegalnie przekroczyć granicę, jego rozmówcy (tak przynamniej twierdzi) tracą polityczny animusz. To literatura – trzymająca się szczegółu, unikająca łatwych sądów, komplikująca obraz świata – okazuje się lekarstwem na polityczny radykalizm.

Pospólstwo

„Lincoln w Bardo" zbiera motywy obecne we wcześniejszej twórczości Saundersa, ale zarazem rzuca na nie nowe światło. Historia Abrahama Lincolna, który przeżywa żałobę po śmierci swojego 10-letniego syna, staje się pretekstem do stworzenia fantastycznie gęstej konstrukcji literackiej.

> Bohaterów, którzy wydobywają się z nędzy i osiągają szczyty, u Saundersa się nie znajdzie. Interesuje go raczej, **co się dzieje, kiedy ludzie upadają na dno.**

Akcja toczy się właściwie w ciągu jednej nocy i w jednym miejscu – na cmentarzu. Dla Lincolna to przygnębiająca przestrzeń przechowująca szczątki jego dziecka, ale po drugiej stronie dzieje się znacznie więcej. W bardo – według buddyjskich wierzeń przestrzeni, gdzie przebywają dusze oczekujące na reinkarnację – toczy się życie głośnego tłumu. Obok Hansa Vollmana, Rogera Bevinsa III i wielebnego Everly'ego Thomasa, grających pierwsze skrzypce, jest jeszcze 70 innych postaci, które łączy przekonanie, że przyszło im czekać na powrót do zdrowia. Pojawienie się wśród nich małego Lincolna wywołuje spore poruszenie, a bohaterowie usiłują pomóc chłopcu w wyruszeniu w dalszą drogę.

Równolegle snuje się opowieść o okolicznościach śmierci chłopca, złożona z wypisów z dokumentów historycznych, opracowań oraz fikcyjnych cytatów, nierzadko wzajemnie sobie przeczących. W Stanach Zjednoczonych toczy się wojna secesyjna, na polach bitew tysiącami zalegają polegli żołnierze, prezydent spotyka się z rosnącą krytyką, a choć jego syn walczy o życie, Lincoln nie odwołuje hucznego balu. „Lincoln w Bardo" to pod względem formalnym w zasadzie dramat, choć wypowiadane kwestie są podpisywane nie na początku, lecz na dole, tak jak cytaty (co nie jest bez znaczenia dla konstrukcji książki). Ich zagęszczenie sprawia jednak, że z tego wielogłosu wyłania się wartka opowieść.

Powieściowa metafizyka była już właściwie gotowa w pierwszej książce Saundersa, gdzie duchy zmarłych nawiedzają żyjących albo zajmują się swoimi sprawami. Również postaci wypełniające „Lincolna w Bardo" przypominają bohaterów wcześniejszych opowiadań: są tu biedacy, okrutni właściciele ziemscy, przyzwoici ludzie, którym się po prostu nie powiodło itd. Jest wreszcie językowe bogactwo, w tym wypadku jeszcze bardziej imponujące: każdy z pojawiających się głosów brzmi odmiennie, samym stylem ujawniając czasem więcej niż słowami. Michał Kłobukowski, trzeba podkreślić, poradził sobie z tym znakomicie, biegle operując różnymi rejestrami dawnej polszczyzny.

W „Lincolnie" Saunders tworzy dla swoich literackich obsesji spójną ramę, która pozwala wybrzmieć im z pełną wyrazistością. Jednak za sprawą przeniesienia akcji w przeszłość oraz rozbudowania planu zaświatów charakterystyczna dla pisarza krytyka nabiera tu nowych znaczeń. Klęski i nieszczęścia nie są już uwarunkowane przez rynek, ale zostają wpisane w samą kondycję ludzką.

Mieszając buddyjskie bardo z chrześcijańskim czyśćcem, Saunders każe niektórym z duchów wypełniać pokutę za cierpienie wyrządzone za życia. Jest tak, jakby czyjaś ręka wymierzała sprawiedliwość, której wcześniej zabrakło.

Czy oznacza to, że Saunders stępia ostrze krytyki wymierzonej we współczesną Amerykę, uznając, że świat jest z natury zły i nie ma sensu nic z tym robić? Nie do końca. W zakończeniu reportażu o zwolennikach Trumpa Saunders pisał: „Nigdy wcześniej nie wyobrażałem sobie, że Ameryka jest tak krucha, jak eksperyment, który w trakcie mojego życia może się nie powieść". Jednak w „Lincolnie w Bardo" pisarz wskazuje na równie niepewny moment w historii Ameryki, kiedy wszystko mogło się zawalić, a krytycy demokracji zyskać argument, że – jak z obawą powtarza podsłuchiwany przez duchy Lincoln – „pospólstwo nie umie samo się rządzić". Sprawa jednak wciąż jest do uratowania, a jej powodzenie zależy od tego, jak się ułoży relacje z tymi najbardziej pognębionymi przez życie – umarłymi.

Nie chodzi tu więc o rezygnację, ale o nieustannie rozgrywane napięcie: między ludzką naturą, której nie naprawi żaden bóg, a uparcie ponawianym wysiłkiem uczynienia życia innych odrobinę znośniejszym. Tak, aby mogli z Rogerem Bevinsem III choć przypuszczać: „Może jednak nie byliśmy aż tak miłości niegodni, jakeśmy sądzić przywykli".

© MACIEJ JAKUBOWIAK

George Saunders, **LINCOLN W BARDO,** *przeł. Michał Kłobukowski, Znak 2018*

KINO ŚWIAT

Joanna Kulig w filmie „Zimna wojna"

Z drugiej strony widać lepiej

ANITA PIOTROWSKA

Zakończył się 43. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni. Konkurs główny był nadzwyczajnie bogaty. Obok mocnych filmów zaangażowanych wybijały się te, które wyrazistym charakterem pisma wyrażały stany najbardziej intymne.

Wygra ten „Kler" czy jednak nie? Odważą się czy ugną pod polityczną presją? Tego rodzaju spekulacje, wywołane paniką albo ekscytacją („Smarzowski nawołuje do antykościelnej rebelii!" lub „Nareszcie ktoś pokazał, jak jest!"), poprzedzały rozdanie gdyńskich nagród. Okazało się to sporem drugorzędnym. Jury na czele z Waldemarem Krzystkiem doceniło wagę „Kleru" (przyznając mu nagrodę specjalną oraz Jagnie Janickiej za scenografię), podobnie jak publiczność, dziennikarze, kina studyjne oraz festiwale polskich filmów za granicą. Ale wygrała „Zimna wojna", czyli artystyczna, nie publicystyczna twarz polskiego kina, o zupełnie innej sile

oddziaływania. Film Pawła Pawlikowskiego tak mocno wyróżniał się swoją czystością, że można darować sobie spiskowe teorie.

Okolice religii

Niewątpliwą zasługą „Kleru", prócz tego, że bezpośrednio nawołuje do dyskusji o miejscu Kościoła w dzisiejszym społeczeństwie, nade wszystko zaś do rozliczenia go z ukrytych grzechów, jest postawienie pytania o pozycję artysty w dzisiejszej Polsce. Dlaczego reżyser zmuszony był kręcić część zdjęć w Czechach? Czy dziś Polski Instytut Sztuki Filmowej ze swoim nowym dyrektorem sfinansowałby ten niewygodny dla wielu projekt? Ale są też pytania z innej parafii: o skuteczność tego rodzaju kina. Czy zastosowany przez reżysera „przesadyzm" w opisie kościelnych patologii tylko rozgrzebie mrowisko, czy przyczyni się choć trochę do jego oczyszczenia? Czy kogoś obrazi, zniesmaczy, zaszokuje, czy jednak może, mimo wszystko, skłoni do refleksji?

Z pewnością Smarzowski dotarł tam, gdzie nie udało się zbliżyć innym twórcom krytycznym wobec polskiej rzeczywistości: Małgorzacie Szumowskiej w „Twarzy" i Andrzejowi Jakimowskiemu w „Pewnego razu w listopadzie". Przeskoczył bowiem poziom karykatury, publicystykę zamienił na przypowieść, by ostatecznie zafundować widzowi przejście przez czyściec. Nie stworzył przy tym arcydzieła – raczej kolejne dzieło do szpiku „smarzowskie": wyciosany siekierą „ostry film zaangażowany", który ma jednocześnie śmieszyć i boleć (więcej o „Klerze" w następnym numerze „Tygodnika").

Co ciekawe, tuż obok filmu, który uderza w zdeprawowanych księży, pokazano w Gdyni tytuły mocujące się na poważnie z samą istotą religijności. Bartek Konopka w „Krwi Boga" w średniowiecznym kostiumie i etnograficznej scenerii odbywa krucjatę do źródeł religii. Grany przez Andrzeja Pieczyńskiego samotny rycerz, próbujący schrystianizować pogańską wyspę, staje w obliczu innego *sacrum*, które każe mu zrewidować pojęcie wiary. I byłby to kolejny traktat o związkach religii i władzy, o boskim milczeniu, religijnej pysze, miłosierdziu czy założycielskiej roli ofiary, gdyby nie nad wyraz intensywna forma tego filmu, zarówno w warstwie dźwięku, jak i obrazu (nagroda za zdjęcia dla Jacka Podgórskiego). Chwilami film jest tak inwazyjny dla naszych zmysłów, że przestaje być komunikatywny. Docenić jednak należy próbę znalezienia nowego języka dla tego, co archetypiczne, abstrakcyjne i tylekroć już przywoływane na ekranie.

Krzysztof Zanussi w „Eterze" takich wymagań sobie nie stawia. Raz jeszcze ożywia mit faustowski, tym razem u progu I wojny światowej, osadzając akcję filmu w wojskowej twierdzy, gdzieś na pograniczu zaboru rosyjskiego i Austro-Węgier. Lecz choć dotyka kwestii etycznych bardzo dziś istotnych z punktu widzenia rozwijającej się nauki i technologii (bohater eksperymentujący z eterem staje się panem życia i śmierci), całość pozostaje martwa, zastygła w swoim historycznym kostiumie. Czegóż my tu nie znajdziemy: zmierzch dawnej Europy, cyniczny rozum i obłęd, bluźnierstwo i egzorcyzmy, perwersyjne maskarady i rosyjską ruletkę. A do tego mamy jeszcze rzadko oglądanego w kinie Jacka Poniedziałka, który tworzy postać tyleż bezwzględną, co charyzmatyczną. Kiedy jednak podszyta Dostojewskim historia awanturniczo-szpiegowska zyskuje nagle swój diaboliczny rewers, i to bardzo dosłownie podany, wyparowują gdzieś niepokój, tajemnica, cały wszeteczny urok bohatera. Pozostaje wykład o odkupieniu i nieśmiertelnej duszy.

Historie bez histerii

Równie istotne, co zmagania z religią, stały się dla polskiego kina obrachunki historyczne. Zapomnijmy na chwilę o filmach robionych na zamówienie, zgodnych z obowiązującą polityką historyczną czy rocznicowym kalendarzem, bo życie historii odnalazło się gdzieś indziej.

Nagrodzony Srebrnymi Lwami „Kamerdyner" Filipa Bajona odzyskuje dla polskiego kina epikę, aczkolwiek inspiracje filmowymi freskami Viscontiego czy Bertolucciego są tu powierzchowne. Sam reżyser ma zresztą w tym gatunku spore zasługi, choć od czasu największej z nich, czyli „Magnata", minęły już ponad trzy dekady. Tym razem odpomina XX-wieczne dzieje Prus Wschodnich. Zakazana miłość niemieckiej hrabianki i kaszubskiego bękarta, poddana dodatkowo historycznym zawirowaniom, komplikuje odwieczne podziały klasowe i narodowościowe. Prócz odtworzenia nazistowskiego mordu w Piaśnicy, prócz języka kaszubskiego czy barwnej postaci Bazylego Miotke, granej przez Janusza Gajosa i wzorowanej na „królu Kaszubów" Antonim Abrahamie, film przywołuje przede wszystkim okrutną ironię Historii, która lubi poniżać wywyższonych, wywyższać poniżonych, choć nikomu nie przyznaje zwycięstwa.

Nieoczywisty wymiar heroizmu prezentuje także „Ułaskawienie" Jana Jakuba Kolskiego (nagroda za scenariusz oraz dla najlepszej aktorki Grażyny Błęckiej-Kolskiej i dla Moniki Onoszko za kostiumy). Reżyser powraca do rodzinnych Popielaw, by wskrzesić legendę swego wuja, „żołnierza wyklętego", który nie zaznał spokoju nawet po śmierci. Z żałobnego kina drogi, filmowych kronik domowych i motywów rodem z antycznej tragedii składa Kolski niepasującą do dzisiejszej narracji opowieść, oczyszczoną z propagandy, histerycznych emocji, lecz i z nadmiaru realizmu magicznego zwanego niegdyś kolszczyzną. W tej chwilami makabrycznej, a chwilami figlarnej „balladzie z trupem" śmiertelni wrogowie: rodzice zabitego oficera i hitlerowski niedobitek, noszą nawzajem swoje brzemiona – wspólnie dźwigają trumnę, narażają życie, współodczuwają w niedoli.

Jeszcze bardziej brawurowo poczyna sobie z historyczną materią nagrodzony za reżyserię Adrian Panek. W „Wilkołaku" dzieci uwolnione z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen zamieszkują zrujnowany pałac, osaczony przez sfory zdziczałych psów – a może przez byłych esesmanów zamienionych w wilki? Twórca „Daas" czerpie z horroru, choć w gruncie rzeczy gatunek służy tutaj metaforze: mówi o ukąszeniu przez zło, zarażeniu obozem, o szukaniu bestii w człowieku, ale i człowieka w bestii.

Gorzej polskie kino radzi sobie z historią najnowszą. „Autsajder" Adama Sikory dowodzi braku pomysłu na opowiedzenie współczesnym, czym był stan wojenny. Bo to dzisiejsi millenialsi zdają się być adresatami filmu. Bohaterem jest ich rówieśnik, apolityczny student ASP, który zostaje ↦

RDC POLSKIE RADIO

OLAF OSICA opowie o wizycie prezydenta Dudy w USA (tekst na stronie 46) Grzegorzowi Chlaście w środę 26 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

↦ przypadkiem zatrzymany przez milicję i odsiaduje wyrok, najpierw obok górników z „Wujka", to znów w celi z kryminalistami, wreszcie z więźniami politycznymi, którzy odmieniają jego polityczną świadomość. Miała to być zapewne lekcja poglądowa na temat zbrodniczego systemu, przypominająca nam dzisiaj, jak kruchym darem jest wolność. Zabrzmiała cokolwiek anachronicznie, zwłaszcza wobec tego, co proponuje współczesne kino obywatelskie w wydaniu Smarzowskiego czy Szumowskiej.

Autor, autor, autor!!!

Tegoroczna Gdynia była przede wszystkim festiwalem różnorodności, świętem kina autorskiego. Obok filmów zaangażowanych, tych potrzebnych i tych nie całkiem koniecznych, szczególnie wybijały się takie, które drobnym, acz wyrazistym charakterem pisma wyrażały stany najbardziej intymne. Uhonorowany nagrodą specjalną Marek Koterski powrócił z tragikomedią „7 uczuć", gdzie jego syn Michał wciela się w dziecięcą wersję Adasia Miauczyńskiego. Naśladując film przyrodniczy, tyle że z ludźmi w rolach głównych, i prostą czytankę z elementarza, twórca „Dnia świra" z udziałem plejady aktorów – któż inny mógł obsadzić Joannę Kulig jako matkę Katarzyny Figury? – stworzył groteskową i równocześnie przejmująca psychodramę. Dorośli w roli dzieci (bo wszyscy przecież jesteśmy skrzywdzonymi dziewczynkami i chłopcami) przywołują najbardziej bolesne momenty: z domu, ze szkoły, z podwórka, a słynna fraza Koterskiego (połamana, pełna komicznych powtórzeń) nadaje im ton melodyjnej skargi. Niby wszystko to już widzieliśmy – w „Umarłej klasie" Kantora, w „Ferdydurke" Gombrowicza, a finałowy manifest „jak kochać dziecko" dopowiada nam wszystko do końca. Lecz nawet skatologiczny humor nie jest w stanie odebrać „7 uczuciom" ich terapeutycznych właściwości, służących przepracowaniu samotnego dzieciństwa.

Jakże inaczej kliniczny dyskurs samotności rozgrywa Agnieszka Smoczyńska w „Fudze" (nagroda za drugi film). Jej bohaterka, grana przez Gabrielę Muskałę, odpowiedzialną również za scenariusz, po dwóch latach nieobecności wraca do rodzinnego domu, lecz nie pamięta, kim była wcześniej. Zaburzenie zwane fugą dysocjacyjną oddziela ją od najbliższych, ale może oznaczać także ucieczkę od roli, w jaką została kiedyś wtłoczona. Zdjęcia Jakuba Kijowskiego (też nagrodzone) po mistrzowsku kreują aurę wyobcowania. I choć dowiadujemy się, co takiego wyparła z siebie Kinga *vel* Alicja, twórczynie pozostawiają nam przestrzeń dla coraz to nowych wątpliwości i domysłów – jakkolwiek jest to dowolność wyznaczona przez precyzyjne nakreślone ramy.

> Tegoroczny festiwal gdyński pokazał, że rodzime kino **broni się przed ręcznym sterowaniem.** Równie źle znosi takie manipulacje polski widz.

Podobnej samodyscypliny trochę brakuje „Ninie", czyli debiucie Olgi Chajdas, nagrodzonym w konkursie „Inne Spojrzenie". Miłosne zachłyśnięcie, które staje się udziałem dojrzałej mężatki i młodej dziewczyny, ma za to w sobie żarliwość, która sprawia, że zarówno presja obyczajowego tabu, jak i sportretowane w filmie środowisko LGBT stają się tylko tłem dla coraz bardziej obezwładniającego uczucia.

Z kolei Janusz Kondratiuk w „Jak pies z kotem" przepisuje swoje emocje związane z odchodzeniem brata, zmarłego w 2016 r. reżysera Andrzeja Kondratiuka, na język czarnej komedii rodzinnej. Sporo musiało kosztować twórcę tak głębokie odsłonięcie swojej relacji z umierającym – kiedy starszy z braci, ten bardziej uznany, staje się całkowicie zależny od młodszego. Znamiona przekroczenia nosi także rola żony Andrzeja, Igi Cembrzyńskiej (Aleksandra Konieczna), niezdolnej z powodu choroby alkoholowej do opieki nad mężem ani do samodzielnego życia. Ryzyko się, jak widać, opłaciło. Ten nierówny film, bo pracujący na silnych osobistych przeżyciach, zaowocował dwoma nagrodzonymi rolami drugoplanowymi: Olgierda Łukaszewicza i Aleksandry Koniecznej oraz kolejną po Koterskim filmową autoterapią, obejmującą równocześnie twórców, bohaterów i widzów.

Ręka zza kulis

„Chodźmy na drugą stronę. Tam jest lepszy widok" – ta fraza z finału „Zimnej wojny" u jednych wywołuje metafizyczne dreszcze, u innych złośliwe komentarze, ale stała się najkrótszym podsumowaniem filmu Pawlikowskiego i jednym z sekretów jego sukcesu. Główna nagroda, przewidywana i zasłużona, wzbogacona w Gdyni statuetką za montaż (Jarosław Kamiński) i za dźwięk (Maciej Pawłowski, Mirosław Makowski), to triumf kina, które wychodząc od polskich problemów, potrafi przebić się na tę drugą stronę. Z *love story* zanurzonej w ponurym PRL-u, sklejonej z piosenek, klisz pamięci i filmowych powidoków, udało się Pawlikowskiemu stworzyć uniwersalny komunikat, zupełnie jak w latach 90. Kieślowskiemu.

Ktoś powie, że pięknoduchowskie wykwity sztuki filmowej nie są dobre na dzisiejsze czasy. Że bardziej potrzebujemy zbiorowej terapii szokowej – tytułów bezceremonialnie obnażających nadużycia ze strony przedstawicieli władczych instytucji, takich jak kler właśnie. Siła polskiego kina polega jednak na tym, że ciągle jest w nim miejsce i na „Zimną wojnę", i na filmy Smarzowskiego. Na wycyzelowaną w najdrobniejszym szczególe artystyczną ekspresję i krytyczny głos w palących sprawach. Jest miejsce na niepokojące eksperymenty Jagody Szelc (jej „Monument" wyróżniono w konkursie „Inne Spojrzenie") i wystawne kino Bajona. Na filmy o kobietach opłakujących swoich „wyklętych" synów („Ułaskawienie"), filmy o kobietach alkoholiczkach („Zabawa zabawa" Kingi Dębskiej) i o kobietach kochających inne kobiety (wspomniana „Nina"). I niechaj tak zostanie.

Podczas finałowej gali czuło się w powietrzu coś nowego, choć zarazem dziwnie znajomego. Widzowie TVP Kultura mogli zobaczyć lekko ocenzurowaną retransmisję z uroczystości. Jakaś tajemnicza ręka zza kulis próbowała dyscyplinować prowadzących, a wiceminister kultury pod czerwonym krawatem wygłosił przemówienie o niczym – jakby tylko chciał zaznaczyć swoją urzędniczą obecność.

Tymczasem tegoroczny festiwal gdyński pokazał, że rodzime kino broni się przed ręcznym sterowaniem. Równie źle znosi takie manipulacje polski widz. Bo przecież nagonka na „Kler", nakręcona w dużej mierze przez tych, którzy filmu jeszcze nie widzieli i swoje opinie budowali na podstawie zwiastuna tudzież zasłyszanych opinii, może spowodować tylko jedno: wzmożone zainteresowanie.

© ANITA PIOTROWSKA

MATTHIAS BALK / DPA / AFP / EAST NEWS

ACHILLE MBEMBE (ur. 1957) jest filozofem, historykiem i eseistą. Urodził się w Kamerunie, doktoryzował na paryskiej Sorbonie. Wykłada m.in. na uniwersytetach Yale i Columbia w Stanach Zjednoczonych. Właśnie ukazała się po polsku jego ostatnia książka „Polityka wrogości" (przeł. Katarzyna Bojarska i Urszula Kropiwiec, Karakter 2018).

Dług założycielski

ACHILLE MBEMBE, PISARZ:

Wierzę, że naszą zasadniczą tożsamością jest bycie przechodniem. Naszym przeznaczeniem jest pozostawienie miejsca, w którym żyjemy, czemuś innemu, co nadejdzie po nas.

OLGA STANISŁAWSKA: Żyjemy w czasach „odchodzenia od demokracji". Poszukując wyjaśnień, pisze Pan o jej dwoistej naturze.

ACHILLE MBEMBE: Bo z jednej strony odwoływała się ona do wolności – człowiek miał przejmować za siebie odpowiedzialność i sam sobą zarządzać, a punktami odniesienia były równość i sprawiedliwość. I rzeczywiście rozwój demokracji umożliwił niebywały postęp w historii ludzkości. Nie mam zamiaru tego kwestionować.

Demokracja liberalna miała jednak zawsze drugą twarz. Nazwałbym ją „twarzą nocną". Zacznijmy od kwestii elementarnej: demokracja, o jakiej mówimy, jest demokracją istot ludzkich. Nie obejmuje więc innych istnień; innych gatunków zwierząt, roślin, minerałów. One też są mieszkańcami naszej planety. Uznaje się jednak, że są w naszej służbie i mamy prawo korzystać z nich tak, jak nam się podoba.

Nie jest nawet demokracją wszystkich ludzi, tylko niektórych. Przykładem tego zasadniczego rozdwojenia w łonie demokracji są Stany Zjednoczone. Wolność bardzo długo współistniała tam w najlepszej komitywie z niewolnictwem. Podobny rozdźwięk widzieliśmy też w czasach kolonialnych w Europie. Państwa, które w XIX w. rozwijały u siebie demokrację, w Afryce wypróbowywały nowy model kolonizacji.

W „Polityce wrogości" dowodzi Pan, że nie jest to przypadkowa zbieżność.

Budowaniu ładu i praworządności w Europie towarzyszyło tworzenie poza jej obszarem terytoriów wyjętych spod prawa. Miejsc takich jak plantacja niewolnicza i kolonia, które miały stanowić „strefy stanu wyjątkowego". To właśnie „tam" wyładowywano brutalność i eksportowano te formy przemocy, których nie można było zastosować „tu". Zasadniczą rolę odgrywa tu zachodnia metafizyka dualizmu. Kto przynależy, a kto nie przynależy. Kto jest obywatelem, a kto cudzoziemcem.

Można argumentować, że każda ludzka społeczność ma odruchy ksenofobiczne wobec obcych.

↦

↦ Chodzi mi o głębszą rysę, wynikającą z samych fundamentów tej zachodniej metafizyki. Zbudowana jest ona na serii przeciwieństw: ja–inny, ciało–duch, natura–kultura itd. Klasyczna myśl zachodnia nie potrafi wyzbyć się dychotomii. A do centralnych podziałów należy rzecz jasna ten, który oddziela to, co jest „mną", od tego, co „mną" nie jest.

Co ciekawe, nie wszystkie kultury opierają się na podobnej podstawie. W Afryce np. filozofia skupia się znacznie bardziej na kwestii relacji niż na ontologii. W myśli zachodniej, która uprzywilejowała ontologię, wszystko, co istnieje, posiada niejako automatycznie swojego „innego" – to, co przeciwstawne. Rysa, o której mówię, sięga więc swym zaczątkiem naprawdę głęboko. Zachodnia teoria polityczna też opiera się na tym dualizmie. Stąd podział na naród i to, co mu przeciwne, na przyjaciół i wrogów, na naszych i obcych. Uważa się w dodatku, że każda z tych kategorii musi być poddana innemu traktowaniu.

Wspomniał Pan o pojęciu rasy, które miało podzielić ludzi na bardziej i mniej ludzkich.

Tak działała europejska kolonizacja w swojej XIX-wiecznej formie – kluczowe narzędzie stanowił rasizm, to znaczy rozbicie ludzkiego gatunku na podgatunki. Idea rasy umożliwiała wywłaszczanie rdzennej ludności i wykorzystywanie jej siły roboczej na użytek metropolii.

Wyzyskiwanego, wykluczonego „Murzyna" można, Pana zdaniem, zdefiniować najkrócej negatywnie – jako kogoś, komu brakuje wszystkich tych cech, które posiada kolonizator. „Murzyn" nie ma zatem również prawa do żadnych praw.

Tak. Dodajmy od razu, że ten rodzaj przeklętego „przywileju", który przysługiwał osobom pochodzenia afrykańskiego, rozciąga się na znacznie szersze rzesze ludzi, również i dziś.

W Polsce wielu badaczy odwołuje się do historii kolonizacji, by opisywać dzieje naszej własnej ekspansji na wschód. Dominujący i dominowani nie różnili się tu bynajmniej wyglądem.

A jednak koncepcja rasy pozostawała zawsze obecna. Tak jest do dziś. Nawet wtedy, gdy nie ma żadnej różnicy fenotypowej, pewni ludzie zostają uznani za zasadniczo odmiennych. Za pomocą szczególnych praw i innych praktyk ustanawia się hierarchiczny stosunek wobec nich. Fenomen „urasowienia" może dotyczyć każdego. Nie musi to wcale być kwestią wyglądu.

ACHILLE MBEMBE:

Naszą epokę cechuje głębokie pragnienie apartheidu. Ludzie z zasady nie chcą już żyć z innymi. Nie chcą żyć z tymi, których nie znają, i którzy nie wydają im się do niczego potrzebni.

Każdy z nas może zostać wykluczonym, „Murzynem"?

Oczywiście.

Chcemy wierzyć, że ci, których ciemiężymy, różnią się od nas samą swą naturą? Że nie należą do tej samej ludzkości, co my?

Podział na klasy – czy płcie – to jeszcze nie dość, aby mechanizmy eksploatacji zapadły głęboko w zbiorową wyobraźnię. Oprócz kategorii klasy włącza się tu seria dodatków takich jak rasa. Pojęć, które pobudzają najciemniejsze popędy ludzkiego podmiotu.

Dominacja osiąga pełnię wtedy, gdy uruchamia właśnie te ciemne instynkty, których nie da się oddać racjonalnym opisem. Kiedy działa na strefy erogenne. Te strefy istnieją nie tylko po to, aby podsycać nasze pożądanie, ale i po to, by katalizować inne popędy. Co na nie oddziałuje? To, co uznajemy za odmienność rasową, seksualną, w pewien sposób też i religijną. Każda forma odmienności uruchamia jakąś dialektykę pożądania i wstrętu.

Rasizm często uważa się za relikt przeszłości, niemiłe echo dawnej ignorancji i uprzedzeń. Jakby nie należał już do elementów współczesnych systemów eksploatacji.

Ależ system nadal potrzebuje tych ciemnych popędów! Rasizm, który do nich się odwołuje, przechodzi nieustanne mutacje i nie przestaje kształtować wyobrażeń przyszłości. Dlatego tak trudno z nim walczyć.

Dwa oblicza demokracji, o których Pan wspomniał, słoneczne i nocne, były niegdyś rozdzielone w przestrzeni. Dziś towary, kapitały, informacje, ludzie mogą na różne sposoby istnieć w wielu miejscach naraz. Podział na „tam" i „tu" traci sens.

Tak. Niegdyś poza własnym terytorium dopuszczano się szczególnych form brutalności, sądząc, że da się ją zamknąć na wydzielonym, zewnętrznym obszarze. Oczywiście historia dowodzi, że wszystkie formy przemocy zawsze powracają tam, skąd przyszły. Tak było choćby z obozami koncentracyjnymi, wprowadzonymi po raz pierwszy w kontekście kolonialnym. Dziś przenikalność granic jeszcze się nasila.

Czy stąd bierze się zgoda na odchodzenie od demokracji? Powroty do autorytaryzmu na naszym własnym podwórku?

Jesteśmy dziś znacznie bardziej niż kiedyś wystawieni jedni na drugich. To właśnie dlatego rośnie pragnienie wznoszenia murów, odgrodzenia się od innych barierą. Gotowi jesteśmy w tym celu zrezygnować z części demokratycznych praw. Zaakceptować „stan wyjątkowy" nawet na naszym własnym terenie.

Opisuje Pan to, co nazywamy wojną z terroryzmem islamskim – jej szczególną bronią są drony. Stawia Pan tę wojnę niejako naprzeciw samego teroryzmu, opartego z kolei na technice zamachów i masowych egzekucji. Te dwa zjawiska można w jakiś sposób porównywać?

Wydaje mi się, że to dwie lustrzane formy wyrazu tego samego współczesnego pragnienia separacji.

Naszą epokę cechuje głębokie pragnienie apartheidu. Ludzie z zasady nie chcą już żyć z innymi. Nie chcą żyć z tymi, których nie znają, i którzy nie wydają im się do niczego potrzebni. Ci, którzy są bogaci, nie chcą też żyć z biednymi. Więcej – chcieliby się tych biednych pozbyć.

W gruncie rzeczy takie właśnie było kluczowe pytanie nowoczesnej demokracji. Jak rządzić ludźmi, którzy naszym zdaniem nie są tacy, jak my? Tymi, którzy w naszej opinii nie służą nam do niczego? Tymi, których, jak nam się zdaje, lepiej by

było się pozbyć, żeby uniknąć wszelkiego ryzyka zepsucia – biologicznego, moralnego czy religijnego?

To zawsze był wielki dylemat: co z tymi, których uznaliśmy za zbędnych? Wydaje mi się, że w naszych czasach ten dylemat jeszcze się nasila. Co począć z tymi ludźmi? Zwłaszcza jeśli są nie tylko cudzoziemcami, ale w dodatku naszymi nieprzyjaciółmi...

Sądzi Pan, że będziemy umieli znaleźć jakąś alternatywę dla „polityki wrogości?

Cóż, przede wszystkim trzeba myśleć w skali planety, która wciąż się kurczy. Tego problemu nie da się rozwiązać na obszarze jednego państwa czy narodu. Polityka wrogości godzi w samą ideę istnienia jednego wspólnego świata. Tymczasem jednym z warunków przetrwania naszego świata jest właśnie szukanie sposobów, jak dzielić się nim w sposób jak najbardziej zrównoważony. Znajdujemy się tu na antypodach ideologii kolonizacji i zawłaszczenia; ale także i ideologii separacji.

To wyzwanie – jak dzielić się światem ze wszystkimi jego mieszkańcami – wymaga od nas przemyślenia wielu rzeczy od początku. Nie chodzi tu tylko o to, co począć z cudzoziemcem, ale też o nasz stosunek do środowiska. O dług, jaki mamy względem tych, którzy przyjdą po nas. Mówię tu o długu założycielskim. Bierze się on z faktu, że nikt z nas nie przyszedł na świat sam z siebie. Urodziłem się, ponieważ ktoś dał mi życie, i teraz ja przekazuję je dalej, na różne sposoby.

Czyli wszystkie te nasze emocje związane z masowymi migracjami, dyskusje o narodowych czy religijnych tożsamościach, przysłaniają nam przemiany nieporównanie radykalniejsze?

Tak prawdopodobnie się dzieje. Powstaje coś, co można nazwać całą nową kondycją ludzką. Kondycją, w której powoli zanika podział na to, co ludzkie, a co nie. Już dziś każdy człowiek jest do czegoś podłączony. Z tej perspektywy fetyszyzacja tożsamości staje się skrajnie kontrproduktywna – w każdym razie jeśli naszym celem ma być utrzymanie ludzkiego życia na Ziemi.

Wierzę, że naszą zasadniczą tożsamością jest bycie przechodniem. Naszym przeznaczeniem jest pozostawienie miejsca, w którym żyjemy, czemuś innemu, co nadejdzie po nas. Oto podstawa naszej tożsamości, nasza istota. Jesteśmy też powołani do współistnienia z innymi – obcujemy ze sobą, współtworząc się nawzajem i wspólnie wzrastając. Są to dwa filary wszelkiej postępowej polityki tożsamości. Z jednej strony świadomość ruchu, cyrkulacji, przechodzenia; z drugiej strony – koegzystencji, kohabitacji, dzielenia się Ziemią z innymi gatunkami. Cała reszta to sprawy drugorzędne.

Tożsamości narodowe, rasowe i inne to toksyczne fikcje. Myślę, że mogą działać jedynie na szkodę naszej zdolności przeżycia na Ziemi. Proponowałbym zatem moratorium na te formy tożsamości.

Umie Pan zachować optymizm? Gdzie szukać sił, by myśleć o pozytywnej zmianie, kiedy wszystko zdaje się ciągnąć nas ku apokalipsom?

To delikatny moment. Musimy realistycznie ocenić, na czym polega nowość naszej sytuacji i co jest tu stawką. Cała kwestia w tym, jak formułować taką krytykę, która otworzy drzwi na możliwość radykalnej zmiany.

Wydaje mi się, że ta krytyka musi być zakorzeniona w historii. Musimy na nowo przemyśleć dawne zmagania emancypacyjne – walkę o abolicję niewolnictwa, bunt przeciw kolonializmowi, apartheidowi, rasizmowi, boje o zniesienie tych form długu, które wywłaszczają. W zmaganiach tych wypróbowywano strategie troski i naprawy. Troski o to wszystko, co żyje, i naprawy tego, co zostało roztrzaskane – zerwanych więzi, popsutych przedmiotów. Te strategie dostrzec można np. w miastach afrykańskich, które stanowią wielkie laboratoria naprawy tego, co popsute. Idzie tu zarazem o tkanie włókien życia, przy świadomości, jak jest ono kruche. A wszystko to w opozycji do takiego rodzaju prometeizmu, jaki dominował przez ostatnie dwa lub trzy stulecia.

Ideologie prometejskie pchnęły nas na drogę ogromnego rozwoju technologicznego i naukowego. Dotarliśmy jednak, jak się zdaje, do ich granic. Pora uświadomić sobie, jak splątane są sieci planetarnych współzależności, a zarazem, jak delikatna jest nasza planeta i jej powłoka życia. W ilu miejscach przestaje się dawać żyć. Ten planetarny zwrot w naszym życiu rodzi u wielu z nas ogromne obawy. Musimy jednak świadomie go zaakceptować. Taka jest odtąd nasza nowa kondycja. I ta kondycja wymaga od nas nowej polityki – polityki troski i reperacji.

© Rozmawiała OLGA STANISŁAWSKA

WARTO ZOBACZYĆ W TV [29 IX – 5 X]

1. Człowiek delfin

Dokumentalny, reż. Lefteris Charitos, Francja/Japonia 2017, Canal+ Discovery, 29 IX, 23.00

To on stał się pierwowzorem bohatera kultowego filmu „Wielki błękit". Jacques Mayol był pierwszym, który bez akwalungu zszedł na głębokość stu metrów. Film przybliża tę charyzmatyczną postać, a narratorem jest aktor Jean-Marc Barr, który we wspomnianym filmie fabularnym Luca Bessona wcielił się w postać „człowieka delfina".

2. Po tamtej stronie

Komediodramat, reż. Aki Kaurismäki, Finlandia/Niemcy 2017, Canal+ Film, 2 X, 20.00

Z czarnym humorem i staroświeckim urokiem opowiada fiński reżyser o problemie współczesnych uchodźców. Młody Syryjczyk trafia do Helsinek – miasta ludzi przegranych i smutnych, ale mimo wszystko zdolnych do solidarności z „obcym".

3. Historia pewnego życia

Dramat, reż. Stéphane Brize, Belgia/Francja 2016, Cinemax, 5 X, 14.25

Reżyser filmu „Miara człowieka", w którym krytykował dzisiejsze stosunki społeczno-ekonomiczne, sięga po Guy de Maupassanta. Nowoczesnym językiem filmowym opowiada historię młodej arystokratki, która po wyjściu z klasztoru pada ofiarą patriarchalnych reguł, a zarazem swoich romantycznych wyobrażeń na temat małżeństwa.

4. Prawdziwa historia

Thriller, reż. Roman Polański, Francja/ /Polska/Belgia 2017, Cineman VOD

Osiemdziesięciopięcioletni dziś autor „Pianisty" nie udaje, że ma coś nowego do powiedzenia swemu widzowi. Film o pisarce w kryzysie twórczym (w tej roli żona reżysera Emmanuelle Seigner) to przede wszystkim zabawa w kino i repetytorium z twórczości mistrza.

JAN

Klata:
Kler i klakier

Najnowszego filmu Wojciecha Smarzowskiego jeszcze nie widziałem, więc w przeciwieństwie do Jarosławów Sellina czy Kurskiego (kiedy wypowie się Gowin?) nie mogę powtarzać „przekazu dnia" na temat „Kleru": że nieprawda, że jednostkowe nadużycia i patologie, że krzywdzące stereotypy, że tendencyjne rozciąganie marginesu, że tania prowokacja.

Natomiast fakt, że podczas galowej transmisji „na żywo" w rządowej telewizji ocenzurowano wystąpienie reżysera, jawi mi się wielce inspirującym. Prawo i Sprawiedliwość konsekwentnie realizuje plan kreowania rzeczywistości w pełni alternatywnej do tej rzeczywiście rzeczywistej. Zacznijmy od samej nazwy partii, pełnej subtelnego, autotematycznego komizmu, a później już pójdzie z górki: mamy Ministerstwo Ochrony Środowiska i stadninę bez koni w Janowie. Eufemistycznie nazwijmy rzeczywistość Prawa i Sprawiedliwości „rzeczywistością swoistą". „Rzeczywistość swoista" potrzebuje ceremonii, odrobina celebry jeszcze nikomu nie zaszkodziła, niestety nie samym Zapałą żyje człowiek-Polak, więc – ponieważ kino to najważniejsza ze sztuk – gala festiwalu filmowego w Gdyni znalazła się w ramówce TVP, i to jak najbardziej *live*. Ale jak jak najbardziej *live*, skoro ocenzurowano? Otóż nie ocenzurowano, tylko jakiemuś szaremu pracownikowi suwak się obsunął, klawisz mu się omsknął, i w efekcie „rzeczywistość swoista" w wariancie *live* nie zawierała wypowiedzi reżysera filmu „Kler"/„Wołyń" (niepotrzebne skreślić) zawierającej słowa o prezesie TVP. Prezes TVP zaprzeczył, że specjalnie nie zawierała, więc ja głęboko wierzę, że cenzury po prostu nie było, wierzę prezesowi Kurskiemu, bo komu mam wierzyć jak nie jemu, przecież nie „Klerowi".

Również brak Złotego Klakiera spowodowany zbyt długimi oklaskami dla filmu Wojciecha Smarzowskiego nie przeszedł bez złośliwego, oszczerczego echa, ale skoro inny prezes, prezes Radia Gdańsk, zdecydował się na coś takiego, głęboko wierzę, że widzowie klaskali w sposób mało antenowy, co spowodowało trudności techniczne. Przecież to była decyzja prezesa, a jak słyszę „prezes", to od razu wierzę – podobnie jak wszyscy w Polsce. Niestety, jeszcze nie wszyscy w Polsce wiedzą, jak dobrze technicznie klaskać i w jakim momencie przyklasnąć. Oklaski tymczasowo powędrowały do tajnego archiwum, spokojnie, nie zmarnują się: nagrodę co prawda odwołano, ale za rok przyjedzie Mel Gibson i dostanie Klakiera za film o Zapale – jak będzie mało oklasków *live*, to dorzuci się z playbacku, i wtedy zmierzy. „Kler" się na coś przyda. ©

Lektor:
Wyjście w góry

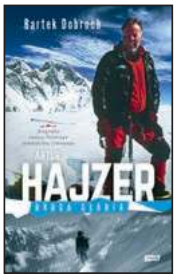

▪ *Bartek Dobroch*
ARTUR HAJZER. DROGA SŁONIA
Znak, Kraków 2018, ss. 544

Jak to się stało, że chłopak urodzony w Zielonej Górze i wychowany na Górnym Śląsku, syn księgowej i muzyka, złapał bakcyla gór i trafił do grona najlepszych himalaistów? Jak wyglądała droga od wspinaczek w skałkach Jury Krakowsko-Częstochowskiej do Gaszerbrumu I w Karakorum, gdzie zginął 7 lipca 2013 r. mając 51 lat? Jaki wpływ na jego śmierć miała wcześniejsza o kilka miesięcy tragedia na Broad Peak, gdzie spośród czterech polskich wspinaczy, którzy jako pierwsi ludzie stanęli na tym szczycie zimą, dwóch nie wróciło? Czy program Polskiego Himalaizmu Zimowego, którego Hajzer był twórcą i w ramach którego odbyła się wyprawa na Broad Peak, to rzeczywiście „narodowy program narażania młodych", jak napisała w „Rzeczpospolitej" Monika Rogozińska? Dlaczego biznesmen, który odniósł sukces budując firmę Alpinus, a potem musiał przeżyć jej bankructwo, po 16 latach przerwy wrócił w najwyższe góry świata? A jeszcze tajemnica ostatniego SMS-a, którego Hajzer wysłał żonie ze ściany Gaszerbrumu... ale o tym przeczytajcie już sami.

„Był chyba najbardziej intrygującą postacią w polskim himalaizmie. Zawsze miałem najwięcej pytań do niego i najwięcej wątpliwości co do jego działań. Praca nad książką większość z nich mi wyjaśniła" – mówił Bartek Dobroch w wywiadzie dla „Wyborczej". Praca ogromna – bodaj setka rozmów z bliskimi Hajzera oraz wszystkimi, którzy mieli z nim styczność i zapamiętali go dobrze lub źle, podróż do Nepalu jego śladami, mnóstwo lektur. Solidna i dociekliwa robota dziennikarsko-biograficzna, dzięki której powstał portret bohatera – empatyczny, ale nie hagiograficzny, unikający przy tym łatwych ocen. I ciekawa także dla laików opowieść o środowisku polskich himalaistów, o jego funkcjonowaniu w późnym PRL-u i dzisiaj, o rozdzierających je konfliktach. Dobroch pisze o motywacjach kierujących ludźmi decydującymi się na uprawianie sportu, który staje się sposobem na życie – a często na śmierć. Bo jego książka to także po trosze elegia: wiele postaci, które przez jej karty się przewijają, w górach pozostało na zawsze.

Rynek książki górskiej przeżywa boom, w każdej księgarni znajdziemy kilkanaście tytułów. „Droga Słonia" została jednak zauważona i doceniona, na zakończonym właśnie Festiwalu Górskim w Lądku-Zdroju obsypano ją nagrodami (Grand Prix, Książka Roku 2018 w kategorii „biografia", nagroda publiczności). I słusznie! ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Szczęście turysty

34 PROCENT. ZA TAKĄ CZĘŚĆ EMISJI GAZÓW cieplarnianych odpowiada system rolno-spożywczy. Tak straszył Carlo Petrini, patriarcha ruchu Slow Food w trakcie tegorocznego „Salonu Smaku" w Turynie. Cykliczna impreza, swego rodzaju światowy zlot wszystkich, którzy jedzenie chcą zaprzęgnąć do rydwanu postępu, walczyć ze złem ekologicznym i społecznym na rzecz równowagi, zdrowia i sprawiedliwego podziału chleba. Oprócz debat, prezentacji i projekcji jest to oczywiście kolosalny festyn z jedzeniem, tysiące potraw oraz rzeka darmowego wina. Wszystko zaś zdrowe, szczere, organiczne, lokalne i podlane na gorąco sosem świętej racji. A ten, jak wiadomo, jest najsmaczniejszy, niczym moralna biała trufla.

No więc Food for Change, czyli Żywność na rzecz Zmiany – tak brzmiało tegoroczne motto salonu. Włosi mają od wiosny „rząd zmiany", Slow Food też nie chce być gorszy i z uporem szuka, co by tu zmienić. Petrini namawia, żeby np. Zachód ograniczył spożycie mięsa o połowę, gdyż przemysłowa produkcja (bo nie „hodowla") zwierząt na rzeź jest potwornie energochłonna i truje. Bardzo to wszystko słuszne, tyle że jeśli Ziemia nam pęknie wskutek wyziewów z chlewni, to nie dlatego, że parędziesiąt milionów najbogatszych Europejczyków nie chce wrócić do dawnego rytmu jedzenia pieczystego raz na tydzień przy niedzieli, tylko dlatego, że miliard biednych Azjatów, doznających ekspresowego awansu ekonomicznego, pożąda góry mięsa jako sposobu, żeby go dosłownie poczuć w trzewiach.

Jaki jest sens mówić „mięso przy niedzieli", kiedy sama niedziela przestaje cokolwiek znaczyć? Tenże Petrini, wyliczając inne Zmiany na tapecie tegorocznego Salonu, mówił dużo o „reruralizacji" – potworek ten, godny ministra Glińskiego, oznacza przywracanie do istnienia wiosek, tzn. osadnictwa i życia w wiejskich osadach. Wsie pustoszeją – żalił się Petrini. „Nawet księża wyjechali. Dziesięć lat temu jeszcze bym się z tego cieszył – zauważył dawny działacz radykalnej lewicy. – Ale teraz już nie. Dopóki we wsi mieszka ksiądz, to przynajmniej kościół stoi otwarty, jakieś życie, jakaś normalność się toczy...".

Faktycznie, jakoś tak się dzieje, że nawet turyście, niespecjalnie zorientowanemu na przeżycia duchowe, zamknięty na głucho kościół mówi najdobitniej o zamieraniu życia lokalnego. Po bułki i ser wszak można zawsze podjechać do supermarketu na peryferiach sąsiedniego miasta. W dzień Wniebowzięcia NMP, będący kiedyś dla Włochów świętem równie ważnym co Wielkanoc, wybrałem się w objazd paru piemonckich wiosek, licząc, że kiedy jak kiedy, ale w Ferragosto pozwiedzam sobie kościoły. Całowałem klamki, a w uszach dudniła cisza, która wcale nie kojarzyła się z relaksem. Ziemia jałowa, choć pola dookoła jeszcze rodzą obfite dopłaty.

Być może da się na mocy odgórnego programu wstrzyknąć ciepłą krew w tego trupa: może wysyłając nowych proboszczów, którzy z Franciszkowym uśmiechem staliby jak wartownicy od ósmej do dwudziestej przy drzwiach swoich świątyń, albo – do czego namawia młodzież postępowiec Petrini – zakładając kooperatywy i ośrodki wiejskiego życia wokół sklepu czy remizy. Osobiście w to wątpię i wcale mi z tego powodu nie jest wesoło. W jednym się zgadzam z liderem Slow Foodu. Otóż to, czego podróżnik szuka w obcej ziemi (zwłaszcza jeśli słynie ona z tzw. urody życia), i to, co nadaje prawdziwy smak podróży, to nie same kamienne skorupy budynków i pejzażowy malunek, nie ulice, dzwonnice, winnice, tylko koniecznie jeszcze ludzka treść w tym sztafażu. Ludzkie szczęście, którego się domyślamy (nieważne, na ile to iluzja) widząc panów w średnim wieku pieszczących szklaneczkę przed barem: ileż każde z nas wysłało bądź dostało takich właśnie pocztówek z ikonami *slow life*.

Szczęśliwi, spełnieni mieszkańcy jako warunek zadowolenia turysty. Może urzędy gminne i magistraty, czerpiące wszak dochód z przyjezdnych, powinny tworzyć programy podtrzymywania takiego ludzkiego zoo? Myślę ciągle o swoich przymiarkach do roli tubylca w Krakowie, którą genialnie w tym numerze opisał Stanisław Mancewicz. Na razie przesiaduję w Prowincji z kieliszkiem furminta, który piję – mam nadzieję – dostatecznie wolno, by wyglądało to autentycznie. Panie Petrini, niech pan przyjeżdża, otwartych kościołów tu jeszcze dostatek. ©℗

Czas przejścia między latem a jesienią można uczcić daniem, które łączy składniki z nich obu, zwłaszcza że pomidory jeszcze całkiem niezłe na krzakach, a i grzybów obrodziło. Makaron alla boscaiola – nazwa ta („leśny") oznacza w różnych regionach Włoch rozmaite dania z zawartością grzybów, ale tu skupimy się na klasycznym połączeniu z pomidorami, oliwkami i tymiankiem, typowym dla z grubsza całej środkowej części kraju. Na grubej patelni złocimy na chrupko 150 g wędzonego boczku pokrojonego w drobną kosteczkę. Na innej patelni dusimy do miękkości na 3 łyżkach oliwy drobno posiekaną cebulę, dodajemy 300-400 g pokrojonych w paski prawdziwków, smażymy na średnim ogniu parę minut, skrapiając ewentualnie łyżką białego wina. Wrzucamy 300 g przekrojonych pomidorków koktajlowych, a kiedy zaczną się rozpadać, dodajemy boczek, 2 gałązki tymianku (ewentualnie w zamian garść mięty) i garść posiekanych czarnych oliwek. Dusimy dalej parę minut i łączymy na gorąco z makaronem.

WWW.PEXELS.COM

WAKACJE W MIEŚCIE

Jak sobie poradzić, kiedy wszyscy znajomi wyjechali? Kiedy dają o sobie znać publikując zdjęcia na tle krzywych wież, wulkanów i raf koralowych? Czym my się możemy popisać?

STANISŁAW MANCEWICZ

Założeniem dzisiejszych rozważań będą wakacje spędzone we własnym mieście. Dodać trzeba, że chodzi o miasto będące solidną atrakcją turystyczną, a więc schlebiającą przede wszystkim przyjezdnym i tym samym z gruntu gardzącą tubylcem. Tubylec jest tu osobliwością zbędną i przeszkadzającą we wszystkim, chyba że stanie się eksponatem.

Zważyć jednak należy, że nie będą to wyłącznie narzekania. I pamiętajcie, że podobne są losy tubylców we wszystkich atrakcyjnych, odwiedzanych przez was podczas wakacji miastach, nie tylko w Krakowie.

Obiekt

Póki animatorzy turystyki w naszym mieście nie orientują się, żeśmy miejscowi, jesteśmy obiektem i mrocznym przedmiotem ich pożądania. Ich naczelnym założeniem jest bowiem uznanie, że wszyscy na ulicy są turystami. Tylko część animatorów turystyki masowej podejmuje trud kształcenia oka ku zdolności rozróżniania miejscowego od przybysza, a są to – rzec trzeba – ludzie gibcy, znający swój fach, w którym strata czasu na ględzenie z miejscową małpą równa się stracie finansowej.

Podaję przykład. Idąc ulicą Floriańską odbieram dziesiątki propozycji sformułowanych po angielsku. Są to głównie oferty podjęcia szeroko ujętej aktywności seksualnej, spożycia alkoholu bądź zjedzenia *pica, pierodżis, bidżis, pork kutlet*, bądź to wesołego wypadu *nach Auszwic und Wieliczka tauzen cuzamen*. Sytuacja ta ma tylko dobre strony – daje możność osłuchania się z językiem obcym w jego wersji lokalnej, daje poczucie wartości bycia zamożnym obcokrajowcem, którego stać na wszystko. Daje także przegląd trendów w turystyce. Nie stwarza też żadnego zagrożenia z racji pełnej orientacji w jakości zachwalanych usług, i oczywiście daje delikatne wrażenie bycia – niejako – na wakacjach.

To doświadczenie pokazuje – przy okazji – że większość animatorów turystyki nie ma żadnych kompetencji prócz namolności. Niezdolność odróżnienia miejscowego od bogatego turysty zwanego w lokalnej prasie „Wyspiarzem" bądź „Synem Albionu" musi się mścić. Korzystamy na tym my, członkowie tzw. etni. Trzeba też pamiętać – to wtręt – że w miastach, do których prócz polityków w czasie kampanii wyborczej nikt nigdy nie przyjeżdża, nie da się być obiektem w opisanym powyżej sensie.

A więc obiekt jest zawsze traktowany dobrze, jako przede wszystkim istota kupująca absolutnie wszystko: piszczącego smoka z gąbki i latające, migotliwe śmigiełko. Obiekt jest też gotowy na czynności zupełnie zbędne, jak przejażdżka karocą ciągnioną przez konia po stu zawałach, sfotografowanie się ze śmiesznym panem, obejrzenie narzędzi tortur, kolekcji motyli czy też odwiedziny w gabinecie figur woskowych, albo i w domu publicznym w samo południe (jest to specjalizacja bardzo krakowska). Nikt nigdy we własnym mieście nie korzysta z tego typu usług, robimy to tylko w miastach, do których jedziemy na wakacje, i jest to, rzec trzeba, pewna osobliwość życiowa. Bardzo lubię być takim obiektem i dlatego

JAKUB WŁODEK / AG

CC0 PUBLIC DOMAIN

JAKUB WŁODEK / AG

JAKUB OCIEPA / AG

GRAŻYNA MAKARA

jeżdżę czasem karocami z plastiku, słuchając opowieści furmana o ludziach miejscowych, którzy są eksponatami.

Eksponat

Typowy krakowianin mieszkający w typowym krakowskim mieszkaniu, mówiący z typowo krakowskim akcentem, będący rzecz jasna typowo krakowską sknerą, jest bowiem eksponatem. Typowy krakowianin takoż się wyższościowo izoluje od mas, pije wódę literatkami, siedzi w kawiarni, gdzie ględzi, jest ubrany niedbale, jest artystą albo co najmniej profesorem. Jest istotą *vintage* bądź retro, osobliwie spleśniałą na tle przekoloryzowanego świata. Warto dla porządku zaznaczyć, że jest to mit bądź stereotyp, który choć tak nieaktualny, jest jednak turystycznie pożądany.

Warto skorzystać z kilku adresów kawiarń, podawanych przez powożących meleksami, bądź zasięgnąć języka u furmana sterującego koniem po stu zawałach i podjechać tamże za *hundred zwancig*. Uczyniliśmy to ze dwa, trzy razy, bez względu na koszty, by z rozkoszą poprzyglądać się kolegom określanym jako *typic artists*, nieświadomym bycia w zoo i bycia także źródłem zarobku bliźnich.

By zostać eksponatem, należy włożyć niemodną marynarkę i krawat. Z miejsca przestaniemy być uznawani za turystę, który zawsze ↦

↦ i wszędzie ubrany jest turystycznie. Należy takoż pamiętać, że człowiek staje się wtedy nędzną małpą, której nikt niczego nie proponuje ani nikt się doń nie uśmiecha (pomijając hostessy proponujące uciechy w pobliskim lokalu, każdemu bez wyjątku, kto wygląda choćby ciut na biznesmena, ciut na cudzoziemca, ciut na kogoś z racji wieku cierpiącego na silne rozdźwięki pomiędzy fantazjowaniem a możliwościami).

Podmiot

Wakacje w mieście takim jak moje dają ogromną możliwość znalezienia się w rejestrach służb mundurowych w charakterze osobnika bardzo uciążliwego, żyjącego wyidealizowanym wyobrażeniem na temat egzekwowania prawa o wykroczeniach. Jest to element odbycia wakacji w charakterze podmiotu. To ciekawe, że od lat, bez względu na poziom akurat rządzących, w każdym chyba obywatelu tkwią pokłady owczej ufności w skuteczność ludzi z pałami. Czas wakacji jest pięknym momentem na weryfikację tych mniemań.

Od jakiegoś już czasu podstawową okazją do kontaktu z dyżurnymi służb są pożegnania ze stanem bezżennym przez Synów i Córy Albionu bądź przez Potomków Wikingów. Specjalnie używam tych umiłowanych przez redaktorów depeszowych określeń, są one bowiem skrajnie erudycyjne, pojemne i znakomicie ilustracyjne.

Nikomu zdrowemu na umyśle nie przychodzi już do głowy niepokojenie policji Synami Albionu, gdy chodzą po mieście bez majtek, gdy sobie wesoło huczą, leżą w konwulsjach na progach domostw, gdy żywiołowo pozbywają się produktów przemiany materii. Ale już, gdy wystawiają kolegę za okno, na piątym piętrze naprzeciwko, o piątej rano, trzymając go za piętę jako Achillesa, wtedy warto porozmawiać z dyżurnym służb mundurowych – uważam, a jest to opinia odruchowa.

Oto przebudzony rozpaczliwymi wrzaskami człowiek przeprowadza szybkie kalkulacje z pogranicza fizyki, materiałoznawstwa i przepustowości łączy. Chodzi oczywiście o domniemania na temat trwałości i siły chwytu trzymającego piętę, wytrzymałości pięty, to takoż liczenie sekund w oczekiwaniu na podniesienie słuchawki. Niby to obcy człowiek, niby z Zachodu, który nas tak haniebnie zdradzał i zdradza, niby to kulturowy odmieniec, niekatolik, ani brat, ani swat, ale jednak wolelibyśmy, by przed śniadaniem, przed kawą, doker z dalekiego Dover nie zapaskudził nam trotuaru, zostawiając w żałobie niedawno zaręczoną Córę Albionu. Wolelibyśmy też, by jego serdeczny przyjaciel, agent sprzedażowy z Glasgow, przebrany akurat za kobietę, będąc pod wpływem piwa i chyba komiksu o mitach antyku, nie spędził reszty życia w polskim więzieniu. Dzwonimy zatem do dyżurki, licząc, że odbierze ktoś, kto nie zna naszego głosu, nie raz bowiem i nie dwa usłyszeliśmy kojące: – Panie Mancewicz, niechże pan spróbuje zasnąć. Co to panu wadzi, że się ludzie bawią? Nie spadnie – spokojnie, a jak spadnie, to trudno. *Lajw is brutal.*

Zawsze wychodzimy w takich sytuacjach na przewrażliwionych głupków. Zważyć jednak należy, że wakacje nie są odpowiednim czasem na pielęgnację bądź budowę własnego autorytetu czy pozycji społecznej. Są za to idealnym momentem na kontrolowaną utratę godności i dyskretne wytarzanie się w upodleniu, choćby jako świadek.

Ocean

Fetysz turystyki masowej (oby była przeklęta) każe korzystać z miejskiej oferty wymyślonej tylko dla przybysza. Był kiedyś w Krakowie skromny od tej zasady wyjątek, czyli oceanarium, ale zamknął je komornik. Dla kogoś żyjącego tysiące kilometrów od najbliższego oceanu instytucja ta była ukojeniem, choćby pokazywano w niej tylko słoną wodę. Upubliczniony widok wody to podstawa wakacji w mieście, miło, że magistrat nie pobiera zań opłat. Wisła niewyjeżdżającym wciąż może być morzem, oceanem niemal Spokojnym. Krakowski Pacyfik jest, owszem, nieco przeludniony, ale kto by zwracał uwagę na taki detal, gdy sobie uświadomimy, że na Mount Evereście w tym roku plażowało kilkaset osób.

Spędzenie przedpołudnia na pływającej przystani pod Wawelem daje i zapach świeżej bryzy, i przygody, widok na pobliski jakby brooklyński most, miło takoż posłuchać dochodzących z kubryku rozmów marynarzy wód słodkich. To miejsce ma ogromną, krakowską siłę wypychającą. Tak, tę samą, która posłała Josepha Conrada ku jądru ciemności, a Bronisława Malinowskiego na spotkanie Triobrandczyków. Tu można takoż przypomnieć sobie święte słowa szanty autorstwa Galla Anonima:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone
i cuchnące,
My po świeże przychodzimy, w oceanie
pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów
dobywali,
A nas burza nie odstrasza ni szum groźny
morskiej fali.
Nasi ojce na jelenie urządzali polowanie,
A my skarby i potwory łowim, skryte
w oceanie.

Z pobliskich zacumowanych korabiów, o niesłychanych kształtach, zbudowanych w jakichś podziemnych stoczniach najwyraźniej przez słowiańskiego Hefajstosa, słyszymy nadawaną przez gigantofony przejmującą ofertę gastronomiczną, mówiącą wszystko i o podniebieniu, i o rozumie: „Polecamy kociołek zbójniczy! Szaflik myśliwego! Nieckę chłopską! Paluch Wołodyjowskiego z serem! (chodzi o parówkę). Zawijas kniazia! Piersi kurczęce i jagnięce po marynarsku!”...

Siedząc – ahoj – na żywym wraku przystani miejskiej, czuję ocean kołyszący się w tę i we w tę. Szary. Z tonącym statkiem na horyzoncie. Grody Czerwieńskie zdobyte. Sztandary łopoczące. Nagie miecze. Światła Vegas. Powabne syreny widzę.

Na brzegu nieopodal stoi – jak wiemy – spiżowy krokodyl ziejący niebieskim ogniem za pieniądze. Czuję tu takoż grzeszny i zakazany prąd idący ze Świętego Wzgórza, działający ożywczo na me podwzgórze. To wszystko. Komplet. Miejsce to daje mi maksimum, także w sferze lingwistyki niesłychanie stosowanej. „Pazur Kmiecia w kołtun mięs zawijany, po prymasowsku!!!” – woła ktoś przez megafon. To wszystko uświadamia mi, że emigracja, choćby urlopowa, nie jest dla mnie. By w uniesieniu, trzymając się kurczowo relingu, wyrzec za poetą: „Tu być muszę”.

Prądy

Wawelskie Wzgórze z austriackim zamczyskiem, górującym nad pradoliną, ma – jak wiemy wszyscy – wiele zalet i ciekawostek. Groby choćby. Któż nie lubi zapachu krypty, zwłaszcza na wakacjach. Każdy. Wszystko to jednak znamy od dziecka. Zamiast zatem chodzić po komnatach, dotykać wielkiego dzwonu bądź miecza, mieszam się czasem z wielokolorowym tłumem, by posłuchać, co dyplomowani przewodnicy po Wawelu opowiadają ludziom. Gdy się już nasłucham, przesuwam się ku rzędom ostatnim,

ku tym, którzy przewodnika nie słuchają, bo mają własne przemyślenia na temat historii Polski. Są to na ogół osobliwe rekonstrukcje, pięknie ilustrujące poziom nauczania historii w placówkach edukacyjnych na dowolnym poziomie. Człowiek zaczyna wtedy z sentymentem wspominać lekcje historii w PRL-u, uchodzące dziś obowiązkowo za kłamliwe. Świecą się one teraz w głowie jako krystaliczna prawda, przedstawiona na podstawie najrzetelniejszego aparatu naukowego.

Skupić się jednak wypada nad wawelską atrakcją dla wtajemniczonych, nad wspominanym tu już mimochodem czakramem, zakazanym i wyklętym prawem lokalnym pogańskim źródłem, z którego płynie ożywczy prąd. Umiejscowionym, jak głosi legenda, po lewej stronie od wejścia na wawelski dziedziniec. Jest to w istocie oś dobra i źródło egzotycznej, oczyszczającej, ogromnej energii – jak wiemy. Po chwili kąpieli w tym niezwykłym nurcie człowiek czuje diabelskie mrowienie, oszołomienia o różnej etiologii, oczy się człowiekowi kręcą w odrażającym wybałuszeniu, a poczucie tożsamości się rozwarstwia, dajmy na to: nie wiemy, czy oto jesteśmy Polakiem, Dalajlamą, Robocopem, a może Łazikiem z Tormesu. Zdarzało mi się – po takim seansie – widzieć nawet kobiety siedzące na sofach w nieprzyzwoitych pozach, ale i stada mamutów spadających z kopca Kościuszki. Trzeba jednak bardzo uważać.

Strażnicy wawelscy patrolujący Wzgórze zaglądają tam czasem i złapanego na tuleniu się do zatłuszczonej głowami turystów ściany lubią pogonić.

Liczby

Wakacyjne przyjemności, gdy oto czasem wybywam z wędką ku dalekim akwenom, albo z koszykiem ku borom RP, są banalnie policzalne, czy to głowami płoci, czy to kapeluszami podgrzybków schnących w spiżarni.

Urlopy w mieście takoż muszą mieć swe cyfry. Niechże to będą godziny spędzone w tramwajach, podczas rekreacyjnych, celowych jazd od pętli do pętli, podczas których można posłuchać rozmów pasażerów, można takoż stwierdzić, jak dziury w dżinsach pasażerów powiększają się proporcjonalnie wraz z oddalaniem się tramwaju od centrum miasta, czy też jak zmienia się język i obyczaj korzystania ze środków komunikacji miejskiej.

Wypada koniecznie pojechać do ogrodu zoologicznego, by tamże ponotować opinie zwiedzających na temat małp człekokształtnych bądź przyjrzeć się, jak erudycja rodziców odciska się na wyrazie twarzy ich dzieci. Tamże, w zoologu, obowiązkowo spisuję przymiotniki i wołacze. Są to notatki bardzo cenne dla odświeżenia wokabularza.

W ogrodzie botanicznym znajduję z kolei wrażenia nie z tego świata: to bowiem jedyne miejsce, gdzie literalnie nic się nie dzieje, co jest tak szokujące i traumatyzujące, że nie bez kozery wybudowano nieopodal klinikę psychiatryczną, zdolną przynieść ulgę każdemu, komu aura ogrodu demoluje osobowość, komu z powodu obowiązującej ciszy i zakazu brykania może być potrzebne natychmiastowe związanie paskiem bądź podanie środków zwiotczających. Pouczające są tu obserwacje uczniów na wycieczkach szkolnych, jak oto burząco działa na ich młode rozumy owa toksyczna przestrzeń, w której, podobnie jak na Uranie, nie bardzo wiadomo, co czynić.

Zawsze i wszędzie – jeśli nie zapomnę – staram się przeprowadzać choćby skromne działania na liczbach, co ponoć zapobiega degeneracji masy szarej. Oto rozrywka będąca połączeniem aktywności fizycznej, rachunkowości i wprawek w interpretacjach etnograficznych. Są to pozornie niewinne spacery wzdłuż cieków mojego miasta. Jeżeli ktoś ma słabującą pamięć, winien zabrać z domu porubrykowaną kartkę, na której w stosownych kratkach wpisujemy zawczasu wszelkie przedmioty gospodarstwa domowego, a to wanny, miednice, klozety i sienniki, cokolwiek, co nam przyjdzie do głowy. Młodzieńcze marzenia o pracy badawczej realizuję podczas wypoczynku aktywnego, wzdłuż wspomnianych cieków. Idę więc, odgarniam nogą łopiany, zaglądam pod krzaki i liczę, dane wpisuję do rubryk bądź staram się zapamiętać, cóżem znalazł.

To nieskomplikowana czynność, proste ćwiczenie pamięci, bez leków i bez chemii, a z drugiej strony, znakomity to pretekst do rozmyślań nad istotą Substancji. Myliłby się ten, kto by próbował przekonywać, że istotą Substancji jest dziś głównie wiara w prognozę pogody, płukanie jelita grubego czy gluten. Owszem, ale Substancja takoż bardzo silnie wierzy w moc rzeki, w nieuchronność związaną z nurtem, który porywa wszystko ku ziemskim trzewiom, hen do jakiegoś żarłocznego oceanu trawiącego wszystko, czyli takoż owe dziurawe miednice, piecyki, stłuczone telewizory i stare cegłówki.

Nigdy nie widziałem przedstawicieli naszej Substancji podczas tych obrzędów, ale ktoś mi podpowiedział, że owa lęka się światła poranka, gdy to na żer wychodzą nie tylko strażnicy miejscy, ale też świtezianki, wiły, mamuny i dziwożony, które czyhają w dziewannach. Wyjście w dzień to ryzyko, że człowiek zostanie załaskotany przez, dajmy na to, świteziankę. A zagilgotanie to straszna śmierć. Zwłaszcza gdy nie jest do śmiechu.

Sumując, wakacje w mieście mogą obyć się bez piekącego uczucia zazdrości wobec bliźnich, którzy wyjechali.

©℗ STANISŁAW MANCEWICZ

TP WAKACJE

BIEŃCZYK o autostopie ▪ ROBIŃSKI o pszczołach ▪ MILCZAREK o Arktyce
NAPIÓRKOWSKI o plaży ▪ OLSZEWSKI o Mierzei Kurońskiej
KOZIŃSKA o koniach i o zaklinaczach roślin

Zbiór wszystkich tekstów z naszego wakacyjnego cyklu na
powszech.net/wakacje
weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

STANISŁAW

Mancewicz:
Kto wlazł na prerię?

My, szlachetni Czerwonoskórzy, mamy swoje zalety, do których zaliczana jest legendarna w świecie gościnność i tolerancja. Wszystko, co w nas dobre, dodatkowo sumuje przywiązanie do ziemi pradziadów, znakomita zdolność tropienia i wybitne zdolności myśliwskie. Teoretycznie mamy też wady. Każdy wie, że statystyczny Czerwonoskóry marzy o skalpowaniu. Jest to stereotyp, z którym walczymy, również za pomocą stosownego ustawodawstwa, owszem kulawego, nieprzystającego do kodeksów Bladych Twarzy, ale według naszej tradycji – liczą się przede wszystkim dobre chęci.

Poza rozległą beletrystyką na temat naszej gościnności i tolerancji powstała też obszerna literatura faktu, opisująca i analizująca nasze liczne dzieła na niwie skalpowania. Na dowolnym poziomie szczegółowości, począwszy od opisów rekrutacji i klasyfikacji ofiar, po techniki zdejmowania owłosienia z dowolnej części ciała i opisy narzędzi, mamy także teksty pieśni i filmy z obrzędów towarzyszących. Oczywiście nasza prawda bardzo się różni od prawdy oskalpowanych i jest to jakoś krępujące, ale – rzec trzeba – jest to także interesująca kanwa do dyskusji podczas watr, zjazdów, konferencji, podczas przekraczania wszelakich rubikonów, podczas rzucania kości, tańców na cześć symboli słońca, pieczenia ziemniaków czy kiełbas, ale też oczywiście podczas spotkań rodzinnych w zaciszu wigwamów i tipi.

Generalnie osobność nas – Czerwonoskórych – znana jest w świecie. I niechęć do stanowienia na naszych terytoriach obcych fortów i faktorii. Forty pośród naszych wigwamów wytrącają nas z równowagi chwiejnej, w jakiej przyszło nam trwać na preriach peryferii świata tego. Fort obsadzony przez Blade Twarze wywoływał zawsze odruch porzucenia poprawnościowych – pardon – narracji na temat skalpowania. Wyciągało się naonczas zawsze tomahawki przechowywane po piwnicach, plotło cięciwy i ostrzyło groty. Mówiąc szczerze, na dźwięk słowa „fort” wypadały nam z ust fajki pokoju i zanikała legendarna gościnność. Tak było zawsze, odkąd myszy zjadły naszego pierwszego wodza Popiela (od „popielaty”, czyli „siwy”).

Przez wieki różni nasi wodzowie, o różnych zresztą przydomkach, w różnych okresach naszej dziwnej historii, zezwalali czasem na montowanie na naszych pastwiskach obcych fortów. Żadnemu nie wybaczono takiej inicjatywy, wszystkim grożono oskalpowaniem, wielu musiało odejść z naszego puebla. Co znaczy tyle, że nie są objęci kultem przodków. Przez ostatnie lata niektórym wodzom naszym wpadały podobne pomysły do głowy, ale dopiero obecny wziął sprawę za rogi, i dopiero co, w Wielkim Wigwamie Bladego Brata, oświadczył wprost, że ów może sobie postawić tu fort i jeszcze nazwać go swoim imieniem. Sprawa jest świeża i rzec trzeba, że jesteśmy skrajnie zaskoczeni całkowitym brakiem reakcji czerwonoskórych rzesz na tę oczywistą przecież propozycję kolonizacji naszej umiłowanej prerii. Słychać zaledwie żałosne komentarze w sprawie detalu, że oto nasz wódz obecny powinien siedzieć. Jest to zupełnie oczywiste, że powinien, zarówno w sensie dosłownym, tzn. tam, w Wielkim Wigwamie, jak i parabolicznym, ale ma się to nijak do oceny hołdu, który wódz nasz złożył za Wielką Wodą. Nie ma żadnej dyskusji na ten temat, nie ma wyciągania tomahawków, nie ma tańców wojennych ani szykowania się do kęsim-kęsim.

Jest to szczególnie rozczarowujące, zważywszy na utwardzone przez wieki opinie o nadczułości nas, Czerwonoskórych, gdy ktoś nam włazi na prerię. Wniosek jest smutny: że ta wrażliwość, jak wiele faktów z życia Czerwonoskórych, to nieprawda. To tylko jedna z wielu legend krążących o nas wśród nas. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYLKO 300 ZŁOTYCH NA CAŁY ROK!

Jeśli masz poniżej 25 albo powyżej 65 lat – możesz kupić krajową, ekonomiczną prenumeratę wydania papierowego „TP" w ofercie POKOLENIA za 300 zł rocznie.▪

Aby z niej skorzystać, wystarczy opłacić ją zgodnie z ogólnymi zasadami zakupu opisanymi poniżej.

Kupując krajową prenumeratę przez stronę tygodnikpowszechny.pl masz możliwość zamówienia wydania specjalnego „TP" „Polska od nowa" – z dostawą do domu!

▪ Zastrzegamy sobie prawo skontaktowania się z wybranymi osobami w celu weryfikacji prawa do ulgi.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY:

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę www.tygodnikpowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym:
  Tygodnik Powszechny, ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków,
  Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP", ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę internetową www.tygodnikpowszechny.pl, na której podane są ceny.

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł

Oferta POKOLENIA – 300 zł na rok

▪ Regulamin oferty na powszech.net/regulamin

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

22—28.10.2018

pop

międzynarodowy
festiwal literacki

CONRADFESTIVAL

www.conradfestival.com
znajdź nas: #conradfestival

partner strategiczny:
22. międzynarodowe
targi książki w krakowie
www.ksiazka.krakow.pl

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Organizatorzy: kbf, Kraków UNESCO City of Literature, Fundacja Tygodnika Powszechnego

Partner dla Krakowa: Bukovina Resort, Grupa autoremo

Wsparcie: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego – dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Narodowy Program Rozwoju Czytelnictwa, Instytut Książki

Partner wspierający: Pałac Czeczotka

Partnerzy strategiczni: Tygodnik Powszechny, Kraków Airport im. Jana Pawła II, 22. Międzynarodowe Targi Książki w Krakowie